

Wszystkie dźwięki
Barcelony

Dom ciszy

**BLANCA
BUSQUETS**

W
ab
two

Blanca Busquets

DOM CISZY

Przełożyła Marta Pawłowska





This book was translated with the help of a grant from the Institut Ramon Llull

Tytuł oryginału: *La casa del silenci*

Copyright © by Blanca Busquets Oliu, 2013

By Agreement with Pontas Literary & Film Agency

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Marta Pawłowska, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

SPIS TREŚCI

Próba Teresa Maria Teresa Maria Teresa Maria Teresa Anna Maria Anna Mark Anna
Maria Anna Teresa Anna Mark Maria Anna Maria Teresa Mark Teresa Maria

Koncert Mark Anna Maria Teresa Anna Mark Maria Teresa Anna Maria Teresa Mark
Anna Maria Teresa Mark Anna

Wieśniaczka i pasterz

Mojemu ojcu oraz wujowi Francescowi, którzy poświęcili wszystko muzyce

PRÓBA

TERESA

Moje pierwsze skrzypce znalazłam na wysypisku śmieci. A były to znakomite skrzypce, aczkolwiek wtedy oczywiście jeszcze tego nie wiedziałam. Wiedziałam natomiast, że skrzypce te są zaczarowane. Stało się to dla mnie jasne już w pierwszej chwili, wystarczyło na nie spojrzeć, bo chociaż było już prawie ciemno, świeciły w ciemności, a jak coś świeci w ciemności, to zwykle jest zaczarowane. Wcale nie zmyślam. Ja i mama często grzebałyśmy w śmieciach w poszukiwaniu rzeczy, które dałoby się sprzedać. Gdybym w tym momencie to komuś tu powiedziała, pewnie osłupiałby ze zdumienia.

Tak naprawdę aż do teraz nikogo tu ze mną nie było. Tutaj to znaczy w teatrze. I nagle do mych uszu dobiega odgłos lekkich kroków. Słyszę, jak zbliżają się do łuku prosceniowego. Pojawia się pierwszy muzyk – niesympatyczny trębacz. Sądząc po jego minie, świata nie widzi poza swoją trąbką. Pozdrawia mnie gestem dłoni i mówi coś niezrozumiałego. Wydaje mi się, że jest Rumunem – mam wrażenie, że ktoś o tym wspominał.

Już od dłuższej chwili siedzę na krześle, ze skrzypcami w dłoni, i wpatruję się w puste miejsca na parterze. Zmęczyły mnie już palcówki i tęskniłam za ciszą. Ciszą widowni, a także ciszą panującą nad tym miastem – na zewnątrz, nad placami, nad ulicami. Ciszą martwych liści. Zanim tu przyjechałam, z okna hotelu widziałam spadające liście, które wyściełają ziemię gęstym, kolorowym dywanem – jesienią znacznie dodaje jej to urody. W domu, w Katalonii, żeby zobaczyć takie kolory, trzeba wybrać się w góry. Góry, które poznałam dopiero jako nastolatka, ponieważ w dzieciństwie nigdy nie udało mi się wyjechać poza Barcelonę.

Po znalezieniu skrzypiec wszystko się zmieniło. Powiedziałam, patrz, co znalazłam, wznosząc w triumfalnym geście skrzypce w jednym, a smyczek w drugim ręku. A gdy podnosiłam instrument, niechcący potarłam ręką o struny i wydały one wysoki, charczący dźwięk, który przeszył mi duszę, pamiętam to jak dziś. Nie byłam pewna, czy podoba mi się, czy nie, był to dziwny dźwięk. Potem zaczęłam uważniej przyglądać się skrzypcom i przyłożyłam oko do jednego z efów, chociaż wtedy oczywiście nie wiedziałam, że tak to się nazywa, i był to dla mnie tylko wydłużony otwór, przez który można było dostrzec zapisane odręcznie litery, a ja chciałam je odczytać. No i odczytałam, ale nic nie rozumiałam. Była tam data, to akurat nie sprawiło mi problemu, 1672 rok. Na co tak patrzysz, zaczęła narzekać mama, weź to, ktoś je od nas kupi. Mama nie przywiązywała wagi do formy wyciąganych ze śmieci przedmiotów, interesowała ją jedynie materia, żeby mieć pewność, że da się je sprzedać. Nie żebyśmy mieszkały na ulicy albo żyły w absolutnej nędzy, chociaż może i tak, zależy jak na to spojrzeć. Na pewno tak, jeśli patrzę na to z dzisiejszej perspektywy, kiedy źle jest widziane nieprzestrzeganie zrównoważonej diety, w której skład wchodzi owoce, warzywa, węglowodany i ileś tam innych rzeczy. Wówczas na naszą zrównoważoną dietę składało się to, co akurat było w domu, a mogło się tak zdarzyć, że danego dnia był to tylko chleb i odrobina sera lub cieciora czy soczewica. Ojca nigdy nie poznałam, ale według tego, co opowiadała mi mama, był obcokrajowcem, który przyjechał, spędził z nią kilka nocy i wyjechał. I tak mama, która sama jako tako sobie radziła, nagle została z dzieckiem, które trzeba karmić, i przestała sobie radzić.

Właśnie dlatego jesteś blondynką i masz niebieskie oczy. Jak on, mówiła, delikatnie gładząc mnie po policzku zewnętrzną stroną palców. Powtarzała mi to od bardzo wczesnego dzieciństwa i widziałam, że czasem patrzyła na mnie i płakała, być może ciągle czuła się związana z tamtym mężczyzną, który zjawił się jak wiatr od gór, a zniknął jak wiatr z południa, zasiawszy magiczne ziarenko, które rosło i ostatecznie stało się mną. I kiedy mama mówiła mi, że jestem taka jak on, że mam po nim oczy i włosy, nie wiedziałam, czy powinnam kochać go i tęsknić za nim, czy raczej nienawidzić za to, co jej zrobił. Towarzyszyło mi wtedy uczucie

niepewności, absolutnie nic nie było jasne, nie było wiadomo, co jest prawdą, a co kłamstwem. Uczucie, które powróciło wiele lat później, kiedy poznałam Karla.

Pamiętam, że owego dnia na wysypisku, owego dnia, kiedy poszliśmy tam później niż zwykle, bo wbiło mi się w pamięć, że zapadł już zmrok, pomyślałam sobie, a to co, przypomina drewniane pudełko. Leżały ukryte pod całym tym świństwem i nie było ich dobrze widać. I właśnie wtedy je ocaliłam, a kiedy zorientowałam się, że to skrzypce, instynktownie i z zapalem zaczęłam szukać smyczka. Nie powiem, żebym w życiu naoglądała się wielu skrzypiec, ale jedne widziałam na pewno, ponieważ w szkole czytaliśmy książkę, w której pojawiały się skrzypce i dziewczynka, która na nich grała i zamykała przy tym oczy, a ja, nie słysząc dźwięku, wyobrażałam go sobie, rozbrzmiewał w mojej głowie i najdziwniejsze jest to, że brzmiał rzeczywiście jak skrzypce, to znaczy, kiedy pierwszy raz usłyszałam prawdziwe skrzypce, uświadomiłam sobie, że to ten sam dźwięk, który sobie wyobrażałam. I kiedy po raz pierwszy na nich zagrałam, zamknęłam oczy jak dziewczynka z książki. Potem już tego nie robiłam, raczej otwierałam je szeroko jak jakaś idiotka, żeby tylko nadążyć za tymi wszystkimi barokowymi kompozytorami, wystawiającymi na próbę największych wirtuozów. Żeby jakoś odmalować te przyprawiające o zawrót głowy melodie przypominające kolejkę górską.

Było to jednak dużo później. Tamtego dnia, kiedy byłam jeszcze siedmioletnią dziewczynką, fakt, że miałam skrzypce tylko dla siebie, odmienił moje życie. Weź to, no dalej, już bardzo późno, poganiała mnie mama, i musiałam położyć skrzypce na wózku, w którym co wieczór przewożyliśmy nasze zbiory. Ona kończyła szyć, odbierała mnie ze szkoły i udawałyśmy się na rundkę po wysypisku. Następnie zanosiliśmy wszystkie znalezione przedmioty do gałganiarza, a on zostawiał sobie to, co jak sądził, mógł później odsprzedać. Nam dawał kilka centymów, które były gwarantem, że nazajutrz coś zjemy, ponieważ za ubrania szyte przez mamę czasem płacono od razu, a czasem trzeba się było dopraszać zapłaty. Nigdy nie chodziłam głodna, bo tylko sobie znanymi sposobami zawsze potrafiła tak to załatwić, żeby dać mi coś do jedzenia, ale ona sama często głodowała, zanim wpadła na pomysł zanoszenia towaru gałganiarzowi.

Barcelona w tamtych czasach była przeciwieństwem dzisiejszego Berlina pokrytego kobiercem z liści. Była mrocznym miejscem, nad którym wciąż unosiło się wspomnienie niedawnej wojny domowej, która wyzwała mieszkańców z chęci do życia. Sporo czasu miało jeszcze upłynąć, zanim miasto wypełniło się gwarem studentów, który siłą rzeczy musiał rozładować atmosferę; nie było jeszcze nawet telewizji.

No ale ja przecież miałam zaczarowane skrzypce. Doszliśmy do sklepiku gałganiarza i stanęłam przy wózku, zamiast wejść do środka. Proszę, proszę, nie sprzedawaj skrzypiec, powiedziałam błagalnym tonem, składając ręce. Mama spojrzała na mnie zaskoczona, ależ Tereso, jeśli je sprzedamy, możemy zrobić niezły interes. Tak, ale ja zawsze chciałam zostać skrzypaczką, zmyśliłam na poczekaniu. Wzrok mamy złagodniał, aha, naprawdę, nie wiedziałam, nigdy nic mi o tym nie mówiłaś. Proszę, nalegałam.

Zabrałyśmy skrzypce do domu. Nigdy, ma się rozumieć, nie przyszło mi do głowy, żeby zostać skrzypaczką, ale w szkole była książeczka z dziewczynką, która grała na skrzypcach i zamykała oczy, a ja właśnie znalazłam ten instrument i w dodatku sprawiał on wrażenie zaczarowanego. Poczułam, że gdzieś w środku rodzi się we mnie muzyka, która już na zawsze miała stanowić część mnie. Podeszła mi aż do gardła strumieniem melodii i wtedy pomyślałam: tak, muszę zostać skrzypaczką.

MARIA

– Mario, proszę nie zasypiać!

– Nie śpię, nie śpię, już idę...

Teraz mnie popędzają, bo śpieszy im się na próbę, a ja jak zwykle wlokę się na szarym końcu. Boli mnie brzuch i męczę się z tym już od kilku dni, a poza tym w moim wieku człowiek nie powinien się śpieszyć. Zestarzałam się już, panie Karlu, zestarzałam.

Będę teraz musiała znów słuchać tej muzyki, którą znam na pamięć od tak częstego powtarzania, muzyki, która wstrząsa mną do głębi, od której chce mi się płakać, a już dawno nie płakałam. Obiecali mi jednak, że będę jej słuchać z czerwonego fotela, jakbym była prawdziwą panią, a chociaż nie chcę być panią, nagle się okazuje, że zostanę nią przymusowo. Obiecał mi to pan Mark, wiadomo, bo pani Anna ani na mnie nie patrzy, ani nie chce mieć ze mną do czynienia.

Wczoraj leciałam samolotem. Po raz pierwszy w życiu i było to coś strasznego. Brak kontaktu z ziemią wcale nie jest przyjemny, nie masz pojęcia, gdzie jesteś, nie wiesz, co się dzieje. A czeka mnie jeszcze lot powrotny do domu, aj, Święta Panienko z Macareny.

Nie znam tego miasta i wydaje mi się obce, ale jednocześnie mam też wrażenie, że wszędzie tu pachnie panem Karlem. Zapach ten nieustannie wzbudza we mnie czujność na wszystko, co dzieje się wokół, wytrąca mnie to z równowagi. Wolę sama nie wychodzić z hotelu, bo na pewno się zgubię, powiedziałam panu Markowi. To niech pani tu siedzi w czterech ścianach, Mario, odpowiedział, albo znów umówi się z siostrą, bo chyba z nią była pani wczoraj? No tak, ale ona pracuje, zaczęłam odwracać kota ogonem, zostanę tutaj aż do próby. Jak powiedziałam, tak zrobiłam. Jutro jednak znowu będę musiała wyjść, no i elegancko się ubrać, żeby iść na koncert, jakbym była śpiewaczką operową jak tamta, co przychodziła do nas do domu. I jutro będę też musiała wykonać zadanie, które przed sobą postawiłam.

Pan Karl zapytał mnie, czy wolę uczyć się gry na skrzypcach, czy na fortepianie. Ależ, proszę pana, co też pan opowiada, odpowiedziałam spłoszona. I przypomniał mi się ksiądz z mojego miasteczka, jeszcze w Andaluzji, który przy Pierwszej Komunii Świętej zmuszał nas do śpiewania, czy się tego chciało, czy nie. Jeśli nie, nie pozwalał przyjąć eucharystii. Kawaleczek, tylko kawaleczek, mówił. No i wtedy się śpiewało: „Radość dziś niezrównana: idziemy do domu Pana”. A teraz, skoro nikt mnie nie słyszy, przyznam nieskromnie, że śpiewałam całkiem nieźle. A później jeszcze się rozkręciłam i zaczęłam śpiewać pod prysznicem, potem na ulicy, a potem, kiedy przyjechałam do Barcelony, już zawsze śpiewałam podczas sprzątanego w domach dwóch wystrojonych pań, u których pracowałam, zanim trafiłam do pana Karla. I wtedy, kiedy znalazłam się w jego domu i okazało się, że dobrze płaci i ogólnie jest to dobry dom, też zaczęłam śpiewać. A on, w drugim końcu budynku, nie przestawał grać na fortepianie. Śpiewałam coraz głośniej, ponieważ sama siebie nie słyszałam, a były to piosenki o miłości, które trafiały mi wprost do serca i wprawiały mnie w błogi nastrój. Jedna leciała: „Moja śliczna gołąbeeeczko, uwijmy razem gniazdeeczko”. I to właśnie ta najbardziej mi się podobała i śpiewałam ją najczęściej, a nawet czasem popłakiwałam przy niej ze wzruszenia. I śpiewałam coraz głośniej, aż w końcu nie słyszałam już fortepianu, udało mi się o nim zapomnieć. To znaczy, tak myślałam, bo w rzeczywistości pan Karl przestał grać i już pierwszego dnia stanął w drzwiach. Położył sobie palec na ustach i powiedział ciiiiiii. A ponieważ byłam przekonana, że przyszedł mi pogratulować, stanęłam jak wryta. Natychmiast zamknęłam usta i już ich nie otworzyłam, dopóki pan Karl był w domu, bo nie chciałam zostać bez pracy, a poza tym poczułam się urażona. Pan Karl zawsze grał albo na skrzypcach, albo na fortepianie, jak nie jedno, to drugie, a ja zawsze śpiewałam, kiedy tylko go nie było, aż w końcu pewnego dnia

przyłapał mnie na gorącym uczynku i zapytał, czy wolę nauczyć się grać na skrzypcach, czy na fortepianie, sama mogę wybrać. Poczułam, że policzki zrobiły mi się tak czerwone i gorące, że bardziej już się nie dało. Kiedy powiedziałam mu, wyprostowana, że dziękuję, ale nie, wydał się zawiedziony.

Pan Karl był jednym z takich mężczyzn, że jest na czym oko zawiesić. Wydał mi się atrakcyjny, gdy tylko go zobaczyłam i dowiedziałam się, że dopiero co przeniósł się do Barcelony i potrzebuje służącej, więc jeśli szukam pracy, mogę się do niego zgłosić. Poszłam tam, otworzył drzwi i powiedział dzień dobry i nic więcej, ponieważ nie był w stanie powiedzieć nic więcej w żadnym znanym mi języku. Ale zawsze byłam bardzo bystra i w mig złapałam, o co chodzi, kiedy za pomocą gestów tłumaczył mi, czego potrzebuje. Potem pokazał mi pokój z łóżkiem i łazienką, tuż obok kuchni. Ach, Święta Panienko z Macareny, nigdy nie służyłam w takim domu i nigdy nie musiałam zostawać na noc. A ten człowiek chciał, żebym tam zamieszkała. Zaczęłam się wahać, ale te wątpliwości rozwiały się po kilku minutach, kiedy podstawił mi pod nos kartkę z zapisaną na niej sumą, sumą, jakiej też nigdy wcześniej nie widziałam i która wydała mi się astronomiczna, plus jeden dzień wolny w tygodniu. To więcej, niż kiedykolwiek mogłabym dostać w innym miejscu. Zgoda, powiedziałam bez dalszych dyskusji. W głowie już przeliczałam, co będę mogła sobie kupić za tyle pieniędzy, będę mogła sobie kupić tyle czekolady, ile tylko zechcę, i ubrania, i biżuterię, bo nawet na biżuterię będę mogła sobie pozwolić, jakiś porządny pierścionek i może kolczyki, a na dodatek nie będę musiała na nic wydawać, bo będę mieszkała w cudzym domu. Pan Karl wyciągnął do mnie dłoń, a ja, zaskoczona, podałam mu swoją. Coś takiego też nigdy wcześniej mi się nie przytrafiło. Ależ silny był pan Karl. O mało nie krzyknęłam z bólu. Ale nie krzyknęłam, o nie. Wytrzymałam i zostałam.

Był to dom ciszy. Co prawda rozbrzmiewała w nim muzyka, ale gdzieś w oddali, pan zamykał się w jednej z sal i robił swoje, to znaczy grał na skrzypcach albo na fortepianie, albo jedno i drugie, albo jedno i drugie i dodatkowo jeszcze śpiewał, i to śpiewał bardzo głośno, a któregoś dnia zobaczyłam, jak potem zapisywał nuty na jakiejś kartce. Nie rozumiałam, o co chodzi, ale nie ważyłam się zapytać, a on spojrzał mi w oczy i powiedział, komponuję, Mario. Było to już jednak, kiedy ze sobą rozmawialiśmy. Ponieważ najpierw nie rozmawialiśmy, o nie. Na początku pan sprawiał wrażenie, że nie chce mi powiedzieć ani co mam robić, ani czego sobie nie życzy. Pytałam go, czym mogę panu służyć, a on nie słyszał lub udawał, że nie słyszy, aż w końcu oznajmił mi, zatrudniłem panią, żeby robiła pani wszystko to, co pani zdaniem powinna pani robić, ja nie mam czasu, żeby zawracać sobie tym głowę. Dobrze, proszę pana, powiedziałam, wyszłam i pomyślałam, Mario, możesz już zacząć przygotowywać sobie listę rzeczy, które trzeba zrobić w tym domu, bo od teraz to jakby twój dom. Sytuacja się powtórzyła, kiedy nadszedł moment pierwszej wypłaty. Dni płynęły, a pan mi nie płacił, więc gdy minęły już dwa miesiące, odkąd tam pracowałam, a nie zobaczyłam jeszcze ani grosza, w końcu zebrałam się na odwagę i poruszyłam ten temat. Powiedział, żebym poszła za nim, i zaprowadził mnie do biurka. Ze stojącego tam słoja wyciągnął malutki klucz, którym następnie otworzył szufladę. Trzymał tam pieniądze, mnóstwo pieniędzy. Nie pisnęłam słówka, ale oczy miałam jak spodki. Proszę, powiedział, co miesiąc będzie pani brała sobie stąd pieniądze, bo ja nie mam głowy do takich rzeczy. A jeśli któregoś miesiąca ich tu nie będzie, proszę mnie zawiadomić. Dobrze, proszę pana, powtórzyłam. Wtedy sobie poszedł, a ja zostałam tam sama i sama też wypłaciłam sobie miesięczną pensję. Przemknęło mi przez głowę, że teraz mogłabym zabrać sobie to wszystko i już nie wrócić. Przez chwilę byłam wystawiona na pokusę, ostatecznie zdecydowałam jednak, że nie urodziłam się złodziejką, i dałam sobie spokój z takimi pomysłami. Zamknęłam szufladę na klucz, schowałam go w słoiku, spojrzałam na moje pieniądze i pomyślałam, że nie

stać mnie jeszcze na żadną biżuterię, ale mogę już sobie kupić trochę czekolady tylko dla mnie.

TERESA

Po trębaczu powoli zaczęli schodzić się wszyscy pozostali. Wszyscy oprócz nich, Anny i Marka. Spóźniają się. Machinalnie naśladuję skrzypków z orkiestry i układam sobie instrument na ramieniu, by go nastroić. Już nie jest cicho. Później, jeśli starczy mi czasu, przećwiczę jeszcze raz trudniejsze pasáže z mojej części. Skrzypce rzucające się w ten genialny wir grania i zatrzymywania się zgodnie z nutami, które wymyślił sobie Bach. I już teraz wiem, że kiedy zacznę, koncert doprowadzi mnie do łez, pograży moje serce w smutku, skieruje moje myśli ku chwili, kiedy ostatni raz wykonywaliśmy ten utwór, właśnie tutaj, a także przypomni mi dzień, w którym Karl zwrócił się do mnie, żebym po raz pierwszy zagrała wraz z nim. Powiedział mi, słyszałem panią i widzę, że interpretuje pani Bacha tak, jak moim zdaniem należy go interpretować.

Minęło już dziesięć lat od jego śmierci, ale czasem wydaje mi się, że dużo mniej, mam wrażenie, że właśnie dziś znowu mi powie, żebym nie wkładała w grę całej duszy. Skoro nie chcesz, żebym grała całą duszą, czemu w ogóle chciałeś, żebym z tobą grała, któregoś dnia wyrzuciłam z siebie rozdrażniona. Popatrzył mi w oczy i odparł, łatwiej bowiem odjąć trochę duszy, niż całkiem ją włożyć. A jest bardzo mało ludzi, którzy wkładają duszę w muzykę.

W moim przypadku, jeżeli coś kiedyś wkładałam w muzykę, była to właśnie dusza. Muzyka doprowadzała mnie do płaczu. Jeśli teraz zapanowanie nad emocjami dużo mnie kosztuje, przez wiele lat, gdy tylko zaczynałam grać, musiałam ocierać łzy. Również tamtego dnia, kiedy w wieku siedmiu lat za pozwoleniem mamy zaniósłam skrzypce do domu. Też wtedy płakałam, chociaż nie wiedziałam nawet, jak należy trzymać instrument i jaki dźwięk powinien on wydawać. Znowu popatrzyłam na litery widniejące wewnątrz i nadal ich nie rozumiałam, jasny był dla mnie tylko napis 1672. Usiłowałam przypomnieć sobie obrazek z dziewczynką grającą na skrzypkach, przypomnieć sobie, jak miała je ułożone, i ustawiłam się tak samo, zanim przeciągnęłam smyczkiem po strunach. W rezultacie otrzymałam elektryzujący dźwięk, fałszywy, ale głęboki, dźwięk, który chwycił mnie za serce i zaparł mi dech w piersiach. Nie mieści mi się w głowie, że w okresie tylu wyrzeczeń ktoś mógł wyrzucić do kosza tak wartościowe skrzypce, które poza tym, gdy je znalazłam, były całkiem nieźle nastrojone, miały dobrze naciągnięte struny i smyczek.

Mieszkanie, które zajmowałyśmy z mamą, składało się tylko z kuchni, łazienki i pokoju. Były tam zgromadzone wszystkie nasze rzeczy – składowałyśmy je na stosie w kącie, ponieważ nie miałyśmy szafy. Jednak wszystkie nasze rzeczy razem wzięte nie były warte tyle, ile maszyna do szycia, nasz środek przetrwania, jedyny przedmiot, którego mama nie sprzedawała, kiedy musiała opuścić mieszkanie, w którym mieszkała z moimi dziadkami, dopóki pewnego dnia, na kilka lat przed moimi narodzinami, nie została całkiem sama. I właśnie dzięki pieniądзом, które zarabiała szyciem, mogła wynająć to mieszkanko, w którym urodziłam się i wychowałam, i gdzie zawsze czekał na mnie kęs chleba rano, posiłek na stole w południe i wieczorem, skromny, to prawda, a nawet od czasu do czasu dostawałam w prezencie od sąsiadów kawałek wyrobu czekoladopodobnego, który wydawał mi się przepyszny, a gdybym zjadła go teraz, chyba bym zwymiotowała. Czasem mama była zbyt zajęta, by jeść, i szyla, szyla, podczas gdy ja jadłam obiad lub kolację, a jeśli akurat nie było nic do szycia, sprzątała. Patrzyłam, jak pracuje, ona podenerwowana, ja z pełną buzią, chociaż posiłek błyskawicznie zniknął z mojego talerza, bo koniec końców był bardzo niewielki. I tak ją obserwowałam, aż pewnego dnia upadła na ziemię tuż przed moim nosem. Krzyknęłam, miałam pewnie jakieś pięć lat i mama była dla mnie całym światem. Potrząsnęłam nią lekko, mamó, mamó, ale nie reagowała, słyszałam, jak przy upadku uderzyła się w głowę, więc tak się przeraziłam, że pobiegłam po sąsiadów, tych od wyrobu

czekoladopodobnego. Waliłam w drzwi jak oszalała i zanosłam się od płaczu, a kiedy otworzyli, nie mogłam wydusić z siebie nic więcej poza tym, że mama leży na podłodze, nie wiem, co jej jest; mówiłam urywanym głosem, szlochałam przerażona, mama na podłodze i z zamkniętymi oczami, nie wiedziałam, co się dzieje, mamy innych chłopców i dziewczynek nigdy nie leżą na podłodze. Weszli do domu obydwój, pan i pani, i on pobiegł zadzwonić po lekarza, podczas gdy ona usiłowała zmusić mamę do reakcji, lekarz zjawił się, gdy zaczęła już mamrotać i dopytywać, co się stało. I wtedy kazali mi wyjść, ale kiedy tamta pani i chłopiec, z którym czasem się bawiłam, ciągnęli mnie do mieszkania obok, jednym uchem usłyszałam, jak lekarz mówił, ta choroba, proszę pani, ma na imię głód.

Sąsiedzi żywili nas przez kilka dni, też się u nich nie przelewało, ale on miał pracę i przynajmniej starczało im na jedzenie. A mama była tak słaba, że w czasie gdy wracała do zdrowia, nie była w stanie nawet szyć. I co pani teraz robi, ściszone głosem spytała ją sąsiadka, kiedy sądziła, że nie słyszę. Mama najpierw zaczęła płakać, ale potem powiedziała, jak już dojdę do siebie, coś wymyślę, muszę być silna dla córki. I w taki oto sposób mama wpadła na pomysł z wysypiskiem.

Bach pochłania mnie bez reszty. Mark zawsze patrzy mi w oczy, żebym wzięła pierwszą nutę, to moja rola, pierwsza nuta zawsze przypadała mi w udziale, kiedy mamy już zabrakło. Wtedy jeszcze się to nie stało, na razie nie mogła sobie pozwolić na umieranie, musiała mnie jeszcze wychować, umarła kilkanaście lat później, kiedy byłam już nauczycielką w szkole muzycznej i przestałam sprzątać mieszkania, ponieważ przez pewien czas, tak jak i ona, sprzątałam mieszkania. Skończyło się wtedy grzebanie w śmieciach. Niektóre panie szukały kobiet do sprzątania mieszkań. Każde z nich znajdowało się na innym końcu miasta, a zatrudniano nas tylko na godziny, codziennie na chwilę. Trzeba tam było dojechać i zająć się wszystkim: prasowaniem, myciem naczyń, myciem łazienek, a na dobitkę należało jeszcze odebrać dzieci ze szkoły i zabrać je na moment do parku.

Ja sprzątałam mieszkania i grałam na skrzypcach.

MARIA

Pani Anna tak położyła futerał od skrzypiec, że wbija mi się w nogi. Domyślam się, że zrobiła to celowo, żebym się poskarżyła, ale ja nigdy nie będę się skarżyć, że nie mieszczę się w taksówce z winy skrzypiec, zwłaszcza jeśli to stainer. Ona robi, co może, żeby uprzykrzyć mi życie. Pewnie chce się mnie pozbyć. Nie wie jednak, że nie mogę teraz odejść, zostanę tu, muszę teraz zrobić, co do mnie należy.

Pomyliłam skrzypce i wyrzuciłam do śmieci te dobre, nie wiem, jak to się stało. To znaczy dobrze wiem, jak to się stało, bo w gruncie rzeczy to on się pomylił, proszę wyrzucić skrzypce, które leżą na krześle, powiedział. A ja wzięłam skrzypce z krzesła i je wyrzuciłam. Teraz kiedy zrobienie najmniejszej rzeczy zajmuje mi tyle czasu, kiedy ledwo wlokę się za państwem do tej taksówki, która ma ich zawieźć do teatru o nazwie tak dziwnej, jak wszystko w tym mieście, myślę o zwinności, z jaką schwyciłam skrzypce, które, jak sądziłam, miałam wyrzucić, i rzeczywiście wrzuciłam je do wózka wraz z resztą śmieci. Szłam ze śpiewem na ustach, korzystając z okazji, że pan wyszedł z domu i mnie nie usłyszy. I wracałam, też podśpiewując, ze spokojną głową. Teraz kiedy o tym myślę, włos mi się jeży na głowie. A gdy przypominam sobie słowa pana Karla, jeszcze bardziej. Zorientował się kilka godzin później, gdy zbliżała się już pora spania. Gdzie mój stainer, spytał, ponieważ te skrzypce miały imię i brzmiało ono „Stainer”, co wcale nie jest takie łatwe do wymówienia. Muszę jednak przyznać, że imię to wydało mi się wtedy bardzo ładne, choć dość zaskakujące dla skrzypiec. Nie mogłam otrząsnąć się z osłupienia i dopiero po chwili odpowiedziałam, proszę pana, przecież sam mi pan kazał je wyrzucić. Wtedy z kolei on osłupiał, przez moment wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem, aż w końcu wykrzyknął, ależ co pani mówi, Mario, powiedziałem, żeby wyrzucić zepsute skrzypce. W jego głosie pobrzmiwała nutka desperacji, ale ja nie zamierzałam dać się zbić z pantałyku, nie, proszę pana, powiedział mi pan, żebym wyrzuciła skrzypce, które leżą na krześle, i właśnie tak robiłam. Zaczął wtedy powtarzać *o, mein Gott, o, mein Gott* i nie przestawał z tym swoim *o, mein Gott*, jednocześnie szukając wszędzie drugich skrzypiec, które w końcu znalazł pod fortepianem. Uniósł je w górę obiema rękami i powiedział, to te skrzypce są do wyrzucenia. A ja, jak sparaliżowana, wpatrywałam się w skrzypce, które nie były już skrzypcami ani niczym innym, ponieważ były jakby na wspak. Pan podstawił mi je pod nos i oznajmił, te do niczego już się nie nadają, zostawiłem je na podłodze, proszę spojrzeć, a ja patrzyłam na nie i wydawały mi się dziwne, zdeformowane, jakby ktoś wessał ścianki do środka. Prawdę mówiąc, gdyby nie przerażenie i wyrzuty sumienia, które mnie wtedy ogarnęły, sytuacja wydałaby mi się dość groteskowa i pewnie nie mogłabym powstrzymać się od śmiechu, bo skrzypce te wyglądały przekomicznie.

Gdzie one są, rzucił nagle, mając na myśli dobre skrzypce, i odłożył zepsuty instrument tam, gdzie go znalazł. W śmieciach, w wózku, już panu mówiłam, odparłam bez zająknięcia. Tak, ale dokąd zabierają wózek, zapytał. Na wysypisko, wydukałam ogłupiała, ponieważ nie byłam w stanie wydusić z siebie nic więcej. Obydwoje wyszliśmy na ulicę i kiedy przeszło mnie jego pytające spojrzenie, powiedziałam słabym głosem, wysypisko jest bardzo daleko. Zatrzymał się na chwilę, a ja stałam ze spuszczoną głową, ale czułam jego wzrok wbity w mój kark. Zorientowałam się, że zatrzymał taksówkę, i wsiadłam do niej w stroju służącej, w fartuszkach, czepku i całej reszcie, ponieważ mnie zmusił. Następnie wsiadł on i rzucił, na wysypisko. A taksówkarz, bez słowa, zawiózł nas na miejsce. Było to bardzo daleko, tam gdzie diabeł mówi dobranoc, a podróż okazała się koszmarem, ponieważ żadne z nas się nie odzywało, ale panu od czasu do czasu noga sama się poruszała i coraz bardziej mnie przerażała. Kiedy dojechaliśmy, pan kazał taksówkarzowi czekać, my zaś mieliśmy wysiąść i przepatrzeć te olbrzymie połacie śmieci

i smrodu. Musieli opróżnić już wszystkie wózki z całego miasta, ponieważ nie został ani jeden. Było bardzo późno. No dalej, idziemy, powiedział pan i zaprowadził mnie aż na skraj wysypiska. Niewiele było widać. Wiedziałam, że niektórzy ludzie grzebią w śmieciach, ale robią to w ciągu dnia. Teraz nie było widać absolutnie nic. Ale pan nie zamierzał się wycofywać, no dalej, niech pani tam wchodzi, zaordynował. Kto? Ja? spytałam oszołomiona. Tak. Pan nie był w nastroju do żartów, zdążyłam się już zorientować. Zadarłam spódnicę i zanurzyłam tam jedną stopę. Potem drugą i znowu. W taki właśnie sposób zaczęłam nurzać się w śmieciach, co za obrzydliwość, czegoś takiego nie robiłam nigdy wcześniej ani tu, ani w Andaluzji, i nie zrobiłam też tego nigdy więcej, Święta Panienko z Macareny, miej mnie w swojej opiece, wyszeptalam. No i zabrałam się za grzebanie w odpadach wszelkiego sortu, i strasznie się umorusałam, a wszystko tak śmierdziało, że można było zemdleć, ale ja musiałam znaleźć te skrzypce. Przerzucałam wszystko, co się tylko dało, i trwało to całkiem długo, z góry na dół, wszędzie tam, gdzie opróżniano wózki, ale okazało się, że skrzypiec nigdzie nie ma. Wiedziałam, że jestem zgubiona, nie ma ich, proszę pana, odezwałam się w końcu, podnosząc się znad tego całego świństwa. Stał pod światło i całkiem skrywał go cień, nie mogłam dostrzec wyrazu jego twarzy. Usłyszałam tylko, jak powiedział, proszę wracać. Wróciłam, ale już go tam nie było. Poszedł wreszcie do taksówki i pomyślałam sobie, że o mnie zapomniał. Nie pisnęłam ani słowa, pozwoliłam mu odejść, a sama wygramoliłam się stamtąd i przyszło mi do głowy, że będę musiała wracać do domu na piechotę. Potknęłam się i wyłożyłam jak długa, rozciąłam sobie czoło, rana była całkiem spora. Dostrzegłam wtedy, że taksówka ciągle stoi i czeka na mnie z otwartymi tylnymi drzwiami. Rzuciłam się w jej stronę. Pan nawet na mnie nie spojrział, przyklejony do drugiego okna, przez cały czas dyskretnie zasłaniając sobie ręką nos, ale noga już mu nie latała. W lusterku zobaczyłam wzrok taksówkarza i pomyślałam, Mario, musisz śmierdzieć jak sto diabłów.

Podróż upłynęła nam w milczeniu. Kiedy dotarliśmy do domu, poszłam do swojego pokoju, umyłam się, oczyściłam czoło tak, jak umiałam, i spakowałam walizkę. Żeby stracić dobrą pracę w taki sposób, pomyślałam ze smutkiem, pracowałam tam tylko sześć miesięcy i zdawałam sobie sprawę, że to jeden z najlepszych domów do służby, i było mi tam dobrze, i wydawało się, że pan jest ze mnie zadowolony. No ale wszystko co dobre, szybko się kończy, już w płaszczu i z walizką w ręku poszłam pożegnać się z panem. Znalazłam go na sofie, patrzył w sufit, zapewne wzdychał za swoimi utraconymi skrzypcami. Odezwałam się, proszę pana, bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało, przepraszam. Popatrzył na mnie i spytał zdumiony, a gdzie to się Maria wybiera o tej porze. Odchodzę, odparłam zbita z tropu, wydaje mi się, że po tym, co zaszło... Wstał i podszedł do fortepianu, mówiąc przy tym, niech pani nie opowiada głupot, Mario, to ja kazałem wyrzucić skrzypce leżące na krześle. A tak w ogóle to proszę sobie opatrzeć czoło, skaleczyła się pani.

TERESA

Dziewczyna od klawesynu potrzebuje pomocy, żeby przesunąć instrument trochę dalej, niż stał do tej pory. Dwóch wiolonczelistów wstaje, by pomóc jej i jeszcze jednemu chłopakowi, który pojawił się nie wiadomo skąd i przypomina Goliata. To jasne, że zawsze uważamy za silne te osoby, które sprawiają takie wrażenie, dopóki nie udowodnią nam, że w rzeczywistości są tylko ludźmi. Miałam moją matkę za silną osobę, dopóki nie pokazała mi, że nie jest wolna od niedoskonałości i tak jak wszyscy do życia potrzebuje jedzenia. A oprócz tego potrzebny był jej ktoś, kto trwałby przy jej boku, nie dziewczynka, będąca jedynie balastem, przez którą musiała pracować dużo więcej, niż gdyby chciała zaspokajać jedynie potrzeby niezbędne do przeżycia.

Nauczyłam się dostrzegać siłę w ludzkich oczach. I kiedy popatrzyłam w oczy Karla, pomyślałam, że są silne. Podobna refleksja nie naszała mnie jednak, gdy spojrzałam w oczy Anny, chociaż miało to miejsce, gdy spotkałyśmy się po raz pierwszy i sprawiała wtedy wrażenie osoby, która ma ochotę pożreć na śniadanie cały świat przyprawiony jedynie sporą dozą bezczelności. Przyszła ze służącą, która zawsze wszędzie ją odprowadzała. Zwykle przynajmniej na pierwszą lekcję przychodzili rodzice, żeby przedstawić mi dziecko i wyłożyć swoje oczekiwania albo po prostu żeby mnie poznać. W przypadku Anny nigdy do tego nie doszło, przyszła w towarzystwie służącej zarówno pierwszego dnia, jak i we wszystkie kolejne, nawet gdy była już w takim wieku, że sama mogła wychodzić z domu. Chociaż trzeba przyznać, że wtedy służąca czekała na nią na zewnątrz. Czasem wyglądałam przez okno i widziałam, jak szły na autobus w kierunku alei Diagonal, ponieważ Anna, jak sama mi powiedziała, mieszkała na drugim końcu miasta, obok parku ze stawem.

Ja też spędzałam wiele czasu w parku. Chodziłam tam bawić się z dziećmi, kiedy już wysprzątałam kuchnię, skończyłam prasowanie, umyłam podłogę w całym domu lub wyszorowałam łazienki... i mówię łazienki, ponieważ ci ludzie mieli po dwie, a czasem nawet trzy, co stanowiło dla mnie szczyt luksusu, nigdy wcześniej nie widziałam domu z więcej niż jedną łazienką. I co to były za łazienki! Przywodziły na myśl filmy, które puszczały w telewizji. Kiedy po raz pierwszy je zobaczyłam, wyrwał mi się okrzyk zachwytu. Miałam wtedy piętnaście lat i mama, ocierając sobie pot z czoła, powiedziała, teraz, mała, musimy zabrać się za to we dwie. Moje dzieciństwo dobiegło końca.

MARIA

Gdy jechaliśmy taksówką ulicami tego bezsłonecznego miasta, mignęła mi gdzieś wystawa pełna najprzeróżniejszych czekoladek i nagle przypomniałam sobie, jak pan Karl przyłapał mnie na pochłanianiu czekolady. Na to wspomnienie uśmiech zagościł na mej twarzy.

– Co panią tak bawi? – wysyczała znieczeka pani Anna tonem pełnym złośliwości.

– Nie, nic – powiedziałam, żeby ratować sytuację, ale jednocześnie przemknęło mi przez głowę, że ta kobieta cały czas kontroluje wszystko, co robię. – Ja tylko... lubię czekoladę.

Pan Mark rzucił mi przelotne spojrzenie i uśmiechnął się. Pani Anna na widok uśmiechu męża umilkła i z kwaśną miną zaczęła wpatrywać się w okno.

Pan zwykł spędzać poranki w domu, a po południu wychodził. Oczywiście tylko pod warunkiem, że nikt akurat nie przychodził z wizytą albo na próby, wtedy wszyscy grali lub śpiewali w sali z fortepianem. Zamykali drzwi, a chwilę wcześniej na ogół wołał, Mario, niech nikt nam nie przeszkadza. Dwa miesiące po przyjeździe do Barcelony potrafił już dogadać się z każdym, i to niezależnie od języka. Nie umiem powiedzieć, w jakim dokładnie języku porozumiewał się ze mną, ale go rozumiałam. A jeżeli czasem nie znałam jakiegoś słowa, gestykulował.

Po incydencie ze skrzypcami mieliśmy ciche dni, żadne nie odzywało się więcej, niż było trzeba. Robiłam, co do mnie należało, a kiedy kończyłam, szłam do kuchni, do mojego pokoju albo na spacer. Aż pewnego dnia, gdy minęło już trochę czasu, w dniu wypłaty kupiłam sobie w cukierni czekoladę w proszku, trochę śmietany i biszkopty i usiadłam w kuchni, żeby to wszystko zjeść. Niedaleko domu była kawiarnia, gdzie matki czasem zabierały dzieci na podwieczorek. Od czasu do czasu zaglądała tam też jakaś służąca, ale przeważnie było to miejsce dla matek, dla nich i ich dzieci. Takie wyjście było jak nagroda i zdarzało się może raz w tygodniu czy raz w miesiącu. Dzieci wchodziły tam z oczami świecącymi radością i wychodziły z umorusanymi buziąmi, a ja umierałam z zazdrości.

Nie miałam dość odwagi, żeby wybrać się do tej kawiarni, dlatego urządziłam ją sobie w domu. I kiedy miałam buzię pełną czekolady ze śmietaną, kiedy nasączony biszkopczyk rozpływał mi się w ustach i słyszałam nad sobą chóry anielskie, zachodząc w głowę, czemu nie jest to ulubiony pokarm wszystkich ludzi, dokładnie w tym momencie, kiedy na dodatek miałam zamknięte oczy, rozległ się głos pana Karla, dogadza sobie pani. Ciągle chce mi się śmiać na to wspomnienie, ale staram się powstrzymać, żeby pani Anna znów na mnie nie naskoczyła. Tamtego dnia otworzyłam oczy i ujrzałam go. Nie słyszałam, jak przyszedł, zjawił się bezszelestnie, te zapachy docierały aż do pokoju i od razu pomyślałam, że ukrywa tu pani jakieś brzydkie sprawy, zakradłem się więc na palcach, dodał po chwili. Pan już tak miał, od czasu do czasu był w nastroju do żartów. Nic innego nie przyszło mi do głowy, więc wykrztusiłam tylko, kupiłam to wszystko za własne pieniądze. Wtedy wybuchnął śmiechem.

Nigdy nie słyszałam jego śmiechu i okazał się on zaraźliwy, ponieważ pan Karl był tak potężny i śmiał się tak donośnie, że nie było rady i człowiek musiał się do niego przyłączyć. Dusił się ze śmiechu, a on nie przestawał i nie wiedziałam już, co robić, aż w końcu udało mi się przełknąć kawałek biszkopka i też mogłam zaśmiewać się do rozpuku. Wtedy on urwał nagle i powiedział, a mnie pani nie poczęstowała. Dodało mi to śmiałości, zwłaszcza że właśnie myślałam, że chyba przesadziłam ze śmietaną i czekoladą i mogłabym tym obdzielić kilka osób. Ależ oczywiście, zakrzyknęłam, zaraz podam panu w jadalni. Nie, nie, odparł i ku mojemu zdumieniu usiadł ze mną przy stole w kuchni, rozkraczony na taborecie, i czekał, aż przyrządzę deser. Opowiadał przy tym, że tylko raz miał okazję pić taką gorącą czekoladę ze śmietaną i że mu smakowała. Ponieważ w moich stronach jada się ją w formie czekoladek i tabliczek, a poza

tym widywaliśmy ją niezbyt często, ciągnął nieco smutnym tonem.

Właśnie wtedy, gdy szykowałam czekoladę, śmietanę i biszkopty, kiedy siedzieliśmy przy jednym stole i razem delektowaliśmy się tą jedną z największych zdobyczy ludzkości, opowiedział mi o swoim rodzinnym mieście. Opowiedział mi, że właśnie budują tam mur, który ma je podzielić na dwie części, bo ludzie uciekają z jednej strony na drugą, ponieważ jedna należy do jednych, a druga do drugich. Znieruchomiał, mówiąc mi to wszystko, i nie odważyłam się zapytać, kim są jedni i kim są drudzy. Słyszałam o tym ostatnio w małym radyjku, które miałam w kuchni i służyło mi głównie do słuchania powieści w odcinkach, przy której wzruszałam się co wieczór. W wiadomościach mówili o tym murze, ale dla mnie to wszystko było tak odległe, że nic nie zrozumiałam. A tutaj się okazuje, że pan pochodzi właśnie stamtąd, ponieważ jest Niemcem, to akurat wiedziałam, ale nie pomyślałam, że jest z tego miasta, o którym teraz tak głośno. Zapytałam go jednak, dlaczego nie można przejść z jednej strony na drugą, nie mogłam tego pojąć, skoro ja mogłam chodzić po całej Barcelonie i wyjeżdżać poza miasto, nawet za granicę, gdybym tylko miała paszport. Westchnął i odparł, że on też tego nie rozumie, ale tak właśnie jest. Opowiedział mi też, że w jego dzielnicy jest plac, na którym spotykał się z kolegami muzykami, piękny plac z ogrodem pośrodku i drzewem zakończonym w szpic, które jesienią powlekało się złotem. Mówił mi, że na tym placu potrafili grać godzinami. Nawet kiedy było zimno, graliśmy, i pozwalało nam to zapomnieć o wszystkim, mówił i subtelnie się uśmiechał, wkładając sobie porcyjkę czekolady do ust. A ja nie odważyłam się odezwać, nie chciałam przerwać tego strumienia wspomnień, które wydawały mi się tak święte, jak części niedzielnej mszy, i poczułam przyspieszone bicie serca, ponieważ pan opowiadał to wszystko właśnie mnie, a poza tym miałam wrażenie, że w myślach choć na kilka sekund opuściłam moją skromną kuchnię.

Wczoraj tutaj w Berlinie widziałam fragmenty muru, który wzniesiono owego dnia, kiedy po raz pierwszy piliśmy razem czekoladę. W ciągu czterdziestu lat, które spędziłam u boku pana Karla, zdążyli zarówno go zbudować, jak i obalić. Wczoraj zobaczyłam na własne oczy, że pan Karl mnie nie okłamał, ktoś rzeczywiście rozkazał wzniesić mur przez środek miasta, widzi pani, Mario, powiedział mi pan Mark, mieszkałem po jednej stronie i nie pozwalali mi przejść na drugą, dopiero kiedy upadła ta ściana, mogłem wyjść. Spojrzałam na kawałek muru i pomyślałam sobie, że jak dla mnie był na tyle solidny, że mógłby wytrzymać jeszcze więcej lat. Znow zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nie pozwalano ludziom przechodzić z jednej strony na drugą i na odwrót. Dobrze nas sobie policzyli, wyszeptał pan Mark. I wydało mi się wtedy, że już rozumiem, o co chodziło: gdy zmieniali stronę, trzeba ich było odliczać.

TERESA

Nadszedł ten moment, kiedy orkiestra zaczyna przypominać garnek wypełniony świerszczami, ponieważ wszyscy naraz się rozgrzewają. Przywodzi mi to na myśl moje pierwsze próby gry na skrzypcach z wysypiska. Sąsiadów ogarnęła czarna rozpacz, mamę zresztą też. Pewnie schwyciłam skrzypce. Kiedy wyrzucono je do śmieci, ucierpiały trochę na kantach, odłupany był też kawałek drewna, ale w żaden sposób nie wpływało to na dźwięk, brzmiały znakomicie. To znaczy ja byłam przekonana, że brzmiały znakomicie. Mama już pierwszego dnia miała odmienne zdanie, a sąsiedzi wytrzymali o dwa dłużej. Nie byli to ci sami ludzie, którzy kilka lat wcześniej uratowali mamie życie, nasze relacje ograniczały się do dzień dobry – do widzenia. Zapukali do drzwi, żeby mi powiedzieć, idź grać na plażę, szum fal wszystko zagłuszy i nikt nie będzie musiał tego słuchać. Przepraszam, bąknęłam, umierając ze wstydu. Wzięłam instrument pod pachę i poszłam za ich radą, wyszłam z domu i udałam się na plażę. Mieszkałyśmy nieopodal morza, chociaż w ogóle nie było go widać, ulice kierowały się w głąb miasta i nie wychodziły ani na wodę, ani na piasek. Poza tym wiodąca tam droga była bardzo brudna i wałały się na niej odpadki, ludzie pozbywali się tam wszystkiego, co było bezużyteczne, zbędne lub okazało się zbyt duże, żeby po prostu wyrzucić to do śmieci. A ty dokąd się wybierasz, dziecko, zapytała mama. Nie odpowiedziałam jej, płacz jak zwykle schwycił mnie za gardło. Ściskając skrzypce, wąską uliczką weszłam na plażę i pokonawszy wszystkie przeszkody, stanęłam na piasku. Był chyba marzec, dzień był pochmurny, zimny i deszczowy, ale zupełnie nie zwróciłam na to uwagi. Nagle poczułam w nozdrzach woń słonej wody, zapach złowionych przez rybaków ryb, który czułam codziennie rano, gdy donośnym głosem zachęcali do zakupu. Wiatr rozwiewał mi włosy, a w miarę jak przybliżałam się do wody, narastał huk fal, które nadciągały, a potem się wycofywały, hałas ten zatykał mi uszy i tamował myśli. Ustawiłam się właśnie w tym miejscu, ponieważ miałam pewność, że nikt mnie tam nie usłyszy, ułożyłam skrzypce na ramieniu, zamknęłam oczy i przeciągnęłam smyczkiem po strunach, w skupieniu dociskając je palcami. Od dźwięku, który wydobyłam, zjeżyły mi się włosy na głowie. Nie wytrzymałam i wybuchnęłam płaczem. Położyłam skrzypce na ziemi i usiadłam obok ze spuszczoną głową. Czułam, że muzyka jest tuż obok, ale ja nie mogę jej dosięgnąć, wrota tego sezamu z niezliczonymi skarbami są dla mnie zamknięte.

Po jakimś czasie powoli ruszyłam w stronę domu. Otarłam łzy i powiedziałam sobie, że pewnie niektóre dzieci są do czegoś przeznaczone, a inne do czegoś innego. Dziewczynka z książki gra na skrzypcach, a ja grzebię w śmieciach. I nikt już tego nie zmieni.

Ze złamanym sercem dotarłam do domu. Mama odchodziła od zmysłów, dziecko drogie, gdzie ty byłaś, co się stało, pytała, obejmując mnie i obsypując pocałunkami. Poszłam grać na plażę, żeby nie hałasować, powiedziałam tak po prostu. Popatrzyła na mnie i dostrzegła ślady łez, płakałaś, zapytała. Bo chodzi o to, że nie mogę znaleźć muzyki, odpowiedziałam i znów się rozplakałam. A ona jeszcze raz mnie przytuliła. Przynajmniej miałam mamę, która mnie przytulała i całowała. Może dziewczynka z książki miała tylko skrzypce i nie miała mamy.

Anna była jak dziewczynka z książki, miała skrzypce, ale nie miała mamy. Jej skrzypce nie były niczym szczególnym, ot, dziecięce skrzypce do ćwiczeń. Któregoś dnia powiedziałam Annie, że powinna kupić inne, „dorosłe” skrzypce. Wiem o tym, rzuciła obojętnie, sucho, szydyczko. I taka już została, bez względu na wszystko. Traciła nienaganne maniery, tylko kiedy grała. Na jej twarzy malowało się wówczas skupienie. Potem jednak znów była sobą, Anną, nieprzeniknioną, nieodgadnioną, trudną do rozgryzienia, znakomitą i nieprzeciętnie utalentowaną uczennicą. Wzbudzała moją zazdrość swoją zdolnością do grania szybkich pasaży przy ekstremalnych prędkościach. Nie wkładała w nie jednak duszy, tylko czysty intelekt, i właśnie

w ten sposób, rozumowo, zbliżyła się do Bacha.

Anna przestała przychodzić w towarzystwie służącej, kiedy skończyła osiemnaście lat. Ja w wieku siedmiu chodziłam już sama do szkoły, chociaż miałam dość daleko. Po rozczarowaniu skrzypcami, którego doznałam tamtego dnia na plaży, czułam pustkę, nie wiedziałam, co robić, co myśleć ani co by mnie mogło ucieszyć. Nigdy nie ciągnęło mnie do lalek i zabawek, bardziej interesowały mnie rzeczy, które wyciągałyśmy ze śmieci, ale po znalezieniu skrzypiec czułam, że już nigdy więcej nie poczuję dreszczyku emocji przy żadnym znalezisku. I zostałam pozbawiona prawa do uśmiechu i ekscytującego oczekiwania.

Zapomniałam jednak, że dziewczynka z książki nie ma mamy, a ja tak. Kilka dni później w szkole znalazła mnie pani od muzyki, która na swoich lekcjach usiłowała nauczyć nas kilku piosenek, aby choć prowizorycznie realizować program edukacji muzycznej w epoce i typie szkoły, gdzie w rzeczywistości nie przywiązywano do takich rzeczy zbyt dużej wagi. I właśnie ta nauczycielka, której nikt nie słuchał, nauczycielka, która przemykała niezauważona i koniec końców stawiała nam wszystkim dobre oceny z tego właściwie nieistniejącego przedmiotu, podeszła do mnie z uśmiechem, a wyraz jej oczu budził nadzieję. Usiadła koło mnie na jednej z ławek na patio i powiedziała, słyszałam, że masz skrzypce, może byś je przyniosła. I nagle świat stanął przede mną otworem.

ANNA

Gdziekolwiek się obejrzę, wszędzie ta wiedźma służąca, teraz w taksówce. Posadziłam ją między drzwiami a skrzypcami, praktycznie nie zostawiając jej miejsca, ale ona nigdy się nie skarży, zawsze wszystko robi tak jak trzeba, zawsze jest taka doskonała. Doskonała jako służąca, żeby nie było wątpliwości. Teraz gapi się na wystawy, jakby widziała je po raz pierwszy w życiu, to jasne, że nie można się z nią pokazać na ulicy. Jak też Mark mógł wpaść na taki pomysł... Ciekawe, czy na dokładkę jeszcze się popłacze, kiedy zaczniemy grać. Na razie mocno trzymam Marka za rękę i zauważam, że on też lekko odwzajemnia mój uścisk i uśmiecha się. Och, Mario, mam nadzieję, że teraz wyraźnie widzisz, że niektórzy mogą mieć w życiu, co chcą i kogo chcą, a inni, jak ty, zostają z niczym. A Karl przeszedł już do historii.

Nie czas już na łzy. Kiedy przekazano nam wiadomość o jego śmierci, płakaliśmy wszyscy jak jeden mąż, a ja poczułam, jakby wyrwano mi coś z głębi trzewi, coś, co było częścią mnie i wraz z tą śmiercią zostało mi wydarte przemocą, i nie miało tu znaczenia to, co wydarzyło się niespełna dwa dni wcześniej, kiedy zapukałam do drzwi jego pokoju hotelowego. Teraz jednak, choć bardzo długo musiałam żyć z tą wyrwą, minęło wiele lat i rana w końcu się zasklepiła.

To intrygujące, jak trudno dostrzec upływ czasu, kiedy wszystko maluje się w ciemnych barwach. Z kolei jasne lata mkną jak na skrzydłach, nie ma jak ich zatrzymać, nie możesz przystanąć ani na chwilę, jakby ktoś mówił ci, no dalej, naprzód, jesteś już spóźniona.

Mama była wiecznie spóźniona. To pa, córeczko, wychodzę, ojej, nie całuj mnie, bo mnie ubrudzisz, fukała, kiedy czepiałam się jej spódnicy, żeby tylko została. Robiłam to, odkąd tylko pamiętam, błagałam ją, żeby została. Ona jednak nie zostawała nigdy, przypominała właśnie jasne lata, które mkną jak na skrzydłach, nawet gdy była, już jej nie było, jak jakiś niematerialny byt, anioł, którego nie można dotknąć ani mieć pewności, że się go rzeczywiście widziało. Można go sobie tylko wyobrażać. Zaprowadź panienkę na lekcję skrzypiec, mówiła do służącej. Skrzypce stanowiły wymówkę, którą sobie wymyślili, żeby im nie przeszkadzała, oni, czyli rodzice. Chociaż właściwie mojemu ojcu nie trzeba było nawet przeszkadzać, ponieważ był gorszy od anioła, nigdy go nie było, nie dało się go zobaczyć. Kiedyś zapytałam służącą, czy mam ojca. Oczywiście, że masz ojca, Anno, wykrzyknęła zbulwersowana. Więc gdzie on jest, zapytałam, ściskając dłoń tej widzialnej kobiety, jedynej, którą widziałam w całym domu, jedynej, która mnie słuchała, a także jedynej, która mnie strofowała lub zwracała mi uwagę, jeśli robiłam coś nie tak. Miała na imię Clara i była niezbyt ładna. Kiedy zdejmowała fartuszek, żeby wyjść z domu, spryskiwała się wodą kolońską, która nadawałaby się do odstraszenia dzikich bestii. Mówiłam jej, żeby się tym nie psikała, bo cuchnie. Używałam sobie na całego, robiłam miny i udawałam, że się wachluję, żeby jakoś przegnać z powietrza ten smród, od którego robiło mi się niedobrze.

Berlin jest bardzo spokojny, ale jego mętna przeszłość skrywa się w rzece, którą koniecznie muszę znów zobaczyć. Moja mętna przeszłość również dzień w dzień odbijała się w wodzie, chociaż nie tak zimnej i przejrzystej, w małym stawie w parku koło domu. Zawsze tamtędy przechodziłyśmy we wtorkowe i czwartkowe popołudnia w drodze na lekcję skrzypiec. Wokół rozlegały się krzyki dzieci, takich samych jak ja, które bawiły się w chowanego albo usiłowały rozjuszyc opiekującą się nimi służącą. No ale ja szłam na lekcję, nie mogłam zostać. Któregoś dnia, gdy zamarudziłam bardziej niż zwykle, Clara powiedziała mi, że w stawie mieszkają malutkie wróżki, które porywają dusze dzieci zbyt długo wpatrujących się w wodę. Naszła mnie wtedy jeszcze większa ochota, żeby zostać. No chodź, bo się spóźnimy, nakazała służąca, pociągając mnie delikatnie, acz stanowczo. A ja z winy skrzypiec nie zobaczyłam

wodnych wrózek.

Nienawidziłam skrzypiec.

Twój ojciec dużo podróżuje, mówiła mi Clara. Twój ojciec ma dużo pracy. Dużo pracy, jasne, ale kiedy przychodził do domu, witał się ze mną dokładnie tak samo jak inni mężczyźni, którzy nas odwiedzali, i nie wiedziałam, który to. Wtedy mama mówiła, skarbie, zostaw nas samych. I patrzyła na mnie błagalnie swoimi wielkimi, jasnymi oczami, oczami, w których czaiła się groźba, jeśli natychmiast sobie nie pójdziesz, powiem ci coś nieprzyjemnego w obecności tego pana. Który to mój ojciec, zapytałam służącą. Opisała mi go. Nikt mnie nigdy nie nauczył, żeby zwracać się do kogoś tato. A mówienie mamó na nic mi się nie zdało.

Miałam maleńki otwór we wpuście żołądka, był tam od zawsze, ale kiedy mama wychodziła albo wyrzucała mnie z pokoju, bo chciała być z kimś sama, otwór się powiększał. Stawał się wtedy nie do zniesienia jak zżerający mnie od środka wrzód. Nie dało się tego zahamować, robił się większy, coraz większy. A kiedy mama zniknęła, kiedy widziałam, jak piękna i wysmukła rozwiewa się w drzwiach wejściowych, kiedy zostawiała mnie całkiem upojoną delikatną wonią perfum, wówczas czułam się jakby wypatroszona. I stałam tak, trzymając za rękę Clarę, wpatrzona, jak anioł rozpływa się w powietrzu. Najpierw płakałam, dużo płakałam i krzyczałam mamó, mamó. Potem przestałam, ponieważ zdałam sobie sprawę, że i tak nic to nie daje. Nauczyłam się udawać, że nic mnie nie obchodzi, nauczyłam się spojrzenia wyrażającego coś pomiędzy znudzeniem a bezczelnością, podczas gdy w środku umierałam. Nauczyłam się zachowywać pozory. I powoli stałam się silna.

MARIA

Wygląda na to, że podczas koncertu, do którego się przygotowują, odśpiewane też zostanie kilka arii operowych, ponieważ pan Karl dyrygował również w operze. Oj, już ja coś o tym wiem. I wiem też, co się wydarzyło, kiedy robił to po raz pierwszy, w Teatrze Liceu. No dobra, nie wiem, co dokładnie stało się w Liceu, ponieważ nawet mi się nie śniło, żeby się tam wybrać, ale za to dobrze wiem, co tam się wyprawiało w domu z tą śpiewaczką, która o mały włos nie potłukła mi wszystkich naczyń tymi swoimi krzykami. Działo się to na długo przed pojawieniem się pana Marka. Z upływem lat przyzwyczałam się do otwierania wychodzących na park okien i spoglądania na przyrodę, przyoblekającą się różnymi kolorami w zależności od pory roku, podczas gdy w tle sączyła się muzyka pana Karla, zamkniętego w sali z fortepianem. Mogłam tam sprzątać jedynie wczesnym rankiem, gdy jadł śniadanie, ponieważ potem nigdy nie było wiadomo, kiedy tam wejdzie ani o której stamtąd wyjdzie. Nie pamiętałam już mojego dawnego życia, Andaluzja została daleko w tyle, tak samo jak dwa czy trzy domy, w których służyłam, zanim poznałam pana Karla. Trzeba przyznać, że w tamtych domach musiałam tylko sprzątać, podczas gdy u pana Karla na mojej głowie było wszystko, wszystko, co wykraczało poza muzykę. Proszę iść po takie partytury do tego sklepu, zlecał mi, wręczając kartkę z jakimiś nazwiskami, a ja mówiłam dobrze i szłam. Chodziłam też po struny do skrzypiec albo wzywałam stroiciela, ponieważ takie dostawałam polecenie od pana. A kiedy wysyłał mnie po stroiciela, sama już się orientowałam, że to konieczne, ponieważ wydawało mi się, że fortepian czuje w sercu jakiś ogromny żal i delikatnie popłakuje. Pan zlecał mi także załatwianie biletów na samolot w biurze podróży, gdzie zaprzyjaźniłam się z obsługującą mnie dziewczyną, bo była bardzo sympatyczna i zawsze przyjmowała mnie z uśmiechem, chociaż podejrzewam, że było to spowodowane faktem, iż pan kupował u niej sporo biletów lotniczych. Któregoś dnia zapytałam tę dziewczynę, czy leciała kiedyś samolotem i co się wtedy czuje. Powiedziała, że leciała i że nic się nie czuje, po prostu robi ci się niedobrze.

Mnie wczoraj nie było niedobrze, czułam się natomiast bardzo dziwnie. I pomyślałam o dziewczynie z biura podróży, która już tam nie pracuje, bo się zestarzała i pewnego dnia przeszła na emeryturę. Dowiedziałam się o tym w zeszłym tygodniu, kiedy poszłam tam kupić bilet, żeby tu przylecieć. Wszystko się zmieniło i biuro też, minęło w końcu tyle lat, odnowiono je i jest teraz dużo jaśniejsze i przestronniejsze. Kiedy pan Karl został dyrygentem w operze, powiedział mi, że to wszystko jest bardzo skomplikowane i nie będzie go teraz w domu częściej niż zwykle, rzadko też będzie na kolacji i możliwe, że będzie do nas przychodzić dużo ludzi na próby i muszę być przygotowana.

I tak też się stało, zniknął na jakiś czas, wychodził z domu bez pożegnania, nie dlatego, że był źle wychowany, tylko po prostu nie pamiętał o takich rzeczach, a potem nagle się zjawiał, czasem sam, czasem w towarzystwie. I mówił to swoje tradycyjne, Mario, niech nikt nam nie przeszkadza. A potem słyszałam głosy, nieraz trzech, czterech osób, a innym razem tylko jednej kobiety. Wizyty samej kobiety stały się jednak coraz częstsze.

Kiedy po raz pierwszy usłyszałam tę kobietę, pomyślałam, że ma bardzo ładny głos. Gdy coś mówiła albo się śmiała, miałam wrażenie, że dźwięczą dzwoneczki, jak ten, który mieliśmy w jadalni i służył do wzywania mnie. Potem zamykała się z panem Karlem w sali z fortepianem i śpiewała, podczas gdy on grał. I wtedy ten głos nie był już taki ładny, darła się jak głupia, aż się człowiek obawiał, żeby nie straciła głosu od wyciągania tych wszystkich wysokich tonów. Pierwszego dnia wprawiła mnie w osłupienie. Odkurzałam akurat stojące przy wejściu popiersie Beethovena, a był to jedyny z tych jego muzyków, którego nazwisko coś mi mówiło, ponieważ kilka razy o nim słyszałam, a poza tym pan codziennie, kiedy tamtędy przechodził, zwracał się

do niego słowami brzmiącymi mniej więcej *gut'n tag, Herr Beethoven*, jakby to był żywy człowiek.

Zajęta Beethovenem, do którego zakamarków trudno było dotrzeć zwykłą szmatką do kurzu, dobrze słyszałam, co dzieje się w sali. Czasami celowo się tam ustawiałam i zasłuchiwałam się w odgłosy rozmów, gry czy śpiewu tych ludzi, którzy wydawali mi się aniołami niebieskimi, ponieważ wychodziło im to tak dobrze, jak organiście w kościele, do którego chodziłam na mszę w niedzielne poranki. Nie uważałam, że to nieładnie tak podsłuchiwać, nie wydawało mi się to złe ani brzydkie, i tak samo nie dostrzegłam w tym niczego złego w dniu, w którym słuchałam samej śpiewaczki z panem akompaniującym jej na fortepianie. Ćwiczyli piosenkę, której słowa przypominały hiszpański, ale jednak nim nie były, i człowiekowi wydawało się, że rozumie, ale nie rozumiał. Później dowiedziałam się, że to włoski, w którym gustowali stali bywalcy Liceu. Oczarował mnie ten głos, oczarował, ponieważ był jak te olbrzymie ciężarówki, które tłamszą wszystkie inne odgłosy ulicy. Co za krzyki. W głowie mi się nie mieściło, jak coś takiego może wydobywać się z człowieka. Mój głos, kiedy śpiewałam *Moja śliczna gołąbeczko*, całkiem by zginął obok tego. Tak mnie zaskoczył ten dźwięk, wydał mi się tak mało ludzki, że postanowiłam zobaczyć, jak ona to robi, i podeszłam pod same drzwi, w których była nieużywana przez nas dziurka od klucza. Przyłożyłam do niej oko i zobaczyłam ich. Pan, odwrócony plecami, grał tak, jakby zależało od tego jego życie, gestykulując całym ciałem i poruszając głową w górę i w dół. Śpiewaczka, gruba blondynka z piersiami unieruchomionymi w staniku tak wielkim, że przypominał dwa garnki, też gestykulowała, ale ona rękami, jakby odgrywała komedię na scenie. Zaśpiewała całą piosenkę i zakończyła ją takim piskiem, że już myślałam, że pęka szkło.

I wtedy stało się coś niesamowitego. Kiedy już podnosiłam się, żeby odejść, pan wstał od fortepianu, podszedł do śpiewaczki i, ku mojemu zdumieniu, pocałował ją. Zrobił to jak w filmach, które przez czyjeś niedopatrzenie prześlizgnęły się przez sito cenzury i puszczano je w telewizji, ponieważ wtedy mieliśmy już telewizor i od czasu do czasu coś oglądaliśmy. Po drugiej stronie drzwi otworzyłam szeroko usta i zakryłam je dłonią, dławiąc okrzyk. Chciałam odejść, ale nie mogłam, o nie, to, co się tam działo, przerosło mnie i kiedy ujrzałam, jak pan ciągnie śpiewaczkę na sofę, pomyślałam, że muszę stamtąd natychmiast iść, ale jakaś wyższa siła przygwoździła mnie do dziurki od klucza, podczas gdy ja w myślach prosiłam Boga o wybaczenie, pomna, że zawsze jest wyrozumiały dla moich słabości. Tego, co później zobaczyłam, nie mogę powtórzyć, ponieważ uwłaczałoby to poczuciu elementarnej przyzwoitości, której kobieta mojego pokroju nigdy by nie uchybiła.

ANNA

Patrzcie ją, już tu jest. Gra tam sama, Teresa, pośród innych muzyków, jakby ona też należała do orkiestry. Nie puszczam ręki Marka, dopóki nie mam pewności, że wszyscy zobaczyli, iż łączy nas coś więcej niż tylko relacje zawodowe między dyrygentem a skrzypaczką. Prawie wszyscy już o tym wiedzą, ale może ktoś się jeszcze ostał.

Maria jest już na sali. Powłóczy nogami, a głowę ma spuszczoną, jakby wypatrywała monet na podłodze, to właściwe ludziom takiego pochodzenia. Co za koszmarny przebýwać z nią w jednej taksówce i w tym samym hotelu. Na szczęście nie leci z nami. To silniejsze ode mnie, gryzie mnie to, źle się z tym czuję, niektórzy ludzie zostali stworzeni do życia na pewnej stopie, a pozostałym przypadł w udziale inny los. Dlaczego zaprosiła służącą, zapytałam Marka szczerze zdziwiona. Ponieważ mieszkała z nim przez wiele lat, dłużej niż ja, odpowiedział. I poszedł sobie, przekonany, że to wystarczający powód. Mark jest uparty i jak coś sobie ubzdura, ciężko wybić mu to z głowy. No ale zabierać służącą w taką podróż, tego tylko brakowało, bądźmy szczerzy.

Nie poruszałam już więcej tego tematu. Czasem widzisz, że walisz głową w mur, a ja zawsze właśnie tak się czułam. Sytuacja się powtórzyła, kiedy usiłowałam nie dopuścić do przyjazdu Teresy. Na nic się to nie zdało.

Teresa, ile to już lat. Właśnie kiedy ją poznałam, moje życie się zmieniło. Skończyły się prywatne lekcje gry na skrzypcach w tamtym domu pełnym ciemnych półek z ułożonymi w teczkach partyturami, śmierdzącymi biedą i wilgocią. Skończyło się zniechęcenie doświadczenia przechodzenia przez park pełen dzieci, żeby spotkać krzywonosego nauczyciela, który zmuszał mnie do wbijania palców w struny, *en souffrant*, jak mawiał, i sam też dociskał mi je swoimi paluchami, sprawiając ból, i wtedy ja, która i tak już nosiłam ból w sobie, doznawałam go także od zewnątrz. Jego oczy wbijały się w moje i któregoś dnia powiedział, że mam tam czarną chmurę. Gdzie, spytałam zbита z tropu. Wewnątrz źrenicy, odburknął. I wskazał ją palcem tak krzywym jak nos, a ja, nie wiedząc czemu, zrobiłam się czerwona i odwróciłam wzrok. On znów wbił swoje palce w moje, przyciskając je do strun, *en souffrant*, a ja zdusiłam okrzyk bólu i starałam się grać machinalnie, starałam się wszystko robić machinalnie, aż któregoś dnia nie wytrzymał i oznajmił Clarze, proszę przekazać państwu, że ta dziewczyna nie nadaje się na skrzypaczkę. Albo nie, proszę nic nie mówić, sam do nich zadzwonię.

I tamtego dnia, kiedy wróciłyśmy do domu już po jego telefonie, mama wymierzyła mi siarczysty policzek. I jeszcze jeden, i kolejny. Mama od czasu do czasu biła mnie po twarzy i miałam potem czerwone policzki, ale tamtego dnia tak bardzo dostałam, że przypominały truskawki. Tata, kiedy już wiedziałam który to, nigdy tego nie robił. No ale, prawdę mówiąc, skoro nawet na mnie nie patrzył, zbytnio mnie nie interesowało, co mógłby mieć mi do powiedzenia. Interesowały mnie za to policzki wymierzone przez mamę, ponieważ sprawiały mi przyjemność, wydawały mi się pieszczotami, których wiecznie mi skąpiła, a teraz nadeszła na nie pora. Okazały się trochę mocniejsze, ale koniec końców była to forma kontaktu z mamą, kontaktu z nią, nie z sukienką, która plamiła się łzami, kiedy tylko podeszłam zbyt blisko. Zauważyłam, że mama zaczęła łatwo wpadać w gniew, odkąd mężczyzna, który najczęściej ją odwiedzał, zniknął z horyzontu, głośno trzasnąwszy drzwiami. Już tego samego dnia, gdy się do niej przysunęłam, strasznie na mnie nakrzyczała, a potem jeszcze ją podpuściłam i dostałam niezły policzek. Nazajutrz wpadłam na pomysł, żeby zacząć głośno śpiewać. Chciałam, by straciła cierpliwość i przyszła mnie uciszyć, a ja wtedy nie zamilknę. Tak też zrobiłam i kolejny raz mi się oberwało. A potem przyszło mi do głowy, żeby wylać mleko ze śniadania na białą niedzielą sukienkę i dostałam dwa razy. I tak codziennie wywijałam jakiś numer, wyczekując

policzków, pragnęłam ich. Co ty wyprawiasz, Anno, dlaczego ją prowokujesz, pytała przerażona Clara. Ja nic na to nie mówiłam, tylko dyskretnie się śmiałam, bawiło mnie to, znalazłam przyjemność w policzkowaniu, przyjemność, która z każdym dniem coraz bardziej mnie podniecała i popychała do nowych wybryków. Dłoń mamy była ciepła i w chwili uderzenia oddawała mi to ciepło. Przez tę jedną sekundę wytwarzała się między nami nic kontaktu, czego pragnęłam najbardziej w świecie.

Owego dnia kiedy zadzwonił nauczyciel skrzypiec, dnia, w którym skończyło się granie *en souffrant*, policzkom nie było końca. Uśmiechałam się, kiedy mnie biła, co doprowadzało ją do jeszcze większego szału. Nie znosiła, jak się uśmiechałam, a ponieważ zdawałam sobie z tego sprawę, uśmiechałam się jeszcze szerzej i byłam w stanie wytrzymać jej wzrok, niewzruszona, świadoma mojej siły wobec jej słabości, chociaż to ja dostawałam lanie. Bolało, ale w pewnym momencie nie czułam już bólu, tylko na nią patrzyłam i czerpałam nieopisaną przyjemność z tego, że mnie dotyka i mam ją tylko dla siebie, że to ja tak ją rozzłościłam, przeze mnie jest w takim stanie. I zaczęły docierać do mnie krzyki Clary, już wystarczy, proszę pani, wystarczy, a ona nie zwracała na to uwagi, aż Clara stanęła między nami i nas rozdzieliła, i wtedy, ku mojemu zdumieniu, mama wybuchnęła płaczem.

Clara dawała mi znaki, żebym sobie poszła, a sama zajmie się mamą. Posłuchałam jej i skierowałam się w stronę łazienki. Piekły mnie policzki, kręciło mi się w głowie, ale uśmiech nie zniknął z mojej twarzy. Idąc, kołysałam się jak wańka-wstańka. Weszłam do łazienki i popatrzyłam na siebie w lustrze, dotykając rękami policzków. Mama miała pierścionek, który się przekręcił, i kamień szlachetny trochę mnie poharatał, pojawiła się krew. *En souffrant*, pomyślałam. I nie uroniwszy ani jednej łzy, umyłam twarz i wytarłam się ręcznikiem, starając się, żeby pozostało na nim jak najwięcej plam.

MARK

Wiecznie jest na mnie uwieszona, wiecznie. Nie mogę być sam ani na ulicy, ani na scenie jak tutaj. Czuję się, jakbym znowu był uwięziony, otoczony murem.

W dniu upadku muru wszyscy wyszliśmy z domów i szliśmy przed siebie jak automaty. Nie przestaliśmy iść, dopóki nie znaleźliśmy się po drugiej stronie. Ciężko mi teraz zrekonstruować w myślach tę ścianę. Przejadło mi się przyglądanie się jej od drugiej strony, z daleka rzecz jasna, ponieważ podchodzenie zbyt blisko było nierozważne. Nie było tam żadnego wyłomu, którędy dałoby się uciec, o nie, gdzie spojrzeć – zwarta konstrukcja, co potwierdzały liczne nieudane próby ucieczki, które kończyły się tragedią. Tragedie te mroziły krew w żyłach wszystkim nam, którzy uciekaliśmy tylko w snach.

I nagle, pewnego dnia, pojawiły się wyrwy umożliwiające ucieczkę, wyrwy pełne światła, wyłomy, które wiodły ku wolności.

Formowaliśmy ludzkie rzeki w poszukiwaniu tych wyłomów, które wreszcie łączyły nas ze światem zewnętrznym, a przekroczenie ich nie groziło już śmiercią. Przyszli po mnie już poprzedniej nocy i oznajmili, że wszystko się rozpada, że można przejść na drugą stronę, że nikogo nie zabijają. Nawzajem się przekrzykiwali. Byli to koledzy z konserwatorium, a ja, przerażony, mówiłem ciiii, usłyszają nas. W tamtych czasach nigdy się nie krzycało, wszystko mówiliśmy szeptem, w ciszy, nie mogliśmy podnosić głosu, wolno nam było robić wszystko dyskretnie, dyskretnie malować i dyskretnie grać, zawsze pod czujnym okiem policji, która jasno dawała nam do zrozumienia, że nie jesteśmy wolni. Żyliśmy w cichym kraju, kraju, w którym chodziło się na paluszkach, kraju, w którym nawet silników samochodów prawie nie było słychać. I oni wtedy zaczęli krzyczeć na całe gardło i chwyтали mnie za barki i mną potrząsali. Mark, jesteśmy wolni, możemy przejść na zachodnią stronę.

Nie poszedłem z nimi w nocy ze względu na mamę, było z nią źle i nie mogłem zostawić jej samej. Przy życiu tak naprawdę musiała trzymać ją tylko chęć posmakowania wolności, bo nazajutrz, kiedy tylko się dowiedziała, wstała, ubrała się i przyszła po mnie, zataczając się. Mamo, co ty wyrabiasz, krzyknąłem, gdy zobaczyłem ją w przedpokoju ubraną i gotową do wyjścia. Idziemy, oznajmiła. I cały ten ból, który nieustannie rysował się jej między brwiami, nagle jakby trochę stopniał, na kilka godzin ustąpił miejsca światłu, które jaśniało na jej czole, światłu sączącemu się z wyłomu w naszym odwiecznym murze. Nie starałem się jej tego wyperswadować, zrozumiałem, że musi przeżyć ten dzień, nie mogła opuścić tego świata, nie wiedząc, co jest po drugiej stronie. Berlin Zachodni, który znała, był Berlinem zniszczonym przez wojnę, wojnę, która była świadkiem jej narodzin i pierwszych dziecięcych lat, a potem przyszły ciężkie wyrzeczenia powojnia. Urodziła się i całe życie spędziła w więzieniu, a teraz chciała się dowiedzieć, czym jest wolność. Chcę zobaczyć, co tam jest, powiedziała, obciążając płaszcz i kierując się w stronę drzwi. A ja poszedłem za nią, wziąłem ją pod ramię i szliśmy dość długo, aż w końcu znaleźliśmy wyłom, przez który wszyscy przechodzili. Po drugiej stronie jaśniała wolność. Drzysz, synu, powiedziała, patrząc na mnie z uśmiechem. Rzeczywiście, cały się trząsałem, przerażała mnie myśl, że mam stamtąd wyjść. Spotkanie z nieznanym zawsze budzi lęk, nawet jeśli jest synonimem wolności. Przez chwilę to ona była silna, a ja słaby.

Dzisiaj dziwi mnie, jak mogliśmy przez tyle czasu żyć w takim zacofaniu cywilizacyjnym. Chociaż, prawdę mówiąc, jest coś, za czym tęsknię – cisza, narzucony spokój, który zmuszał nas do oddawania się bez reszty rzeczom, które naprawdę kochaliśmy. Nie było rozrywek, nic nas nie rozpraszało, nie odrywało od tego, co znajdowało się w centrum uwagi, w moim przypadku od muzyki. Wraz z innymi mieszkańcami mojej dzielnicy, dzielnicy artystów, czuliśmy, że łączy nas wyjątkowy sekret. Tym sekretem było wyzwolenie poprzez

sztukę. Wydobywała się ona z naszych instrumentów, była obecna w malarstwie wypełniającym kolorami nasz plac, czy też wylaniała się spod zakazanego pióra, które usiłowało wypruć wnętrze reżimu.

Hałas Berlina Zachodniego był przytłaczający. Chmary samochodów mknęły szybciej niż wiatr. Ludzie tam nie spacerowali jak w Berlinie Wschodnim, tylko biegali, śpieszyli się nie wiadomo gdzie, sprawiali wrażenie wiecznie spóźnionych. I wszędzie było pełno świateł, kolorowych świateł, które raziły w oczy nazwami marek handlowych, kompletnie mi wówczas nieznanych. Wydawały mi się kolejną próbką lśniącego Zachodu, który po drugiej stronie zawsze postrzegaliśmy jako najlepszy z możliwych światów. Wraz z mamą staliśmy z ustami otwartymi z wrażenia. Witajcie, wykrzyknęła grupka chłopców, którzy podeszli do nas z butelką wina i kilkoma plastikowymi kubeczkami. Napiliśmy się z nimi, ale natychmiast odeszli, by ugościć inne, podobne nam osoby. Właściwie to parliśmy naprzód popychani przez mrowie ludzi, którzy chcieli podbić świat.

Chodźmy, synku, powiedziała wtedy mama. Spojrzałem na nią i zdałem sobie sprawę, że między jej brwiami znów panoszył się ból. Nigdy się go już nie pozbyła, zabrała go ze sobą do grobu. Pewnie ten nadmierny wysiłek, tak długi marsz, przyspieszył proces chorobowy. Goniła resztkami sił i sam nie wiem, z jakich rezerw korzystała przy tym zrywie. Kiedy docieraliśmy do domu, już ją niosłem, ponieważ nie była w stanie pokonać ostatnich metrów. Mimo to, kiedy kładłem ją do łóżka, miała jeszcze na tyle energii, żeby powiedzieć mi z uśmiechem, nie mogłabym umrzeć, gdybym tego nie ujrzała.

Umarła dwa dni później. Dla jednych był to miesiąc zmarłych, dla innych miesiąc wolności. Pochowałem ją i zacząłem się zastanawiać, co mam ze sobą zrobić, skoro wszyscy wokół porzucali domy i udawali się na poszukiwanie lepszego życia w Berlinie Zachodnim. Pomyślałem o ojcu i postanowiłem go odnaleźć. Wziąłem wiolonczelę, nuty, sprzedałem pianino i przyleciałem do Barcelony w wigilię Bożego Narodzenia.

ANNA

– Zaczynamy!

Mark uderza batutą w pulpit. Trzymam skrzypce w gotowości, nie spojrzałam na Teresę, nie powiedziałam jej nawet cześć. Postarałam się natomiast zlokalizować Marię i wystarczyło rzucić jej przelotne spojrzenie, żeby natrafić na jej oczy uparcie wbite w moje. Oczy o nadprzyrodzonym blasku. Może jest czarownicą. Zła wiedźma przede mną i wstrętne dziwka grająca na skrzypcach u mego boku. Ale Mark jest mój. I chcę zabrać go nad rzekę. Muszę odnaleźć moją duszę, a skrywają ją wodne tonie, gdzieś na świecie, więżą ją od tamtego dnia, kiedy została wessana do stawu koło domu. Chodźmy tam, powiedziałam Markowi dziś rano. Idź sama, ja muszę ćwiczyć, odburknął. I muszę teraz szukać rzeki całkiem sama, a nie umiem jej znaleźć. Może tak jak Karl przestała już istnieć.

Karl był pierwszym prawdziwym mężczyzną, którego poznałam. Mój krzywonosy nauczyciel skrzypiec był raczej babą niż mężczyzną, przyjaciele mamy przypominali krążące wokół niej trzmielce, a taty tak naprawdę nie znałam, dopóki mama nie odeszła.

Z kolei Teresa, kiedy trafiłam do niej na lekcje, otworzyła przede mną drzwi wielkiego świata. Pewnie myślisz sobie, że koniec ze skrzypcami, powiedziała mama kilka dni po zabawie w policzkowanie, patrząc mi groźnie w oczy, teraz pójdziesz do szkoły muzycznej, a tam nie ma miejsca na indywidualne traktowanie, chodzą tam wszyscy. Miała na myśli, że chodzą tam biedacy, którzy nie mogą sobie pozwolić na opłacanie dobrego nauczyciela. Jak zawsze kiedy coś mówiła, bacznie się we mnie wpatrując, pozostałam nieruchoma, niewzruszona, wytrzymałam jej spojrzenie w nadziei, że może dzięki temu oberwę, ale tym razem nie oberwałam. Dziecko, nie mam już do ciebie siły, nie rozumiem, w kogo ty się wdałaś, mówiła z nagłym ruchem ręki i znikwała w tych swoich szpilkach, wzbudzających mój nieustający podziw, bo w głowie mi się nie mieściło, że ktoś może w czymś takim chodzić. Tamtego dnia jednak sama nie wiem, co we mnie wstąpiło, wypłynęło to gdzieś z głębi mnie, dostrzegłam, być może, szczelinę w niezdobytym murze, jakim była ta kobieta, tak przeze mnie pożądana i jednocześnie tak znieawidzona.

Podeszłam do niej od tyłu i objęłam ją. A ona na chwilę, na króciutką chwilę, zatrzymała się, stukot jej obcasów umilkł, i ku mojemu zdziwieniu pogłaskała mnie po rękę. Był to jednak tylko moment, jakby miała chwilę słabości, a potem już zareagowała słowami nie teraz, dziecko. Nie zmusiła mnie, żebym ją puściła, ale oczekiwała, że zrobię to z własnej inicjatywy. A kiedy zabrałam ręce, odeszła, nie oglądając się za siebie.

Odwróciłam się i zobaczyłam Clarę, która przyglądała się tej scenie i płakała.

MARIA

Najpierw wyszła na scenę śpiewaczka operowa. Pani Teresa i pani Anna będą grały później. Teraz zaś kolej tej kobiety. W porównaniu z tamtą pana Karla jej włosy nie są tak jasne ani nie jest tak gruba. Kiedy pan Mark dał znak, a orkiestra zagrała już kilka taktów, ona nagle zaczyna śpiewać słodkim głosem, dużo ładniejszym niż u tamtej śpiewaczki, czystym głosem, który dociera dokładnie tam, gdzie powinien, gdzieś głęboko, i porusza moją wrażliwą strunę, która nie może oprzeć się takim uniesieniom, drży i rozpada się na kawałki, a ja nie mogę nic na to poradzić.

W tamtej chwili, wiele lat temu, przy pierwszej wizycie śpiewaczki operowej pana Karla, kiedy oderwałam się już od dziurki od klucza, postanowiłam, że też znajdę sobie chłopaka, żeby tak mnie całował, jak pan całował ją. Przy okazji dodam, że przyszła do nas kilka razy i również kilka razy miała miejsce scena na sofie. Trzeba przyznać, że zawsze kiedy się to odbywało, pan był potem bardzo spokojny, jakby zrzucił z barków jakiś ciężar. Muszę też powiedzieć, że zwracałam szczególną uwagę na te konkretne wizyty i, niech mi Bóg wybaczy, przytykałam oko do dziurki od klucza za każdym razem, kiedy tylko przychodziła. Obudziło to jednak we mnie potrzebę znalezienia sobie chłopaka, który będzie mnie całował. Ponieważ spędzałam wieczór poza domem tylko w czwartki i wychodziłam wtedy z koleżanką, też służącą, zadanie nie wydawało się łatwe. No ale ostatecznie zjawił się sam i szukanie nie było już konieczne. Chcę przez to powiedzieć, że nie znalazłam go, wychodząc wieczorami z koleżanką, tylko na mszy. Chłopak ten zawsze klęczał w ostatnich ławkach, tak jak ja, ponieważ był to kościół państwa i ludzie o mojej pozycji chowali się po kątach z tyłu. Przykuł kiedyś moją uwagę, ponieważ w oczy rzucała się jego żarliwa pobożność. Przyjrzałam mu się i wydał się bardzo samotny, ale któregoś niedzieli czekał na mnie przed kościołem. Wygląda na to, że też mnie sobie obejrzał i wpadł mi w oko. Cześć, jak masz na imię, zagaił na mój widok. Przedstawiłam się i okazało się, że on ma na imię Pepe. Stał pod światło, był to jeden z tych słonecznych, zimowych dni, a on ustawił się akurat między mną a słońcem, więc prawie nie widziałam, czy się uśmiecha i w ogóle jaki ma wyraz twarzy, ale wydał mi się po trosze drugim słońcem. Moglibyśmy wybrać się razem na spacer, zasugerował. Dobrze, odpowiedziałam. I tak właśnie zaczęliśmy się spotykać. Chodziliśmy do parku nad staw, robiliśmy kilka rundek, po czym wracałam do domu. Mówił, że mieszka w jednym z okolicznych domów, bardzo dużym domu, wraz z rodzicami, którzy od wielu lat byli na służbie u państwa. Zawsze bawiłem się z dziećmi państwa, opowiadał, zadzierając przy tym podbródek, żeby przydać sobie ważności. Wyciągnął papierosa i spytał, czy palę. A ja, chociaż nigdy nie paliłam, powiedziałam, że tak. Wzięłam papierosa do ust i robiłam dokładnie to co on, czyli zaciągałam się dymem. O mało nie umarłam, zaczęłam strasznie kaszleć i nie mogłam oddychać. Kilka razy uderzył mnie w plecy i powiedział z uśmiechem, że jeśli nie mam ochoty, nie muszę palić, to żaden obowiązek. Poderwałam się z ławki, na której siedzieliśmy, i ocierając łzy wyciśnięte przez dym i kaszel, wymamrotałam, że muszę już iść. On też wstał, uśmiechnął się i powiedział, czyli jesteśmy umówieni na przyszłą niedzielę, tak? Tak, w przyszłą niedzielę. Nie miał dwóch zębów i zauważyłam to dopiero w momencie, gdy mówił mi do zobaczenia. Ze względu na te brakujące dwa zęby już mi się tak nie podobał, ale pomyślałam, że to pewnie żadna przeszkoda, żeby całować tak, jak pan całował śpiewaczkę operową. Tak więc nie przywiązywałam do tej kwestii zbyt wielkiej wagi.

Niedziele różniły się od pozostałych dni tygodnia. Wyróżniały się, ponieważ z samego rana szłam do kościoła, a gdy wracałam, zawsze zastawałam pana na sofie. Siedział z zamkniętymi oczami i udawał, że dyryguje jedną z tych niekończących się piosenek, które nie mają słów. Początkowo nie wiedziałam, jaki nosi ona tytuł, ale teraz już wiem, że to koncert na

dwoje skrzypiec niejakiego Bacha, a wymawia się to nazwisko tak, jakby kończyło się na hiszpańskie *j*, tylko trochę słabiej. Pan nauczył mnie tego pewnego dnia, kiedy znałam już całą tę melodię na pamięć, a może i lepiej. Wymyśliłam nawet słowa „Muszę posprzątać w całym, całym domu”. Miałam rozrywkę, gdy rozbrzmiewała ta muzyka, a ja ścierałam kurze z popiersia Beethovena – to nazwisko akurat potrafiłam wymówić – i też zwracałam się do niego *gut'n tag*, zupełnie jak pan, chociaż nie miałam pojęcia, co to znaczy. I śpiewałam po cichutku, jak zawsze, a potem następowała druga część koncertu, tym razem wolniejsza, i wydawało się, że jest przeznaczona do tańca. Ponieważ nie miałam partnera, zostawiałam ściereczkę, brałam miotłę i ruszałam w tany. A potem koncert znów przyśpieszał, więc wracałam do śpiewania. I tak już było zawsze, odkąd wymyśliłam słowa, co niedziela to samo, aż któregoś razu, co było do przewidzenia, pan mnie przyłapał. Z zamkniętymi oczyma wirowałam ze szcztoką, nucąc sobie na-na-na, żeby rozkołysać się w rytm melodii, aż tu nagle potknęłam się i wyłożyłam jak długa, wydając krótki krzyk. Jak się okazało, potknęłam się o but pana. I okazało się też, że bardzo gwałtownie zareagowałam, ku mojemu własnemu zaskoczeniu, a jego tym bardziej, co się rozumie samo przez się. No i co pan najlepszego robi, krzyknęłam, trochę uważniej, człowieku, nie widzi pan, że mam zamknięte oczy. Gdy tylko usłyszałam własne słowa, zorientowałam się, że przeciągnęłam strunę, bo przecież ja, prosta Maria, nie mogę jak gdyby nigdy nic strofować pana Karla, nie może tak być, świat staje na głowie. Natychmiast przeprosiłam i zrobiłam się czerwona jak burak. Ale pan się tylko roześmiał, jak wtedy, gdy piliśmy w kuchni czekoladę i dostał ataku wesołości. Pomógł mi wstać i powiedział, proszę ze mną. Zaprowadził mnie do sali z fortepianem i kazał usiąść na ławeczce. Ależ co pan robi, zaczęłam labidzić. Dość już tego, Mario, śpiewa pani bardzo dobrze i tańczy też bardzo dobrze, lubi pani muzykę, prawda? No tak, ale, usiłowałam coś wtrącić. Żadnych ale, uciał, proszę dać mi rękę. Podałam mu prawą dłoń, lekko płoniąc się ze wstydu, bo była zaniedbana. Nie była to dłoń pani z towarzystwa, tylko dłoń służącej i czuć było zapach ługu oraz środków do dezynfekcji. On jednak nie zwrócił na to uwagi, wziął moje palce, sama nie wiem jak, i ułożył je na klawiszach, a potem przycisnął jeden moim kciukiem i powiedział c, gdy rozległ się dźwięk, następnie kolejnym palcem d, zabrzmiał inny dźwięk, i e, i f, i g. Tylko tyle było trzeba, bym w jednej chwili doznała wrażenia, że z parku zleciały się nagle wszystkie świetliki, które pewnej nocy widziałam przez okno sali, i rozjaśniły mi w głowie. Poczułam też, że twarz mam mokrą od łez wzruszenia, nad którymi nie byłam w stanie zapanować, nie było rady. Pan oznajmił mi wtedy, Mario, naucz się pani grać na fortepianie. Całkiem zbaraniałam na te słowa. Odchodził już, kiedy krzyknęłam, proszę pana. A on odwrócił się i spytał, co się stało. Wtedy wykrztusiłam, ale nikomu o tym nie powiemy. Uśmiechnął się pod nosem, dobrze, nikomu nie powiemy. I zostawił mnie tam, gdy tak siedziałam, ocierając łzy.

Inne łzy, od dymu z papierosa mojego chłopaka, ocierałam w drodze do domu. Kiedy wróciłam, pan skończył już słuchać koncertu Bacha. Poczułam lekki żal w sercu. Wtedy nagle zobaczyłam go za popiersiem Beethovena, późno dziś pani wraca, rzucił rozbawiony. Trochę zamarudziłam po drodze, odpowiedziałam, odwracając twarz, żeby nie zauważył, jak się rumienię. To co, zaczynamy lekcję, zakomenderował. Jaką lekcję, aż podskoczyłam. Lekcję fortepianu, powiedział jak gdyby nigdy nic. Trochę to zajęło, zanim zdobyłam się na jakąś reakcję, a tak, tak, jasne. Poszłam za nim do sali, jedną ręką ściągając płaszcz, a drugą czapkę. Nie ćwiczy pan dziś opery, w moim pytaniu czaiło się drugie dno. No ale on nie dostrzegł ani drugiego, ani nawet pierwszego dna, powiedział po prostu, a nie, z tym już koniec, przygotuję teraz koncert z orkiestrą. Nie skomentowałam tego, tylko dałam mu się uczyć. Pan delikatnie chwycił mnie za palce i z jego pomocą robiłam coś, co nazywał gamą, od c do c, przekładając kciuk pod pozostałymi, kiedy kończyła się ręka, ponieważ ta gama rzecz jasna miała osiem

dźwięków, a moja dłoń tylko pięć palców i skądś trzeba było wytrzasnąć brakujące trzy. A teraz lewa, mówił, i robiliśmy wtedy to samo lewą ręką. I gama w górę, gama w dół, najpierw mi pomagał, a potem już sama. W przyszłym tygodniu zrobimy to obiema rękami, zobaczy pani. Najchętniej bym wtedy stamtąd nie wychodziła. Takie wchodzenie i schodzenie, jeśli umiało się to robić szybko, musiało być ogromnym zaskoczeniem dla słuchacza. Może gra na fortepianie wcale nie była taka trudna. Może nawet taka Maria by się do tego nadała.

W tamtym tygodniu wiele się wydarzyło. Po pierwsze, nauczyłam się powoli grać gamy obiema rękami, w górę i w dół. Wydawało mi się to cudowne, niesamowite, a jednak to robiłam. Wzruszenie chwyciło mnie za gardło, kiedy tak siedziałam przy fortepianie i grałam raz w górę, raz w dół. Pan też sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego, zaczął bić mi brawo, a na koniec dodał, coś mi się zdaje, że zasłużyliśmy na czekoladę z bitą śmietaną.

Drugie istotne wydarzenie miało miejsce w środku tygodnia. Ktoś zadzwonił do drzwi, a kiedy otworzyłam, okazało się, że to śpiewaczka operowa, ta od pocałunków i sofy. Nie zdążyłam jeszcze wykrztusić słowa, gdy odepchnęła mnie łokciem i włądowała się do środka. Skierowała się prosto do sali z fortepianem, ponieważ pan akurat ćwiczył i dobiegała stamtąd muzyka. Co pani robi, odezwałam się w końcu. Pan też zaczął mówić, co ty wyprawiasz, i na tym koniec, ponieważ owego dnia miejsce pocałunków zajęli siarczyste policzki, jeden z takich, które niosą się echem po całej dzielnicy. Pan stanął jak wryty. A na dodatek jeszcze żona, powiedziała przed wyjściem, a więc pragnęłaś mnie tylko dla opery. I odeszła z godnością, z wysoko podniesionym czołem, dyskretnie ocierając łezkę, którą, jak udało mi się zauważyć, jednak uroniła.

A trzecia nowina jest taka, że mój chłopak mnie pocałował. Kiedy to robił, usta całkiem wypełniły mi się smakiem dymu. Nie byłam do końca pewna, czy lubię ten smak, czy też nie, ale tak czy owak nie przestawał być to smak pocałunku, jak u pana Karla i śpiewaczki operowej. Poczulałam, jak całkiem wdziera mi się do ust, i nie wiedziałam, czy w ogóle mogę oddychać. Potem uśmiechnął się bez dwóch zębów i zapytał, czy mi się podobało. Powiedziałam, że tak, bo co innego mogłam powiedzieć. Wtedy objął mnie ramieniem i odprowadził do domu. A ja trzymałam go w pasie. Kiedy doszliśmy na miejsce, zanim się pożegnaliśmy, znów mnie pocałował.

Otworzyłam drzwi i natknęłam się na pana. Miał dziwny wyraz twarzy, trudno było cokolwiek z niej wyczytać. Ma pani chłopaka, widziałem przez okno, powiedział. Tak, odparłam, jak tylko zdałam sobie sprawę, że nie ma sensu zaprzeczać. Pan przeszedł obok mnie, kierując się do swojego pokoju, gdzie zwykle udawał się tylko wtedy, kiedy pora już była spać. Ale zanim wszedł po schodach na górę, popatrzył na mnie i dodał, w końcu jest pani bardzo ładna. Bardzo.

Gdy tylko zniknął, natychmiast pobiegłam przejrzeć się w lustrze. Słowa pana Karla były jak trzęsienie ziemi i czułam się, jakby raptem zleciały się wszystkie ptaszki z parku, obsiadły moją głowę i naraz zaczęły swoje radosne trele. Wpatrywałam się w siebie przez chwilę i tamtego dnia też wydałam się sobie śliczna.

ANNA

Pierwsze spojrzenie Marka w momencie rozpoczęcia koncertu ani mnie ziębi, ani grzeje. Pierwsze spojrzenie Karla dotarło do samego dna moich oczu. Sprawilo mi ból, a od bardzo dawna nikt nie sprawiał mi bólu. Wejdz, powiedział w tym swoim dziwnym języku, w którym po równo wymieszały się hiszpański, kataloński i niemiecki. Zaprowadził mnie do sali z fortepianem. Po drodze spotkaliśmy Marka. Był nikiem, chłopcem przed trzydziestką, który studiował jeszcze dyrygenturę i żył z sukcesów ojca. Przywitał się i zniknął. Marii tamtego dnia nie widziałam, musiała mieć wychodne, ponieważ kiedy była w domu, wszędzie było jej pełno, zupełnie jak teraz. Ta kobieta jest jak zaraza.

Karl usiadł za fortepianem i powiedział, żebym zaczęła grać, gdy tymczasem on będzie wykonywał partie drugich skrzypiec, partie Teresy, chociaż wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to ona miała mi partnerować. Oczywiście najpierw wyjęłam skrzypce z futerału. Tamtego dnia przyniosłam skrzypce do ćwiczeń, ale następnym razem, gdy zorientowałam się, że w ten sposób mogę wyrzucić na nim wrażenie, zabrałam ze sobą te dobre. Stainer, jaki ładny, powiedział, wykonując przy tym dziwny gest, jakby coś rozpoznał, mogę zobaczyć, poprosił, po czym wziął ode mnie skrzypce i zaczął je lustrować od góry do dołu. Przesunął palcem po niewielkiej plamie, o której Teresa powiedziała mi kiedyś, że to drobne zadrapanie, które kazała naprawić, oraz spojrzął przez efy i przeczytał napis, jakby chciał się upewnić, że to autentyczny stainer.

To wszystko miało jednak miejsce później. Kiedy byłam tam po raz pierwszy, natychmiast mi przerwał. Wystarczy, rzucił nagle, przestając grać. Po czym zawyrokował, druga skrzypaczka wkłada w grę zbyt wiele duszy, a tobie całkiem jej brakuje, gdzie ją masz? Wytrąciło mnie to z równowagi, nikt nigdy nie powiedział mi nic podobnego na temat mojej muzyki. Jego oczy przybrały nieco inny wyraz i oznajmił, grasz niesamowicie dobrze, tak dobrze, że aż strach. Poczułam, jak rosnę we własnych oczach, ale wtedy dokończył myśl, a jednak brakuje ci serca. Bach nie ma serca, zaprotestowałam. Może i nie, odparł, ale na pewno ma duszę. I skrzypce też ją mają. A ty nie. Zapadła cisza. Całkiem uszło ze mnie powietrze i już myślałam, że właśnie przechodzi mi koło nosa szansa na tournée z tym dyrygentem, co ostatnimi czasy stało się moim marzeniem. Wtedy znowu na mnie spojrzął i zapytał, kto pozbawił cię duszy. Nie wiem, odpowiedziałam, wzruszając ramionami, nie do końca pewna, czy pytanie to zostało zadane na poważnie.

Lecz tak naprawdę dobrze wiedziałam. Moja dusza zniknęła w dniu, w którym mama odeszła, żeby już nigdy więcej nie powrócić. Pewnego ranka nie było jej w domu i myślałam, że wyjechała w podróż, ale Clara płakała i płakała, aż w końcu wydusiła z siebie, że mama już nie wróci. W pierwszej chwili nie dotarło to do mnie, ale ona nie mogła już dłużej wytrzymać i powiedziała mi, że mama zostawiła tacie liścik, w którym informuje go, że odchodzi, ponieważ nikt jej nie kocha ani nie potrzebuje.

Wysłałam z domu i nogi poniosły mnie nad staw w parku. Miałam wtedy czternaście lat i nie wierzyłam już w wodne wróżki. Uwierzyłam natomiast, że woda, na której unosiły się różowawe nenufary o szerokich liściach, pozbawiła mnie tej resztki duszy, która mi jeszcze została i o którą wiele lat później miał się upomnieć Karl. Nagle poczułam, że przepełniają mnie wyrzuty sumienia, ponieważ byłam pewna, że mama odeszła przeze mnie. Na pewno myślała, że jej nie potrzebuje. I lży, choć sądziłam, że już ich nie mam, znowu napłynęły mi do oczu, i przepłakałam cały wieczór, siedząc na ławce. Aż stałam się pusta jak wydmuszka, a staw, który wypił mi duszę, trwał niewzruszony zupełnie jak ja, gdy mama patrzyła na mnie po tym, jak mnie biła. Być może też udawał, tak jak ja.

Gdy zapadła noc, powoli powlokłam się do domu. I wtedy poznałam tatę.

TERESA

Kiedy odeszła matka Anny, ona nic mi nie powiedziała, ale wiedziałam, że coś się stało, a kilka dni później, korzystając z okazji, że dziewczynka wyszła na chwilę do łazienki, służąca zajrzała na moment do sali i szeptem poinformowała mnie o sytuacji. Teraz mieszka z ojcem, wyjaśniła. Do tej pory nigdy nie wspominała o ojcu, odparłam. Bo nigdy go nie było, ale teraz jest, teraz już zostanie.

Myśli krążące wokół muzyki, obecne i te z przeszłości, moje myśli zawsze krążą wokół muzyki, ale teraz, gdy tak siedzę w oślepiającym blasku reflektorów, mam nieodparte wrażenie, że ten Bach nagle idealnie odzwierciedla całe moje życie. Bach jest zbyt dokładny, zbyt jasny. Po krótkiej wymianie zdań ze służącą też wszystko stało się jasne. Anna od razu się domyśliła, że rozmawialiśmy. Jeśli tylko będziesz czegoś potrzebować, wystarczy powiedzieć, odezwałam się w końcu, wyczuwając, że sytuacja stała się dość krępująca. Dziękuję, powiedziała tylko i skupiła się na pracy domowej, partyturze, którą miała wtedy przygotować.

Anna została bez matki, a moja się zestarzała. Wcześniej jednak ofiarowała mi muzykę, podała mi ją na srebrnej tacy. Kiedy pani od muzyki powiedziała, żebym przyniosła skrzypce, to zobaczymy, jak brzmią, i spróbujemy coś zagrać, słuchałam jej bez słowa, ale łzy, moje słodkie łzy, bezszelestnie spływały mi po twarzy i nie mogłam temu zaradzić. No już, dziecinko, wyszeptala, ocierając mi je kciukiem, niedługo się przekonamy, czy mieszka tu w środku mały muzyk, a mówiąc to, wskazała na moje serce. Tak, krył się tam muzyk, a byłam nim ja i nazajutrz przyniosłam do szkoły skrzypce. Najpierw jednak wróciłam do domu i pobiegłam uściskać mamę. Przytuliłam ją bardzo mocno i jeszcze rzewniej się rozplakałam. A ona całowała mnie gdzie popadnie i mówiła, przykro mi, że nie stać mnie na opłacenie ci lekcji gry na skrzypcach. Może któregoś dnia, córeczko, może któregoś dnia.

Ziściło się to niedługo później. Pani od muzyki była pianistką, ale potrafiła układać palce na gryfie i naciskać struny w taki sposób, żeby przy pociągnięciach smyczka wydobywały się z nich dźwięki. I mówisz, że znalazłaś je na śmietniku, powiedziała, podziwiając znalezisko. Tak, odpowiedziałam, kawałek się ułamał. I pokazałam jej drobne zadrapanie na instrumencie. Da się to naprawić, odparła i chwyciła skrzypce, jakby chciała mi je zabrać. Wydawało mi się, że umieram, nie, krzyknęłam. Nie bój się, tylko oglądam, uspokoiła mnie. I wtedy przymknęła jedno oko, a drugim zajrzała przez ef. Nie mogłam dojrzeć jej oczu, ale widziałam wargi, które jakby coś mówiły, chociaż nie wydawały żadnego dźwięku, tylko się poruszały, jakby czytała napis znajdujący się w środku. Wtedy jeszcze go nie rozumiałam, ale teraz już wiem, że po prostu widnieje tam, że to stainer z 1672 roku. Stainer, do tej pory nie mogę pojąć, jak mogłam w taki sposób się go pozbyć. W tamtej chwili było mi jednak obojętne, czy to stainer, czy sadurni. Po chwili znów ukazały mi się oczy nauczycielki, ponieważ zagwizdała i spojrzała na mnie jeszcze raz głęboko poruszona. Jej twarz przybrała zupełnie inny wyraz, gdy przykazała mi, nie dawaj ich nikomu, dobrze? Przytaknęłam skinieniem głowy, lecz tak naprawdę nie musiała mi tego mówić, nie miałam zamiaru nikomu oddawać mojego instrumentu, i to nie dlatego, że był to stainer, ale ponieważ były to skrzypce i wydobywała się z nich muzyka. Następnie pani nauczyła mnie uzyskiwać na skrzypcach te same dźwięki, które wygrywała na pianinie, całą gamę, chociaż wtedy nie wiedziałam nawet, że nazywa się to gama. Poszłam na plażę i ćwiczyłam. Właśnie tam, pośród szumu fal, po raz pierwszy czarowałam przy pomocy tego narzędzia, które było dla mnie czymś więcej niż tylko skrzypcami, było niemal ojcem, którego nigdy nie miałam. Spędziłam na plaży długie godziny, ćwicząc w kółko to samo. A nazajutrz zostałam chwilę po lekcjach i pokazałam pani, jak dobrze już mi wychodzi. Powinnowała mi. Wówczas znalazła dla mnie zapis nutowy prostej piosenki i poniżej każdej nuty napisała mi jej nazwę, ponieważ nie

znałam nazw dźwięków. I powiedziała, w przyszłym tygodniu widzimy się tego samego dnia, masz już wtedy znać nuty na pamięć i potrafić zagrać tę piosenkę. Tak więc wracałam na plażę w każdej wolnej chwili, kiedy nie musiałam iść z mamą na wysypisko, i ćwiczyłam, ćwiczyłam to wszystko, co zadała mi nauczycielka. Od nieustannego grania porobiły mi się odciski na palcach, ale było mi to obojętne, nie czułam bólu, czułam jedynie, że z tej drewnianej skrzynki powoli wyłania się melodia. Czułam, że udaje mi się uchwycić muzykę, mam ją, jest już prawie moja. A po upływie czterech czy pięciu tygodni nauczycielka poinformowała mamę, że nie jest już w stanie niczego więcej mnie nauczyć i powinnam zacząć chodzić na lekcje gry na skrzypcach. Zabrzmiało to jak wyrok, ale wtedy uśmiechnęła się i wymówiła magiczne zdanie, dostanie stypendium na naukę.

Chodziłam do szkoły muzycznej, dopóki w wieku dwudziestu lat nie uzyskałam tytułu skrzypaczki. A dwa lata później zaczęłam tam pracę jako nauczycielka. Dzięki mojej pensji mama mogła przestać sprzątać cudze domy, ale dalej zajmowała się szyciem. Ja też przestałam sprzątać mieszkania i niszczyć sobie dłonie. Popołudniami cierpiałam, że nie mogę przygotowywać się do porannej lekcji albo egzaminu, i kiedy już po zmroku wracałam do domu, szłam na plażę, żeby nikomu nie przeszkadzać, i tak było zawsze, zimą czy latem. Zimą obcinałam sobie palce w rękawiczkach, żeby móc grać. A kiedy myłam naczynia w domu, w którym akurat mnie wynajęto, w głowie powtarzałam sobie utwory zadane na następny dzień. W parku z dziećmi, na ulicy czy w autobusie poruszałam palcami w kieszeniach, żeby nie utracić zręczności. Nie mogłam sobie na to pozwolić, jeśli chciałam być skrzypaczką. A pragnęłam tego najbardziej w świecie.

ANNA

Pierwszy skrzypek w orkiestrze ma na imię Maties, jak mój ojciec, którego, jak się okazało, jednak miałam. Mark przerywa na chwilę koncert i prosi go o lekkie zwiększenie tempa. Tamten przytakuje skinieniem głowy i orkiestra już rozumie, że należy przyspieszyć.

W wieku czternastu lat zrozumiałam, że wszystko się zmieniło, wszystko. Dzień po odejściu mamy zjawił się tata. Rzeczywiście był to jeden z mężczyzn, którzy nas odwiedzali, ale zawsze zostawał na krótko, nie uśmiechał się do mnie ani nic nie mówił. Kurczę, ale urosłaś, powiedział mi tamtego dnia, tym razem z uśmiechem. I popatrzył na mnie z radością w oczach, której nie byłam w stanie zrozumieć. Szczerze mówiąc, wydawało mi się, że dopiero co zaświtała mu w głowie. I wtedy ku mojemu zaskoczeniu zapytał, a jak tam skrzypce. Kiedy pierwszy szok minął, odpowiedziałam, że dobrze, teraz już dobrze. Co chcesz przez to powiedzieć, drażył zaintrygowany. Siedzieliśmy w jadalni, po tylu latach jedzenia w samotności albo w kuchni z Clarą okazywało się, że nagle mam z kim jadać śniadania, obiady i kolacje. Nie byłam do końca pewna, czy cieszy mnie fakt, iż ten całkiem obcy człowiek siedzi ze mną przy jednym stole, jak gdyby nigdy nic, po czternastu latach nieobecności. W tamtej chwili czułam się jednak zobligowana do odpowiedzi, chodzi o to, że nie lubiłam poprzedniego nauczyciela, a nauczycielkę ze szkoły muzycznej lubię i teraz też lubię skrzypce.

Powiedziałam to w ten sposób, ponieważ nie wiedziałam, jak mu to wytłumaczyć. Nie wiedziałam, jak wyrazić, że w wieku trzynastu lat, kiedy spojrzenie nie uciekało mi już w bok, gdy przechodziłam przez park, kiedy nie doznawałam już niepoohamowanego pragnienia, żeby iść się pobawić z innymi dziećmi, dotarło do mnie, że ten instrument, skrzypce, jest wszystkim, co mam, jedyną rzeczą w moim życiu, która naprawdę do mnie należy. Przez pewien czas myślałam, że mam Clarę, ale wtedy znalazła sobie narzeczonego i oznajmiła, że bierze ślub i odchodzi. Najpierw poinformowała o tym mamę, a potem tatę, jeżeli pan sobie życzy, mogę przychodzić na godziny, ale nie mogę tu dłużej mieszkać, powiedziała. Na co tata odparł, że nie ma takiej potrzeby, że może odejść, ponieważ potrzebny nam ktoś, kto będzie z nami mieszkał na stałe.

Miałam więc tylko skrzypce. Zupełnie jak teraz, kiedy gram na nich, jakby zależało od tego moje życie, staram się odpierać wszystkie ataki skrzypiec Teresy, a czasem patrzymy sobie w oczy i może się wydawać, że toczymy regularną wojnę, wojnę rozpętaną z winy mojego ojca.

Pamiętam, że odchylił się na krześle z kawałkiem chleba w rękę i zadzwonił po Clarę, żeby przyniosła deser. I wyznał mi wtedy, wiesz, uczysz się gry na skrzypcach, ponieważ ja tak zadecydowałam, to moje niespełnione marzenie. Zawsze chciałem grać na skrzypcach, ale zdaniem rodziny miałem się zająć poważnymi sprawami, a nie jakimiś błahostkami, kazali mi studiować zarządzanie, sama rozumiesz, a nie było nas stać na dodatkowe studia. Chodziłaś do nauczyciela, którego mi polecono, i w ogóle się nie uczyłaś, tak mówiła mi twoja matka. Teraz natomiast rzeczywiście zabrałaś się za naukę, prawda. Prawda. No i co niby miałam mu powiedzieć? A więc to on był winien, że przez Bóg wie ile lat chodziłam *en souffrant* do krzywonosego skrzypka. To on był sprawcą moich męczarni. Po cichu go nienawidziłam. Pociągnęłam łyk wody i przystąpiłam do kontrataku. Czemu nigdy cię nie było? W ogóle nie poczuł się skrępowany tym pytaniem, wręcz przeciwnie, zareagował, jakby to było najzwyczajniejsze pytanie pod słońcem, spojrzał w okno i po chwili zastanowienia powiedział, szczerze mówiąc, z twoją matką nie dało się żyć. W tym się zgadzamy, pomyślałam, ale milczałam, ponieważ najwyraźniej chciał mówić dalej. Clara przyniosła deser, a tata mimo wszystko kontynuował, musiałem ułożyć sobie życie, wiesz, a ona musiała ułożyć swoje, umówiliśmy się więc, że będę przychodził tylko raz w miesiącu podpisywać papiery. Od lat wynajmuję mieszkanie jak najdalej

stąd. Powiedział to jak gdyby nigdy nic. Gdzieś w głębi mnie odezwał się ostry głos, wydobywał się z jakiejś bezdennej jamy i krzyczał, a co ze mną, czemu, kiedy tu przychodziłeś, nawet się ze mną nie witałeś, czemu ani razu mnie nie pocałowałeś i czemu nie dopuściłeś, żebym się dowiedziała, kto jest moim ojcem. Głos krzyczał dalej, ale w środku, słowem się na ten temat nie zająknęłam. Powiedziałam za to coś, co wiedziałam, że go zaboli, i zrobiłam to z łyżeczką ciasta w buzi, no a ja nie miałam pojęcia, który z tych wszystkich mężczyzn jest moim ojcem, w ogóle cię nie pamiętałam.

Udało mi się go zranić, dostrzegłam to w jego oczach, aż przestał jeść. Delektowałam się tym zwycięstwem nad wrogiem, nad nim, jak przeżuwającym akurat ciastem. Słowem się już nie odezwał.

Potem poszłam popatrzeć na staw. Woda była cicha i spokojna, był weekend, nie było dzieci, nikogo nie było, tylko kilka osób wyprowadzało psy. Popatrzyłam na moją duszę rozpostartą na tej płynnej powierzchni, na której ze stoickim spokojem unosiły się nenufary. Dobrze ją widziałam, moją duszę, i spoglądałam na nią codziennie, aż nagle zniknęła. Musiała wyparować na słońcu. I przyszło mi do głowy, że może pod postacią deszczu spadła do innej rzeki, jeziora czy morza. Od tamtej chwili wszędzie jej szukam, od rzeki do rzeki, od jeziora do jeziora, nad brzegiem morza, a kiedy się zbliżam, mam wrażenie, że słyszę jej pomruki i żale. Mogę jedynie wyczuć jej obecność, ale nie pozwala mi się pochwycić.

Tamtego dnia, kiedy dusza jeszcze nie wyparowała, wróciłam do domu i oznajmiłam ojcu, a tak przy okazji, pilnie potrzebne mi nowe skrzypce, mam tylko dziecięce i są już za małe. Tata uśmiechnął się z grzeczności, bez większej ochoty, ale nic mnie to nie obchodziło, i tak z lubością upajałam się poczuciem, że całkiem go przeczłogałam. Będziesz miała swoje skrzypce, powiedział wreszcie, ale może lepiej porozmawiamy najpierw z twoją nauczycielką, żeby dowiedzieć się, co dokładnie jest ci potrzebne.

MARK

Ojciec miał prawdziwą obsesję na punkcie koncertu na dwoje skrzypiec Bacha, mama wiecznie mi to powtarzała. Najwyraźniej co niedzielę przeklinała pod nosem, kiedy od samego rana, od razu po przebudzeniu, musiała tego słuchać, podczas gdy ojciec zachowywał się, jakby dyrygował jedną ręką, z zamkniętymi oczami, w ekstazie. Byłem tego świadkiem później w Barcelonie, również każdej niedzieli, zawsze siedział na sofie, zawsze ze wzniesioną dłonią, zawsze z zamkniętymi oczami. A wieczorem, mówiła mama, wychodził czasem z kolegami muzykami i na placu urządzały improwizowane wieczorki bachowskie. Zawsze, ale to zawsze był drugimi skrzypcami, inny kolega grał partie pierwszych skrzypiec, a pozostali instrumentalisci robili za całą orkiestrę. Najwidoczniej w czasach ich młodości, tuż po wojnie, w okresie wielkiego głodu, grali, żeby nie myśleć o jedzeniu. Ludzie zjeżdżali się z całego Berlina, żeby tylko ich posłuchać. Ona, mama, była jedną z takich osób, które się tam gromadziły, patrzyły i słuchały, rzucając wyzwanie zimnu, głodowi i stanowi wyjątkowemu, którym objęty był wtedy Berlin. Była to oaza sztuki i ciepła, mówiła. Tak właśnie się poznali. Przymierał głodem, ale nigdy nie pozbył się skrzypiec, nie chciał ich sprzedać, kochał je. Miała na myśli stainera, takiego jak ten Anny. Ona dostała go w prezencie, tak mi powiedziała. Ojciec odziedziczył swojego po dziadku Austriaku, którego nigdy nie poznałem.

Mama opowiadała mi potem o czasach, kiedy ojciec został już dyrygentem orkiestry w Berlinie Wschodnim. Zaczynał wtedy wyrabiać sobie nazwisko jako dyrygent, a jego marzeniem był podwójny koncert z udziałem dwóch skrzypaczek, które podziwiał, ale obydwie miały już swoje lata, były dużo starsze niż on. Rozpalała go interpretacja tych dwóch kobiet, mówił, że koniecznie muszą z nim zagrać, zanim przejdą na emeryturę. No i dopiął swego, udał się na tournée po całych Niemczech Wschodnich z nimi dwiema i orkiestrą. Zdobył wtedy sławę, która przekroczyła granice i mury. Nic dziwnego, w końcu znał ten koncert na pamięć, powiedziałem mamie półzartem, słuchając tej historii. A ona zacisnęła wargi i po chwili wyszeptwała, jakby od niechcienia, no tak, w końcu je też znał na pamięć, obydwie. Nie zrozumiałem wtedy, co miała na myśli, ale nie odważyłem się odezwać. Tak się złożyło, że kiedy ojciec wrócił z tego tournée, mama czekała na niego ze spakowanymi walizkami. Jego walizkami. Stało się to niedługo przed moimi narodzinami. Kiedy tylko zapytałem, czy mam ojca, mama powiedziała mi, że rozstali się, zanim przyszedłem na świat, i że ojciec może i był uzdolnionym muzykiem, ale był też kobieciarzem.

Dzisiaj, kilka sekund przed rozpoczęciem ukochanego utworu ojca, koncertu Bacha, zastanawiam się, jak to możliwe, że mama rzeczywiście uwierzyła, że uganiał się za tymi kobietami. Dochodzę do wniosku, że musiała być zazdrosna, ona nie mogła dać mu tego, co dostawał od nich, nie mogła nawet zbliżyć się do tej muzycznej ekstazy, którą przeżywał ze swoimi skrzypaczkami. Wiem, co mówię, bo ja też tego doświadczam, a chociaż z Anną rzeczywiście łączy mnie coś więcej, z Teresą już nie i chodzi tylko o muzykę. A tego mama nigdy nie potrafiła zrozumieć.

Ojcu nie wystarczyło, że porzucił dom. Władze chciały go wypromować, był jednym z pupilków reżimu i kiedy wysłano go już do głównych stolic Wschodu, Petersburga, Budapesztu, Pragi oraz Drezna, nadszedł czas, żeby wyprowadzić go na spacer na zewnątrz, na Zachód. Obskoczył główne europejskie stolice i skończył w Barcelonie. Zaproponowano mu tam, żeby nie wracał. I tak zrobił, przekonany, że nikt mu już nie został po drugiej stronie żelaznej kurtyny. O mnie nie miał zielonego pojęcia aż do chwili, gdy zadzwoniłem do drzwi jego domu w Wigilię miesiąc po upadku muru berlińskiego.

Maria, ta sama Maria, która przywitała nas dziś w hotelu miną, jakby nie rozumiała,

czemu ją tu sprowadziliśmy, otworzyła drzwi, a na progu stałem ja. Mówiła jakimś dziwnym hiszpańskim dialektem. Potem już wiedziałem, że to andaluzyjski z domieszką katalońskiego. Niewiele wtedy rozumiałem, w szkole średniej miałem raptem kilka lekcji hiszpańskiego. Była ubrana jak pokojówki w hotelu koło mojego domu w Berlinie, w brązową sukienkę i biały fartuszek. Nigdy nie widziałem, żeby w prywatnym domu ktoś chodził w takim stroju, więc w pierwszej chwili pomyślałem, że źle trafiłem. Mimo to wymieniłem nazwisko ojca, a ona dała mi znak ręką, żebym chwilę poczekał. Po chwili pojawił się on.

Rozglądałem się wokół.

– Gotowi? – pytam, wznosząc batutę.

– Jeszcze chwileczkę... – odzywa się Teresa, ponownie układając sobie instrument na ramieniu.

Kątem oka spoglądałem na Annę. Jest gotowa, ona zawsze ze wszystkim jest gotowa, inni ludzie budzą w niej zniecierpliwienie, zwłaszcza Teresa. A kiedy gra, na czole robi jej się zmarszczka, oczy same się zamykają, a wargi stają się ponętne jak nigdy, nawet bardziej niż wtedy, gdy po raz pierwszy się do mnie uśmiechnęła, bardziej niż wtedy, gdy widywałem ją, jak grała z moim ojcem, i umierałem z ochoty, by usłyszeć ją z tak bliska.

W kilku susach znalazł się przy drzwiach. Ojciec robił wrażenie, wysoki i barczysty. Kobieta w uniformie i fartuszkach zniknęła. Odezwałem się do niego po niemiecku i już od progu oznajmiłem, że przyjeżdżam z Berlina Wschodniego. Wzbudziłem jego zainteresowanie, twarz rozpromieniła mu się w szerokim uśmiechu i zaprosił mnie do środka. Poszedłem za nim do obszernej sali z oknami wychodzącymi na park pełen drzew. Poprosił, bym usiadł, i zadzwonił po Marię. Zapytał, czy mam ochotę na herbatę, przytaknąłem skinieniem głowy, zapomniałem języka w gębie na widok takich luksusów, byłem do tego kompletnie nieprzyzwyczajony. I wtedy, siedząc przy herbacie, powiedział tylko, słucham cię, pewnie sobie pomyślał, że mam mu do przekazania wiadomość od kogoś. Nie spodziewał się usłyszeć, że jestem jego synem. Po chwili oszołomienia kazał mi powtórzyć, co mówisz, wykrztusił. Dokładnie to, co pan usłyszał, jest pan moim ojcem, z tego co wiem od mamy, urodziłem się krótko po waszym rozstaniu.

Mojemu ojcu, wielkiemu dyrygentowi Karlowi T., mowę odjęło. Pewnie się zastanawiał, czy mówię prawdę, czy przypadkiem nie jestem jakimś oszustem. Wyciągnąłem z kieszeni wciąż pachnący nowością paszport i podałem mu. Obejrzał go sobie. Widniało tam czarno na białym, że jestem synem jego i mojej matki. Nosilem to samo nazwisko co on.

Wielki Karl T. siedział osłupiały. W końcu jakoś zareagował, zadzwonię do mojej... do twojej matki. Nie żyje, powiedziałem, kiedy już się podnosił. Znów usiadł i znieruchomiał, wytłumaczyłem to sobie szokiem. Prawdę mówiąc, nie było w tym nic dziwnego, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w ciągu kilku sekund dowiedział się, że jego była żona nie żyje i że ma dwudziestoosmioletniego syna. Wyciągnąłem z kieszeni list, mama napisała go przed śmiercią. Wszystko tam wyjaśniała. Od czasu do czasu rozmawiali przez telefon, niepokoił się o nią, ale nigdy mu o mnie nie wspomniała, tłumaczyła w liście, że nie chciała, by kiedyś odebrał jej syna, ponieważ ze względu na okoliczności gdybym jakoś dostał się na Zachód, już nigdy więcej by mnie nie zobaczyła. Mama wręczyła mi ten list niedługo przed śmiercią, jedź tam i daj mu go, nakazała. I tak też zrobiłem.

Wygląda na to, że Teresa jest już gotowa. Stukam batutą w pulpit.

– Zaczynamy.

Kiedy otrząsnął się już z początkowego zakłopotania, ojciec popatrzył na mnie tymi swoimi niebieskimi oczami, które, jak zawsze twierdziła mama, mam po nim, i powiedział, jest tu napisane, że jesteś muzykiem. Zostań u mnie. I zostałem.

MARIA

Zamykam oczy i daję się ponieść muzyce, jakbym ścierała kurz z Beethovena. Muzyka chwyta mnie za serce. Jak ładnie brzmią skrzypce, nawet jeśli to skrzypce pani Anny. Mimowolnie uśmiecham się pod nosem, jak dobrze brzmi stainer.

Niech pani patrzy na fortepian, powtarzał mi pan Karl, ponieważ przygnębiał mnie widok mojej dłoni na klawiszach i jego rąk, układających mi z wolna palce. Proszę nie przerywać palcowania, mówił, codziennie musi pani poświęcić trochę czasu na ćwiczenia, sama pani rozumie. Przytakiwałam skinieniem głowy. Pan Karl powiedział, że codziennie wolno mi przeznaczyć pół godziny na grę na fortepianie i zajmowanie się muzyką. Dobrze, proszę pana, znów przytaknęłam, i kontynuowałam gamy. Wtedy przeszedł do uczenia mnie nut, c, d, e, f, g, i pytał o nie na wrywki i pytał też, jaki dźwięk im odpowiada, a ja musiałam wszystko to umieć i nigdy nie potrafiłam dokładnie utrafić w brzmienie danej nuty, bo każda z nich ma swój własny dźwięk i nie można go sobie ot tak wymyślić, ponieważ jest tylko jeden i to bardzo precyzyjny. Próbowałam z większym lub mniejszym szczęściem, bywały dni, kiedy wydawało mi się, że pan Karl nie ma już do mnie siły, ale innym razem mówił, bardzo dobrze, Mario, bardzo dobrze, i gratulował mi, a ja kraśniałam z zadowolenia, zupełnie jakbym była z moim chłopakiem i mnie całował, i obejmował ramieniem na ulicy.

Widywałam się z nim w niedzielne poranki, zawsze po mszy, ponieważ w czwartki wieczorem nie mógł. Spotykaliśmy się przez rok. Najpierw tylko dawał mi buzi, ale pewnego dnia, kiedy siedzieliśmy na ławce w parku w na tyle ustronnym miejscu, że nikt nas nie widział, zaczął mnie całować jak nigdy. Pocałunek trwał dość długo, aż poczułam ogień w całym ciele, a on coraz mocniej mnie przytulał, aż w końcu położył mi rękę na udzie, jakby chciał wsunąć mi ją pod spódnicę. Ogień ogniem, ale zareagowałam na to siarczystym policzkiem, co ty wyrabiasz, naskoczyłam na niego. Ależ Mario, powiedział, pary robią takie rzeczy, musisz mi pozwolić się dotykać. Nie, fuknęłam, bez ślubu nawet nie ma mowy.

Teraz trochę bawi mnie to wspomnienie, ale w tamtej chwili miałam przed oczami pana Karla i śpiewaczkę operową, i policzek, jaki mu wymierzyła. Byłam niemile zaskoczona, nie spodziewałam się czegoś takiego po moim chłopaku, sama nie wiem dlaczego. Wiedziałam już, że niektórzy ludzie robią takie rzeczy jak pan Karl, ale sądziłam, że akurat on jest przyzwoitym chłopakiem. Był jedynym chłopakiem, którego do tej pory miałam, i aż do tej chwili mi się podobał, ale tamtego dnia nagle się poderwałam i powtórzyłam, takie rzeczy to tylko po ślubie. Oczekałam chwilę. Spodziewałam się, że powie, w takim razie weźmy ślub, i uklęknie, i się oświadczy, naprawdę tak myślałam, ależ byłam głupią gęsią. Święta Panienko z Macareny, jak to człowiek na starość zdaje sobie sprawę z głupot, które robił i myślał za młodu. Tamten chłopak, mój chłopak, który jak ja siadał w kościele w ostatnich ławkach, żeby nikt nie pomyślał, że miesza się z państwem, no więc tamten chłopak, chociaż tyle się modlił i taki był pobożny, znalazł sobie inną, która jak widać pozwalała na wkładanie sobie ręki pod spódnicę, a może nawet na więcej. Dowiedziałam się o tym, ponieważ gdy nie pojawił się na mszy ani w najbliższą, ani w kolejną niedzielę, zaczęłam się martwić i poszłam do domu, w którym mieszkał. Powiedziano mi, że wyszedł ze swoją dziewczyną. Oczywiście myślałam, że to ja jestem jego dziewczyną. A tu okazało się, że jednak nie.

Wracałam do domu ze ściśniętym sercem, łzy same napływały mi do oczu i nie mogłam nad nimi zapanować. Wzrok miałam wbity w ziemię, żeby nikt się nie zorientował, że właśnie utraciłam jedyną radość życia. Kiedy dotarłam do domu, nic już nie widziałam, ponieważ wzrok zasnuwała mi gęsta mgła, czułam się porzucona, zdradzona i samotna. Byłam sama na świecie, ale myślałam, że jak inne kobiety mam prawo wyjść za mąż i mieć dzieci. Najwyraźniej to

jednak nie dla mnie. Otworzyłam drzwi i bez słowa, nie powiedziałam nawet *gut'n tag* Beethovenowi, poszłam prosto do mojego pokoju, wyciągnęłam się na łóżku i płakałam. Leżałam tak tylko przez pół godziny, ponieważ musiałam podać panu obiad, ale łzy dalej płynęły mi po twarzy, gdy skończyłam gotować i miałam zanieść mu posiłek. Modliłam się w duchu, Panie Boże, spraw, żeby się nie zorientował. No i rzeczywiście w pierwszej chwili się nie zorientował, ale potem już tak i kiedy podałam deser, powiedział, a więc sprawdźmy, czy owoce są dziś na słono. Spojrzałam na talerz i okazało się, że tuż przy krawędzi widać było łzę. Przepraszam pana, wymamrotałam otumaniona i wróciłam do kuchni, żeby umyć owoce i podać je na nowym talerzu. Wtedy usłyszałam za plecami jego głos, zgaduję, że nie ma już pani chłopaka. Pan Karl był bardzo bezpośredni, a ja jeszcze bardziej się rozplakałam, przepraszam, ale właśnie się to stało, udało mi się w końcu wydusić z siebie wśród szlochów. Wszystkich nas to spotyka, stwierdził, uśmiechając się pod nosem. Jak sądzę, miał na myśli śpiewaczkę operową, aż podskoczyłam, och, nie, proszę pana, to nie to samo, ja myślałam, że to przyzwoity chłopak, że chce się ze mną ożenić. Jego reakcja była natychmiastowa. Aha, no proszę, więc ja pani zdaniem jestem nieprzyzwoity. Struchlałam, och nie, proszę pana, przepraszam, nie to miałam na myśli, chodzi o to, że myślałam, że, że. Nie wiedziałam, jak się wytłumaczyć. Podniosłam głowę i zobaczyłam, że pan ciągle się uśmiecha, najwidoczniej nie miał mi za złe tego, co powiedziałam, sprawiał nawet wrażenie, że go to bawi. Uśmiech jednak na chwilę zniknął z jego twarzy. Nigdy nie zapomnę jego spojrzenia, kiedy zwrócił się do mnie tymi słowami, prawdziwej muzyki należy poszukiwać głęboko na dnie wszystkiego, rozumie pani. Popatrzyłam na niego, w oczach nie miałam już wtedy łez, i odparłam, nie, proszę pana, nie rozumiem.

Pan nic się na to nie odezwał, ale tamtego dnia sam umył sobie owoce i polecił, dziś wieczorem proszę sobie odpocząć, a jutro jakoś to załatwimy. Dziękuję, wymamrotałam, i powiedziałam sobie, koniec końców mam szczęście, że trafiłam na takiego pana jak pan Karl, który tak dobrze mnie traktuje.

Nazajutrz oczekiwał mnie w porze śniadania. Udało mi się zasnąć i mimo ogromnego ciężaru na sercu czułam się już lepiej. Dobrze, Mario, wczoraj przepadła nam lekcja i nadrobimy ją dzisiaj. Miałam już na końcu języka, że nie mam ochoty, ale nie zdążyłam się odezwać, ponieważ pan podszedł do mnie i oświadczył, teraz, kiedy dobrze już pani wie, jakie mamy nuty i jak brzmią, proszę mi powiedzieć, czy woli pani kontynuować grę na fortepianie, czy nauczyć się grać na skrzypcach. Czekał na moją odpowiedź, a ja, żeby cokolwiek powiedzieć, rzuciłam, to może skrzypce.

I tak, kiedy potrafiłam już wygrywać gamy na fortepianie i dokładnie wiedziałam, jak brzmią nuty i czym są bemole, krzyżyki i coś tam jeszcze, zaczęłam grać na skrzypcach. I powiedział mi wtedy, jakby od niechcenia, że skrzypce, które wyrzuciłam do śmieci, przywiózł ze swojego zamurowanego kraju, a tam odziedziczył je po swoim ojcu, który kupił je w mieście o nazwie Salz... coś tam, otoczonym białymi górami. Kiedy opowiadał o białych górach i skrzypcach, oczy mu błyszczały. Pozwolili mi je zabrać, ponieważ gdy ktoś posiadał tak wartościowy instrument, dostawał zgodę, by wziąć go ze sobą na Zachód, chodziło im o to, żeby wyrzucić wrażenie. Siedziałam jak sparaliżowana, bo dotarło do mnie, że ten instrument był o wiele ważniejszy, niż mi się wydawało, i to akurat jego wyrzuciłam do śmieci. No, już, już, już o tym zapomniałem, to było dawno temu, zapewniał, tak mocno poklepując mnie po ramieniu, że aż krzyknęłam. Nigdy mnie nie dotykał, ale tamtego dnia to zrobił, w dodatku tak ewidentnie, z całych sił, a potem powiedział, to co, napijemy się czekolady. I oto znów siedzieliśmy w kuchni, racząc się czekoladą ze śmietaną, i pan znów wybuchał śmiechem z byle powodu i zarażał mnie tym śmiechem. Patrzcie państwo, ciążył mi wtedy na sercu ogromny smutek, a i tak się śmiałam. Nie potrafiłam rozgryźć jego dziwnego sposobu bycia, ponieważ śmiał się,

kiedy przychodził do kuchni, ale gdy tylko ją opuszczał, przemieniał się w stateczną kukłę, która umiała jedynie grać na fortepianie, śpiewać, z zamkniętymi oczami dyrygować muchami, mówić *gut'n tag* Beethovenowi i grać na skrzypcach – innych skrzypcach, które kupił po utracie stainera. Kiedy wychodził z kuchni, stawał się innym człowiekiem i pochłaniał go świat muzyki, który należał tylko do niego i nikt nie mógł tam wejść.

Wówczas jednak było inaczej. Częściej przychodził do kuchni i częściej prosił mnie do sali, żebym grała na skrzypcach. Palce mnie bolały od naciskania strun, ale podobało mi się poszukiwanie tych samych dźwięków, które wcześniej grałam na fortepianie. Nie poruszał już więcej tematu chłopaka ani szukania muzyki na samym dnie, co wtedy tak zbiło mnie z pantałyku. Przez te kilka dni mówił mi jednak dużo więcej rzeczy niż zwykle. I zauważyłam, że bardziej się mną przejmuje. A kiedy od rozstania z chłopakiem minęło piętnaście dni, podając mu kolację, powiedziałam, już mi lepiej. I dodałam, dziękuję.

ANNA

Ludzie są jednak bardzo głupi, wiecznie wpadają w te same pułapki.

– Przepraszam – bąknęłam, widząc, że Mark wstrzymuje orkiestrę.

Pomyliłam się w pasażu, który wiecznie sprawia mi problem i nie umiem sobie jeszcze z nim do końca poradzić.

– Powtórzmy ten fragment – słyszę głos męża.

Gramy jeszcze raz, a ja czuję, że cała jestem czerwona. Nie znoszę być w centrum zainteresowania, gdy się myślę, ja nigdy się nie myślę, ale tym razem moje myśli krążyły gdzieś indziej i nie byłam wystarczająco skoncentrowana. Kolejny upadek.

Wtedy wpadłam jak śliwka w kompot, może po prostu tego potrzebowałam. W końcu przebaczyłam tacie, że zniknął na czternaście długich lat mojego życia, i to tylko dlatego, że wrócił, zamieszkał ze mną, obsypywał mnie prezentami i dawał wszystko, czego sobie zażyczyłam. Także dlatego, że obiecał, że pojedziemy w podróż, i pojechaliśmy, powiedział też, że kupi mi nowe skrzypce, i kupił je. Z uwagą wysłuchał wskazówek Teresy, ku zdumieniu mojemu i Clary poszedł się z nią zobaczyć. A ja, która tak się zawsze wstydziłam przed nauczycielką, że nie mam rodziców, tamtego dnia poczułam się naprawdę dobrze, czułam, że mogłabym powiedzieć, a widzisz, jednak mam ojca. Prawda była taka, że zamieniłam niewidzialną matkę na ojca, którego trudno było nie zauważyć.

Na początku obecność taty w domu w ogóle mnie nie obeszła. Odczuwałam brak mamy jako pieczenie w żołądku, którego w żaden sposób nie mogłam się pozbyć. Cały czas łudziłam się, że w drzwiach stanie ta kobieta, która nawet na mnie nie patrzyła, wydawała mi polecenia z wysokości swoich szpilek, nie pozwalała mi się obejmować ani nawet dotykać. Miałam nadzieję jakoś ją rozwścieczyć, żeby przyszła i mnie uderzyła, a wtedy doznałabym tej przyjemności, której nie mogłam znaleźć nigdzie indziej.

Pierwszej nocy po jej odejściu, kiedy wróciłam do domu po całym wieczorze spędzonym w parku nad stawem, zamknęłam się w swoim pokoju. Nie zjadłam kolacji, ponieważ miałam wrażenie, że jeśli cokolwiek przelknę, wpadnie to w bezdenne otwory w moim żołądku i zatrzyma się dopiero w stopach, które nagle zogromnieją od niestrawionego jedzenia. Wyciągnęłam się na łóżku i zaczęłam wpatrywać w sufit mojego pokoju. Odbijał się na nim staw w parku i przez otwarte okno wpadało łagodne kołysanie wody. Potem zrobiło się ciemno i do mych uszu dobiegło cykanie świerszczy. A ja dalej, jak gdyby nigdy nic, wpatrywałam się w sufit, z suchymi oczami i suchym sercem. No i bez duszy, ponieważ oddałam ją stawowi i w tym momencie pewnie pożerały ją kijanki. I wtedy przyszła Clara, otworzyła drzwi i usiadła koło mnie. Była tylko służącą, ale nikogo innego nie miałam. Przytuliłam się do niej i się rozplakałam.

Tatę miałam przytulić sporo później. Przytulić go i uwierzyć, ależ ze mnie naiwniaczka, że nadeszły dobre czasy. Stanie się dla mnie wtedy jednocześnie mamą i tatą i przynajmniej na kilka lat zapomnę, że nie było go całe czternaście lat, i będę najszczęśliwszą dziewczyną pod słońcem. Aż wszystko nagle się skończy, ponieważ nigdy nie należy ufać ludziom, którzy się spóźniają.

Miałam za to muzykę i ciągle ją mam. I pomyśleć, że chciałam rzucić skrzypce. Dzięki Teresie zaczęłam widzieć wszystko w innym świetle. A mama twierdziła, że w szkole muzycznej nikt nie będzie się mną przejmował. Jakże się myliła. Teresa już pierwszego dnia zapytała, czemu tak nienawidzę skrzypiec. Byłam w szoku, że się zorientowała, że zauważyła, jak nie znoszę grać. Wzruszyłam tylko ramionami. Powiedziała mi wtedy, musisz brać je w ramiona tak, jakby to był twój ukochany, właśnie tak, a gdy to mówiła, delikatnie ułożyła mi skrzypce na barku. A teraz musisz dotykać swojego ukochanego. Oczy miałam jak spodki. Żarty sobie stroi czy co.

Nie zrozum mnie źle, musisz dotykać jego twarzy i oczu, i ust, żeby wiedzieć, jak wygląda, ponieważ jesteś niewidoma, zamknij oczy, tak, bardzo dobrze, a teraz pociągnij smyczkiem po strunach i zagraj la, nie, nie, nie tak, wcale go nie dotykasz, szarpiesz go, przyjdzie czas i na szarpanie, ale na razie masz go tylko dotykać, musisz go dobrze poznać, właśnie tak, tak dobrze. Teresa mówiła łagodnym, aksamitnym głosem, głosem, który idealnie współgrał z dźwiękiem wydobywającym się ze skrzypiec. Dźwiękiem, który nie miał nic wspólnego, stało się to dla mnie jasne już pierwszego dnia, z brzmieniem uzyskiwanym przeze mnie u krzywonosego nauczyciela. Jeśli bolą cię palce, odpocznij chwilę, powiedziała, gra nie może być źródłem cierpienia. Spojrzała mi w oczy i dodała, twoja gra musi być źródłem muzyki.

Jak prosto tworzy się muzykę, dowiedziałam się dopiero przy Teresie, po tylu latach grania *en souffrant*. Istniała inna droga, żeby dotrzeć do tego samego celu, czemu jesteś taka zdenerwowana, uspokój się, odpręż, w ten sposób nigdy nic nie zagraasz.

Słowa Teresy miały magiczną moc, Teresa uczyła mnie grać, Teresa uczyła mnie wyobrażać sobie, Teresa uczyła mnie wszystkiego. Potem, gdy zamieniłam mamę na tatę, musiała coś zauważyć, ponieważ rzuciła mimochodem, że muzyka pozwala nam się odgrodzić od wszystkiego, co dzieje się na zewnątrz, a nic takiego nigdy wcześniej mi nie mówiła. Prawdę mówiąc nie udawało mi się od niczego odgrodzić, ale faktem jest, że momentalnie się uspokajałam, gdy tylko przeciągałam smyczkiem po tym instrumencie, który z każdym dniem traktowałam coraz bardziej jak przedłużenie mojego ciała, niczym narośl, która nagle się pojawiła i mogłam dzięki niej trochę czarować. A potem, kiedy tata porozmawiał z Teresą i kupił mi nowe skrzypce, spostrzegłam, że życie stało się łagodniejsze.

Tata zawsze był w domu, kiedy wracałam ze szkoły, pytał, czy mam dużo zadane, i pomagał mi w lekcjach na następny dzień. I pytał też, czy mam jakieś problemy, i pomagał mi je rozwiązywać. No dobra, najpierw z niczego mu się nie zwierzałam, ale potem już tak. Zagadnął kiedyś, czy nie miałabym ochoty pojeździć w wakacje po Europie, powiedziałam, że tak, i podróżowaliśmy przez cały miesiąc, i były to najpiękniejsze chwile w moim życiu, chociaż skrzypce zostały w domu. Niemniej wcale za nimi nie tęskniłam. A kiedy już wracaliśmy, w samolocie, pomyślałam sobie, że może się pomyliłam i kijanki ze stawu jednak nie pożarły mi duszy.

Miałam szesnaście lat w dniu, w którym przytuliłam tatę. Nigdy do niczego mnie nie zmuszał, miał świadomość, że wiecznie przyjmuję postawę obronną, że trzymam go na dystans, żeby nie powtórzyła się sytuacja z mamą, ponieważ w głębi serca byłam przekonana, że osoby, które mamy ochotę przytulić, któregoś dnia od nas uciekają, a nie zniosłabym tego, gdyby zniknął z mojego życia, jak już go przytuliłam. I w dniu kiedy się na to w końcu zdobyłam, on też mnie przytulił i zorientowałam się, że płacze i mówi mi, maleńka, nigdy nie patrzyłem ci w oczy, kiedy przychodziłem, bo gdybym to zrobił, nie mógłbym odejść bez ciebie. A twoja matka by mi na to nie pozwoliła.

On płakał, ja płakałam, świat wydawał się przyjazny, życie zupełnie inne. Wszystko się zmieniło, nadchodziło szczęście, które trwało, dopóki nie skończyłam osiemnastu lat. Skończyłam szkołę, a pod okiem Teresy dotarłam do ostatnich poziomów nauki gry na skrzypcach, i to ze znakomitymi wynikami. Nie licząc drobnych problemów, życie było idealne. Clara wyszła za mąż i jej miejsce zajęła dziewczyna, która zajmowała się domem tylko w ciągu dnia, a sypiała u siebie. Na noc zostawaliśmy zupełnie sami, tylko ojciec i ja, i byliśmy szczęśliwi.

Tak, byliśmy szczęśliwi, dopóki któregoś razu nie wybraliśmy się na koncert do Palau de la Música i nie spotkaliśmy tam Teresy.

MARIA

Kiedy pani Teresa pojawiła się u nas w domu, nie traktowałam jej jak pani z towarzystwa, ponieważ parę lat wcześniej widywałam ją w innej roli. Nie była wtedy skrzypaczką, artystką ani nic z tych rzeczy, wówczas bawiła dzieci w parku. Pociąg do skrzypiec musiał pojawić się u niej w starszym wieku, bo wtedy była młodą dziewczyną. Kiedy jednak zapukała do drzwi pana Karla, powiedziałam sobie, to ona, ta sama. Była inaczej ubrana i w ogóle inaczej wyglądała, ale natychmiast sobie powiedziałam, ta dziewczyna myła podłogi jak ja i ścierała kurze jak ja. I w pewien sposób widok Teresy, która przeistoczyła się w panią, dodawał mi otuchy i nawet przyszło mi do głowy, że może ja też mogłabym zostać muzykiem, koniec końców pewnie nie było między nami takiej różnicy, kiedy widywałam ją jako służącą, miała około dwudziestu lat, a ja zaczęłam ćwiczyć gamy gdzieś w tym samym wieku. Teresa przykuła wtedy moją uwagę, bo uciekały jej dzieci, i kiedy codziennie mniej więcej o tej samej porze przechodziłam przez park, było dla mnie jasne, że nie wie, jak je gonić, ponieważ było ich dwoje i sama nie dawała rady. I czułam się złym człowiekiem, bo chciało mi się śmiać, wydawało mi się to zabawne, biedna dziewczyna, nie potrafiła ustawić ich do pionu, no ale na mnie nie patrzcie, ja też bym nie potrafiła, nie umiałabym tak nad nimi zapanować, żeby mieć na oku obydwójce, dzieci to nie dla mnie, dlatego biegusiem pognałam służyć do domu, w którym mieszkał tylko jeden pan, i to samotny, a w dodatku niesprawiający wrażenia takiego, co to chciałby się zenić. Rzecz w tym, że dzień w dzień widywałam Teresę w tej samej sytuacji i śmieszyło mnie to, ponieważ tak naprawdę dzieci nie robiły nic złego, na chwilę się tylko chowały, bez wybryków i nie robiąc sobie krzywdy, żeby trochę się z nią podroczyć. Ona usiłowała je wtedy złapać, a ja myślałam sobie, ale białe dłonie i jakie długie palce, i przyszło mi do głowy, nic a nic nie zmyślam, że nadawałyby się do gry na fortepianie, ponieważ ja próbowałam wówczas grać na fortepianie i patrzyłam wszystkim na dłonie, porównywałam je z moimi, a potem zachodziłam w głowę, czy aby moje palce są wystarczająco długie.

Teresa, pani Teresa, pojawiła się u nas, kiedy pan Mark już się wprowadził. Tak naprawdę to pan Mark mieszkał w domu sezonowo, ponieważ on też zaczął jeździć po świecie. Pan Mark, zanim został dyrygentem, grał na wiolonczeli. Kiedy pierwszy raz usłyszałam ten instrument, doprowadził mnie do ekstazy. Pomyślałam sobie, że jest dużo głębszy niż skrzypce, no i dużo grubszy. Skrzypce były dzieckiem, a wiolonczela matką i jeśli dźwięk skrzypiec docierał do wszystkich zakątków domu, wiolonczela je wypełniała.

No ale kto teraz pamięta o wiolonczeli. Kto pamięta o tylu minionych sprawach, o tych duetach, które razem wykonywali, ojciec z synem, o tych długich muzycznych wieczorach, kiedy spierali się, jak należy interpretować jakąś partyturę, i kto pamięta o tych wszystkich kobietach.

Wolałabym o tym nie wspominać, ale to całe docieranie na samo dno muzyki, o którym mówił mi pan Karl, właśnie na tym polegało. Penetrowało się ją na sofie. Kiedy jakaś kobieta przychodziła z nim grać, ja już wiedziałam, czym to się skończy, jak nie pierwszego, to następnego dnia. Coś tam ćwiczyli, grali, sporo czasu im na tym schodziło, czasem długie godziny, potem rozmawiali, śmiali się, a na koniec sofa. A ja nie mogłam się powstrzymać i podglądałam przez dziurkę od klucza, udając, że odkurzam Beethovena, i szepcząc mu *gut'n tag*. Sofę zaliczyły prawie wszystkie kobiety, które grały z panem Karlem, jeśli byli sami, ma się rozumieć. Kilka mu się oparło, ale niewiele ich było, wzbraniały się ze śmiechem i potem już nie wracały. Na ogół jednak wszystkie były takie jak on, pewnie też pragnęły tworzyć muzykę dogłębnie.

Dobrze tak siedzieć sobie w fotelu i słuchać muzyki. Poszłabym teraz spać. Pani Teresa wywołuje wzruszenie swoją grą na skrzypcach. Pani Anna nie, wcale. Sam pan Karl powiedział,

że brak jej duszy.

Pewnego dnia skończyłam z podglądaniem przez dziurkę od klucza wszystkiego, co nie było ściśle związane z muzyką. Lubiłam za to słuchać rozmów, jakie pan Karl prowadził ze swoimi muzykami, kobietami i mężczyznami. Staralam się przesiąknąć ich słowami, żeby któregoś dnia grać tak jak oni. Kiedy poznałam panią Teresę i usłyszałam, jak gra, doszłam do wniosku, że ja też z czasem mogłabym nauczyć się mówić jak ci wszyscy ludzie. Dyskutowali o rzeczach, które nie były mi już tak całkiem obce, jak na przykład klucze wiolinowe, klucze basowe, ósemki, przedtakty. Pan uwielbiał używać takich słów, kiedy mówił mi, w którym miejscu partytury zaczynamy. Powoli zabierałam się za melodie, pan dał mi w prezencie śpiewnik z piosenkami ze swojego kraju, są proste, oświadczył, i bardzo ładne, zobaczy pani, że będzie się je grało z przyjemnością. A ja tak się przejęłam na widok tej książeczki w moich rękach, nie wiedziałam, z której strony ją złapać. Wszędzie było pełno nut, a co najlepsze, wszystkie je rozumiałam. Rozumiałam je i aż paliłam się do gry. Mogę ćwiczyć, kiedy pana nie będzie, jeśli znajdę wolną chwilę, zaproponowałam, skinieniem głowy wskazując na skrzypce. Wcześniej nigdy tego nie robiłam, nie odważyłam się tknąć jego skrzypiec, gdy nie było go w domu. Uśmiechnął się, właśnie tego od pani oczekuję, Mario.

I tak się stało. Zabierałam się do ćwiczenia tych piosenek w głębokiej ciszy tego domu, kiedy akurat wszyscy wyszli. Były to smutne piosenki, doprowadzały do łez, przypominały mi trochę *Moją śliczną gołąbeczkę* i podobne wzruszające utwory. Kiedy już kilku się nauczyłam, grałam je z zamkniętymi oczami, wyobrażając sobie, że stoję przed publicznością, taką jak ta, która zgromadzi się tu jutro, i pada na mnie blask reflektorów zupełnie jak dziś na obie panie, pana Marka i całą orkiestrę. I wyobrażałam sobie, jak rozlega się burza oklasków. Ale najlepsze miało dopiero nadejść, kiedy po raz pierwszy usłyszał mnie pan Karl. Poszłam do niego z wyuczoną lekcją, stwierdził, że kilka rzeczy jest do poprawki, ale najpierw wydał z siebie okrzyk i wiedziałam, że wychodził on z serca, jak czysto i delikatnie, Mario. I popatrzył na mnie w taki sposób, że przez moment pomyślałam, tylko przez ułamek sekundy, że ze mną pan też chciałby tworzyć muzykę dogłębnie. Na szczęście to spojrzenie trwało tylko chwilę i od razu przeszedł do uwag. Powiedział, jak mogę poprawić konkretne pasaże, i miałam co robić przez cały następny tydzień, nie licząc, rzecz jasna, zmiatania, szorowania podłóg, mycia naczyń i ścierania kurzów, zawsze miałam ręce pełne roboty.

I wtedy zdarzyło się to najlepsze. Pewnego dnia w trakcie próby ze śpiewakiem i pianistką nagle mnie wezwał. Weszłam do sali i zapytałam, czego pan sobie życzy. Wskazał mi sofę, tę samą, na której rozgrywały się sceny oglądane przeze mnie przez dziurkę od klucza, i powiedział, niech pani siądzie, Mario, i posłucha. Potem proszę szczerze powiedzieć, co pani myśli. Śpiewak i pianistka spojrzeli na mnie osłupiali, pewnie w życiu się nie spodziewali, że opinię na temat ich wykonania będzie wydawała służąca w fartuszkach. Musiałam jednak słuchać poleceń pana, a poza tym, i nie mogłam nic na to poradzić, rozpierała mnie duma, że to właśnie mnie o coś takiego poprosił, mimo że oczywiście była to też wielka odpowiedzialność. Tak czy owak przycupnęłam sobie na brzegu sofy, ponieważ nie uznałam za stosowne rozsiadać się, jakbym była wielką panią. Złożyłam ręce na fartuszkach. Moje dłonie wyglądały bardzo ładnie, już dawno zaczęłam nosić gumowe rękawice i dbałam o ręce, stosowałam różne kremy, jakie panie zwykle kupowały sobie w perfumerii. Nie życzyłam sobie powtórki z sytuacji, w której pan podczas lekcji widzi mnie z takimi dłońmi jak kiedyś, brudnymi od ługu i detergentów i zniszczonymi od wilgoci. Tak więc dłoni, które spoczywały na fartuszkach, nie wstyd było pokazać, ale poza tym wyglądałam jak zwykle, miałam związane włosy i kolczyki, które kupiłam, gdy już udało mi się wystarczająco zaoszczędzić.

Pan zaczął dyrygować dwojgiem muzyków, kiedy przestali już wpatrywać się we mnie

z niedowierzaniem. Zamykał oczy i ustawiał się tak, jakby to była wielka orkiestra. Pianistka grała z godną pozazdroszczenia zręcznością, sporo się ruszała i długie włosy leciały jej na twarz przy każdym uderzeniu w klawisze. Śpiewak wysokim głosem gonił ją, jak umiał, i nawet mu się to udawało. Jego głos był ładny, ale było w nim coś, co sprawiało, że wszystko to nie brzmiało tak, jak powinno, a wręcz stawało się niemiłe dla ucha. Od razu zwróciło to moją uwagę, ale siedziałam jak posąg, dopóki pan nie przerwał i nie odwrócił się do mnie ze słowami, no, Mario, zachęcając mnie w ten sposób do mówienia. Bardzo ładnie, odparłam z wahaniem, ponieważ nie odważyłam się na nic więcej. Pan rzucił mi zniecierpliwione spojrzenie, dalej, Mario, proszę sobie darować komplementy, co pani sądzi. Czułam, że jestem zgubiona, trzeba było coś powiedzieć, no więc ten pan śpiewa bardzo dobrze, o tak, bardzo dobrze, ale wydaje mi się, że brakuje mu dokładności w docieraniu do nut. Wiedziałam, co chcę przez to powiedzieć, i pan także mnie zrozumiał, ale śpiewak wpadł w furję, co ona opowiada, przecież to kompletnie bez sensu, i czemu zwraca się pan do niej, żeby. Pan przerwał mu w pół słowa, odwrócił się do mnie i powiedział, puszczając przy tym oczko, dziękuję, Mario, może pani odejść. Nie trzeba mi tego było dwa razy powtarzać. Potem rzecz jasna zostałam za drzwiami, by śledzić przez dziurkę od klucza dalszy rozwój wypadków. Jak było do przewidzenia, śpiewak oznajmił panu Karlowi, że to niedopuszczalne, by pytać o zdanie służącą, a poza tym w ogóle nie można mnie zrozumieć. Na to pan Karl odparł ze stoickim spokojem, miała na myśli, że śpiewasz pod dźwiękiem, nieznacznym, ledwie kilka półtonów, to bardzo subtelne i wołałam się upewnić, ponieważ po tak długim czasie sam już nie wiedziałem, co słyszę. Jeszcze raz. Śpiewak nic się na to nie odezwał i zaczął od nowa wraz z pianistką ze wzburzonym włosom, której najwidoczniej nie przeszkadzało ciągle powtarzanie tego samego fragmentu, bo grali go w kółko, ale nic to nie dawało, wciąż było tak samo. Nie słyszysz, że jesteś pod dźwiękiem, mówił pan Karl, a tamten odpowiadał, że nie, że jest idealnie czysto, aż w końcu obydwaj się rozzłościли i odłożyli to na inny dzień.

Wieczorem pan mi podziękował i przeprosił, że postawił mnie w takiej sytuacji. Bardzo mi się pani przysłużyła, dziękuję, powiedział. Czyli teraz będzie już czysto śpiewał, tak? Nie, nie zrobi tego, to niemożliwe, oświadczył, polecono mi tego śpiewaka, ale nic z tego, muszę poszukać sobie kogoś innego. Dziękuję, Mario. To drugie dziękuję, Mario, oznaczało, że mogę odejść. Zorientowałam się już, że pan jest zmęczony i w złym humorze i należy go zostawić w spokoju. W każdym razie od tamtego momentu od czasu do czasu wołał mnie na próby, a muzycy stawali jak wryci na widok służącej w fartuszkach, która siedząc na skraju sofy, przysłuchiwała się ich wykonaniu. Trzeba jednak przyznać, że w większości przypadków na zakończenie mówiłam, grali państwo cudownie. Ponieważ była to prawda.

TERESA

Anna, ta sama Anna, która teraz gra wraz ze mną, ta sama, która z każdym spojrzeniem przeszywa mnie ostrzem nienawiści, nienawiści, którą czuć, którą widać, która unosi się w powietrzu, nienawiści, która błyszczy jej w oczach i której nie potrafi okiełznać, nienawiści, którą wlewa w muzykę, gdy teraz ze mną gra, no więc ta sama Anna była najlepszą uczennicą, jaką kiedykolwiek miałam. Szybko się zorientowałam, że jest szczególnie uzdolniona muzycznie, chociaż czegoś jej brakuje, brakowało jej serca albo duszy, jak mawiał Karl. Karlowi nie udało się w niej tego doszukać, zaczynam wątpić, czy w ogóle kiedykolwiek miała duszę. Na początku zdawało się, że tak, i doszłam do wniosku, że rzeczywiście mogę zrobić z tej dziewczyny skrzypaczkę pierwszej klasy. Miała ku temu predyspozycje, cechowała ją ponadprzeciętna zwinność palców, a jest to zasadnicza kwestia dla każdego skrzypka. Niektóre bardzo szybkie pasaże następczą problemów nawet profesjonalistom, a ona potrafiła je wykonywać, kiedy skończyła ledwie czwarty rok nauki.

W dniu, w którym przyszła z ojcem, Matiesem, a była jeszcze wtedy bardzo młoda, nie wiedziała, gdzie oczy podziąć, ponieważ zawsze przychodziła ze służącą, a potem została bez matki i nagle nie wiadomo skąd pojawił się ojciec, chociaż przez cały ten czas sprawiał wrażenie zupełnie niezainteresowanego dzieckiem. Tak więc tamtego dnia ojciec przyszedł skonsultować ze mną, jaki instrument będzie najlepszy dla jego córki, bo chciałby wiedzieć, jaki dokładnie ma kupić. A Anna patrzyła to w podłogę, to w okno. Zwróciłam się do niej, Anno, będzie ci się lepiej grało na dorosłych skrzypkach, ponieważ te są już dla ciebie za małe, powiedziałam to tylko po to, żeby na nas spojrzała, ale nie zrobiła tego, zżerał ją brak pewności siebie. Skrzypce rzeczywiście zrobiły się za małe i ciężko było skłonić jej matkę do zakupu nowych. Och, ona w ogóle nie interesowała się muzyką, wyjaśnił Maties i ściszym głosem dodał, ale jednym z warunków, żeby mogła zostać z dzieckiem, było właśnie, że mała ma grać na skrzypkach, bo ja, wie pani, zawsze o tym marzyłem, ale w domu nie było funduszy, żeby opłacić mi lekcje muzyki, moje wykształcenie i tak już sporo ich kosztowało, mam na myśli szkołę, no wie pani.

Tak, akurat ja dobrze wiedziałam, o czym mowa, wraz z matką byłyśmy bez środków do życia i sprzątałyśmy mieszkania. Ciekawiło mnie, czy ten człowiek też musiał sprzątać mieszkania, żeby opłacić sobie lekcje skrzypiec, czy musiał tyle biegać, ograniczać godziny snu, żeby to wszystko pogodzić i móc uczyć się godzinami, coraz dłużej, ponieważ instrument i szkoła pochłaniały coraz więcej czasu. Nie mogłam pozwolić sobie nawet na naprawę skrzypiec, zrobiłam to dopiero po kilku latach, nie miałam pieniędzy na takie głupstwa, ledwo wiązałam koniec z końcem, a mama czuła się coraz gorzej, była już bardzo zmęczona i sprzątała coraz wolniej, aż w końcu ją odprawili. Na szczęście zostało jej szycie, którego nigdy całkiem nie porzuciła. I tak ona szyła, ja grałam i jakoś sobie radziłyśmy. Przestałam chodzić na plażę, przez cały ranek grałam w domu, ale teraz już nie fałszowałam i nie doprowadzałam sąsiadów do szału, jeśli tak się złożyło, że w kółko powtarzałam te same pasaże, które zawsze miały być perfekcyjne. Mamie, siedzącej obok mnie przy swojej maszynie, najwidoczniej to nie przeszkadzało. Ależ musiałam być uciążliwa, zwłaszcza że powtarzało się to dzień w dzień. Na plażę chodziłam tylko, jeśli nie starczało mi czasu i w nocy musiałam jeszcze przećwiczyć coś na następny dzień.

Nie mogłyśmy sobie pozwolić na zmianę mieszkania, dzielnicy i w ogóle sytuacji, dopóki nie skończyłam szkoły i nie zostałam prawdziwą skrzypaczką, ale zanim do tego doszło, musiałam przejść długą drogę, na którą składały się lekcje instrumentu, harmonii, kompozycji i wszystkich tych rzeczy, które wówczas obowiązywały, a teraz jeszcze zwielokrotniono je po tysiącokroć. W dniu, w którym ukończyłam szkołę, poszłyśmy z mamą to uczcić. Wykazałyśmy

się wtedy sporą rozrzutnością, po raz pierwszy w życiu wybrałyśmy się do restauracji, żeby to wreszcie nam usługuwano. W domach, w których pracowałyśmy, była to zawsze nasza rola. Nareszcie skończyło się wyszukiwanie kolejnych stypendiów, żeby opłacić moje lekcje, teraz trzeba było znaleźć kogoś, kto zapłaci mnie.

W pierwszej części Anna stara się mnie pokonać, jak tylko może, ale przeszłyśmy już do drugiej, teraz to ja jestem górą. W tym *largo ma non tanto*, wolnym i rozwlekłym, trzeba mieć duszę i mój wzrok wreszcie ma odwagę mierzyć się z jej spojrzeniem. Ona jednak zamyka oczy i między brwiami robi jej się zmarszczka, ta sama, którą widywałam u niej przez całe życie i która pojawiła się dzięki mojej pomocy. I pomyśleć, że ją pokochałam, że było mi jej żal, biedne dziecko, którego nikt nigdy nie kochał, chociaż wydawało się, że jej ojciec usiłował jakoś to naprawić. Anna była moim przeciwieństwem, obsypywana złotem i łaknąca miłości, lecz gdybym miała wybierać, pozostałabym przy moim życiu, przy miłości bez złota.

Od razu znalazłam pracę, w szkole muzycznej szukali nowych nauczycieli, były to czasy transformacji, upadł reżim Franco i wszystko się zmieniało. Wszyscy przeciwko wszystkiemu protestowali, a ja pragnęłam tylko pracy. I dostałam ją, i na krok się stamtąd nie ruszyłam, dopóki nie musiałam poprosić o urlop, żeby pojechać na tournée z Karlem. A potem różni dyrygenci zaczęli mnie zapraszać do współpracy. Na przełomie wieków w moim życiu dokonał się zwrot. Wszystko się zmienia, jak ten Berlin Karla, który trwa, choć poznaczony bliznami, śladami muru, który odgrodził od siebie ludzi, nie kierując się żadnymi kryteriami. Tylko dlatego, że jedni mieszkali tu, a drudzy tam, nie wolno im było przechodzić na drugą stronę. Mark doświadczył tego na własnej skórze, Mark też nosi w oczach tę bliznę. I Karl również ją nosił.

W oczach mamy malowała się szlachetność, kiedy spojrzałam w nie po raz ostatni. Dobrze nam się teraz żyło, powiedziała pogodzona z losem. To były jej ostatnie słowa i miała rację, mieszkaliśmy już w nowym mieszkaniu, od kilku lat pracowałam jako nauczycielka i gdzieś od roku miałam Annę za uczennicę. Przez dwa dni nie było mnie na zajęciach, a gdy wróciłam do pracy, poinformowałam uczniów, co się stało, i wszyscy mówili mi, że bardzo im przykro. Wszyscy, ale nie Anna, Anna słowem się nie odezwała. A ja popatrzyłam na nią i zdałam sobie sprawę, że w jej oczach czai się wrogość, miała mi za złe, że opuściłam zajęcia, że nie stawiałam się na naszym spotkaniu nauczyciel–uczeń, uznała moją nieobecność za niestosowną. Prawdę mówiąc, wydało mi się to wtedy dziwne, ale potem nie przywiązywałam zbyt wielkiej wagi do tego incydentu i po prostu o nim zapomniałam, kiedy wszystko wróciło już do normalności, w tym nasza relacja nauczyciel–uczeń.

To spojrzenie powróciło jednak, kiedy zaczęłam się umawiać z Matiesem. Któregoś dnia spotkaliśmy się we trójkę w Palau de la Música i właśnie tak wszystko się zaczęło, ucieliśmy sobie dłuższą pogawędkę, minęło kilka lat i Anna była już na najwyższym poziomie zaawansowania, dziewczyna u boku ojca kroczek po kroczeniu poznawała, czym jest radość i czułość, bardzo się przez ten czas zmieniła, także muzycznie bardzo się rozwinęła, dawała się ponieść emocjom i wreszcie udało jej się przelać w grę to, co konieczne, żeby tworzyć muzykę, prawdziwą muzykę.

Jednak nie trwało to długo, ponieważ nadszedł kres wszystkiego. Poszliśmy w trójkę na kolację i wydawała się zadowolona, ale potem z Matiesem wymieniliśmy się telefonami i to już się jej nie spodobało. Kiedy tylko się zorientowała, że między mną a jej ojcem rodzi się coś szczególnego, znów się zmieniła i nagle na nowo zobaczyłam w niej tę dziewczynę, która przywitała mnie wrogością, gdy wróciłam na zajęcia po pogrzebie matki. Tamtego dnia bała się, że utraci jedyną osobę, która poświęcała jej uwagę. A wtedy wydawało jej się, że odbieram jej ojca.

Może lepiej, żebyśmy się rozstali, ze smutkiem w głosie powiedziałam Matiesowi pewnego dnia, kiedy miałam już wrażenie, że sytuacja stała się nieznośna. Mowy nie ma, w końcu zrozumie, musi zrozumieć, odpowiedział. Koniec końców miał rację, w głowie się nie mieściło, żeby pełnoletnia dziewczyna dyktowała w ten sposób warunki, jak wolno żyć jej ojcu. Bolało mnie to jednak, zwłaszcza że wszystko, co Anna wkładała w muzykę i skrzypce, raptem zniknęło. Jakby to wszystko tworzyło naczynia połączone, jej osobowość, nastrój, a zwłaszcza dusza. Nagle znów ją utraciła i na nic się zdawały moje wskazówki, ponieważ nie było sposobu, żeby powróciła dawna Anna. Anna z ostatnich czterech lat. Usiłowałam z nią porozmawiać, zapytałam, czy przykro jej, że spotykam się z jej ojcem. Odparła, że to nasze życie i ona nie zamierza się mieszać, ale kiedy to mówiła, uciekała gdzieś wzrokiem, po czym poprosiła, żebyśmy wróciły do muzyki, zawsze miała mało czasu, zawsze się śpieszyła, zawsze musiała już iść.

Więzi, które łączyły mnie z Matiesem, stawały się coraz silniejsze, w miarę jak relacje z Anną rozpadały się w proch. Kiedy ich odwiedzałam, nigdy jej nie było albo zniknęła, jak tylko mnie usłyszała. Stała się niewidzialna. Poinformowano mnie wtedy w szkole muzycznej, że poprosiła o zmianę nauczyciela. Oniemiałam.

Wówczas zrobiłam coś, czego nie powinnam była zrobić nigdy, ale była to ostatnia próba przekonania jej do mnie, zyskania choć okruczków jej sympatii. Dla dobra nas trojga ofiarowałam jej mojego stainera. Nieraz go u mnie widywała i wiedziałam, że mi zazdrości. Nigdy jej się nie przyznałam, skąd mam te skrzypce, na lekcji zwykle korzystałam z innego instrumentu, a ten przynosiłam od czasu do czasu. I wówczas go jej ofiarowałam. Myślałam, że wszystko to załatwi, że warto zrzec się takiego skarbu, żeby zjednać sobie osobę, którą musiałam mieć po swojej stronie. Myślałam też, że związek z Matiesem ma przed sobą przyszłość i kiedyś wszyscy zamieszkamy pod jednym dachem, będziemy rodziną i skrzypce pozostaną blisko mnie. Nie wiem, co sobie myślałam, ważne, że jej ofiarowałam.

Postradałam wtedy zmysły, postradałam również rzecz, która ocaliła mi życie, kiedy miałam siedem lat. I nie dostałam nic w zamian, oprócz dziękuję i ironicznego uśmiechu. Na zakończenie naszej ostatniej lekcji delikatnie złożyłam go w jej dłoniach. Ponieważ były to zaczarowane skrzypce, myślałam, że dzięki nim Anna odnajdzie duszę w muzyce. Tak się jednak nie stało, w jej rękach stainer był tylko zwykłym instrumentem, niczym więcej, nie wyczarowywał już magicznych dźwięków, zatracił swój czarodziejski nimb, który dostrzegłam już na wysypisku. Przyjęła ode mnie prezent, oj tak, od razu go zabrała. A ja zostałam bez Anny, bez skrzypiec, a po kilku latach również bez Matiesa.

Teraz ona, kiedy tylko może, kłuje mnie w oczy stainerem i myślę sobie wtedy, że już nigdy nie znajdę drugich takich skrzypiec. Byłam skończoną idiotką, że go jej oddałam, skończoną idiotką. Jednak czy ze stainerem, czy bez niego, i wiem, że tu się nie mylę, Anna nigdy nie objęła w posiadanie muzyki. A ja tak.

ANNA Ta druga część nadaje się dla jakiejś sentymentalnej mimozy pokroju Teresy. Dla mnie jest zbyt prosta. Zgoda, jest to bardzo ładny fragment, ale Teresa traci przy nim głowę, widać to po niej, sprawia wrażenie, jakby miała się za chwilę rozpląkać. Nie będę teraz na nią patrzeć, zrobię to później, w ostatniej części, kiedy wrócą przyśpieszenia i to ja będę mogła znów ulecieć, a ona ograniczy się do nieudolnych podskoków, usiłując mnie pochwycić. Nie mogę pojąć, co Karl w niej widział, co w niej widzi tyłu dyrygentów. Gra na skrzypcach to wyścigi już od czasów Vivaldiego, a jeśli ktoś nie daje temu wiary, po prostu nie nadaje się do tego instrumentu.

Teresa zupełnie nie nadawała się dla taty, a tata nie nadawał się dla Teresy. Dlatego ich

związek tak nagle się zakończył. Jak coś się nie układa, nadchodzi koniec, jasna sprawa. Dzieje się tak nawet czasem, kiedy się układa. Między moim ojcem a mną naprawdę się układało. W epoce niewinności, na którą przypadła część mojego życia, ledwie kilka lat, nie byłam sobą, ponieważ unosiłam się w obłokach, jakby niebo się nade mną otwarło, tylko nade mną, po tylu latach życia bez matki i bez niczego, bez nikogo, tylko z Clarą. Tata opowiadał mi ze łzami w oczach, że nie mógł się mną zajmować, że mama postawiła sprawę jasno, albo ty, albo ja, i nie życzyła sobie nawet, żeby się ze mną widywał. I jak mi już wielokrotnie powtarzał, sam tak wołał, wołał mnie nie widywać, ponieważ inaczej nie zniosłby, że z nią zostałam. Opowiadał mi to tyle razy i tyle razy prosił o wybaczenie, aż w końcu pewnego dnia gdzieś w głębi mnie wytrysnął strumień. Woda zaczęła podchodzić mi do gardła, a ja nie mogłam nic na to poradzić. Wybuchnęłam płaczem i właśnie wtedy go przytuliłam, i powiedziałam, że z mamą nigdy nie mogłabym sobie na coś takiego pozwolić. Nie rozumiem, jak mogłem się w niej zakochać, odparł, skoro zawsze była niezrównowazona, skoro zajmowała się tylko chodzeniem z imprezy na imprezę, a kochanków zmieniała jak rękawiczki. Byłem jednym z wielu, ale chciałem wierzyć, że jest inaczej, myślałem tak przez pewien czas. I znowu patrzył na mnie miękko tymi załzawionymi oczami i błagał, przebacz mi, proszę.

I życie zaczęło wtedy przypominać pierwszą część tego koncertu, codziennie rano, jak tylko wstałam z łóżka, dreszcz radości przebiegał mi przez ciało. To uczucie sprawiało, że szłam do szkoły, na lekcję skrzypiec czy harmonii z uśmiechem na ustach, uśmiechem, który nigdy wcześniej nie zagościł na mojej twarzy. Kurczę, mówiła Teresa, jak ślicznie się uśmiechasz. Masz przepiękny uśmiech.

Jutro koniecznie muszę iść nad Sprewę. Może to właśnie tutaj przygnało moją duszę. Dziesięć lat temu właśnie nad tą rzeką miałam wrażenie, że mi się wymknęła. Mark nie ma na nic czasu, jak sam mówi, ciągle ćwiczy, na tym polega bycie dyrygentem. A ja nic na to nie poradzę, że woda potrafi mnie tak wessać, absolutnie nic nie może się z nią równać, no może tylko zawrót głowy, który odczuwam, grając w szaleńczym tempie barokowe utwory, nie umiem się oprzeć temu uczuciu. Lecz poza tym nic nie pochłania mnie tak jak woda i gdziekolwiek jestem, muszę iść na nią popatrzeć, jeśli istnieje taka możliwość, to jakby udać się z wizytą do mojej własnej duszy, ponieważ wyczuwam jej obecność, wiem, że tam jest, i łudzę się, że może właśnie dzisiaj ze mną wróci, i witam się z nią, mówię cześć, ślicznotko, jak się masz, a ona wtedy milczy, zwykle taka gderliwa, staje się cicha, nie chce, bym wiedziała, gdzie dokładnie się znajduje, żebym nie mogła jej złapać, gdyby przypadkiem straciła czujność. A kiedy tak jej wypatruję, niesamowicie mi przeszkadza, gdy w pobliżu ktoś inny także igra z wodą, tą samą wodą, rzuca kamyki, puszcza stateczki albo pływa łodzią. Mam wtedy ochotę krzyknąć, ej, co ty wyrabiasz, czemu rozmawiasz z moją duszą, ona należy do mnie i tylko do mnie, idź pogadać ze swoją, oczywiście jeżeli ją masz. Muszę jednak zamilczeć. Czasem ludzie dziwnie mi się przyglądają. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale wygląda na to, że potrafię przez dziesięć minut uparcie wpatrywać się w jeden i ten sam punkt stawu, rzeki czy jeziora. Tylko nad morze nie chodzę, od fal, które tak wte i wewte przychodzą i odchodzą, kręci mi się w głowie, tam na pewno nie znajdę mojej duszy.

Problem polega na tym, że koniecznie muszę ją odnaleźć, bo nie można przecież żyć bez duszy.

W dniu, w którym dotarło do mnie, że tatę i Teresę łączy coś więcej, mój świat się zawalił. Miałam ochotę iść do Teresy i wygarnąć jej, że tata jest mój i żeby wyniosła się z naszego życia razem z tym swoim stainerem i już nigdy więcej nie wracała. Nie mogłam znieść tego jej spojrzenia, w którym malowało się coś pomiędzy współczuciem a czułością, to znaczy przez kilka lat znajdowałam w nim pocieszenie, nie przeczę, Teresa była nie tylko nauczycielką

gry na skrzypcach, stanowiła dla mnie punkt oparcia, chociaż nigdy zbytnio nie rozmawialiśmy o sprawach niezwiązanych z muzyką, wiedziałam, że jestem jej ulubioną uczennicą, myślałam nawet, że mnie kocha.

I wówczas gdy odebrała mi tatę, pokazała swoją prawdziwą twarz. Zaczęli się spotykać, umawiali się w domu i na mieście, a ja nie chciałam nic o tym wiedzieć, byłam na bieżąco z godzinami jej wizyt i zawsze wcześniej wychodziłam. Tata nagle nie poświęcał mi już tyle uwagi co dawniej, często go nie było, znikał na całe weekendy, a kiedy wracał, pochłaniały go randki z Teresą, bez przerwy wisiał na telefonie, na szczęście nie istniały wtedy jeszcze sieci społecznościowe, bo jak nic spędzałby całe noce na czacie jak współczesne nastolatki. A kiedy był ze mną, zdawał się myśłami przebywać gdzie indziej, czasem rozmawiał ze mną z roztargnieniem, a ja orientowałam się, że mnie nie słucha.

Tak, mój świat się zawalił. Ofiarowałam tacie coś, czego nikomu wcześniej nie dałam, a on to przyjął i pozwolił mi wierzyć, że też daje mi wszystko. I wówczas wyszło na jaw, że nie, że nic mi nie dał, zdrwił sobie ze mnie. Czułam się, jakby przedarto mnie na pół, tata się mną zajmował, gdy akurat nikogo nie miał, ale jak tylko znalazł sobie Teresę, przestałam go obchodzić, stałam się tylko balastem, który był zobowiązany dźwigać, wszystko stało się jasne.

Całymi dniami grałam na skrzypcach lub wpatrywałam się w staw. Długie godziny spędzałam w parku ze wzrokiem wbitym w wodną taflę. W szkole muzycznej poprosiłam o zmianę nauczycielki, ponieważ nie mogłam znieść bliskości Teresy i tego, że mnie poprawia albo mówi mi, co mam robić. Lubiłam natomiast odwracać się do niej plecami, kiedy dawała mi do zrozumienia, że ją obchodzę, i robiła tę swoją smutną minę, jakby chciała wzbudzić litość, jakby nie mogła się obejść bez tego mojego uśmiechu, który niegdyś tak jej się podobał. A mnie dręczenie jej sprawiało przyjemność, jej cierpienie było moją jedyną satysfakcją i zachwycała mnie myśl, że kiedy tylko zostaje sama, pewnie zaczyna płakać. Przywiodłam ją do takiej rozpaczki, że ostatniego dnia zajęć podarowała mi stainera, z którym teraz obnoszę się, jak tylko mogę, tuż przed jej nosem. Nie muszę chyba mówić, że był to namacalny dowód mojego zwycięstwa nad wrogiem. Postarałam się, żeby nie powiedzieć jej nic więcej poza grzecznym dziękuję. Teraz już rzeczywiście całkowicie ją pokonałam, zostawiłam ją z niczym, tylko z tatą, bo żadnym sposobem nie można go było jej wydrzeć, a ja myślałam, skoro tak mnie kochasz, czemu go nie zostawisz, nie dociera do ciebie, że zabierasz mi wszystko, co mam. Ale nie, ona kompletnie nic nie rozumiała, dawała mi wszystko poza jedyną rzeczą, której naprawdę pragnęłam, tatą.

Po jakimś czasie, kiedy już nie widywałam się z Teresą, doczekałam się reakcji ze strony taty. To znaczy płomień pierwszej namiętności przygasł i w końcu tata przypomniał sobie o moim istnieniu. Kazał mi usiąść i przeprowadził ze mną rozmowę. Powiedział, że ostatnio jestem jakaś dziwna, że ma wrażenie, że nie aprobuję jego związku z Teresą, i chciałby wiedzieć dlaczego, ponieważ zawsze sądził, że mam świetny kontakt z moją byłą już nauczycielką. Najpierw rzuciłam mu kilka wymijających odpowiedzi, jak tylko mogłam, starałam się uciec od tematu. Potem jednak, kiedy nalegał, w końcu wybuchnęłam i wszystko zakończyło się krzykiem i płaczem, wygarnęłam mu, że nie zwraca na mnie uwagi, w ogóle mnie nie słucha, nic go nie obchodzi, w kółko mówi tylko o niej i tylko z nią chce być. Raptem wszystko z siebie wyrzuciłam i myślę, że trochę go to zaskoczyło. Może nie spodziewał się czegoś takiego. Podszedł do mnie i powiedział coś w stylu, że jedno nie wyklucza drugiego, że bardzo mnie kocha, i chciał mnie przytulić tak jak kiedyś. Ja umierałam z pragnienia, żeby mnie przytulił, ale nie chciałam mu na to pozwolić, ponieważ znowu rozplakałabym się w jego ramionach, on by mnie udobruchał, a następnego dnia poleciałby do Teresy i tak wrócilibyśmy do punktu wyjścia. Cierpiałabym, ponieważ takie rzeczy sprawiają ogromny ból, choć czasem wydaje się, że nikt nie

zdaje sobie z tego sprawy. Powiedziałam mu więc, żeby zostawił mnie w spokoju, i wyszłam, a jego plan spalił na panewce.

Za każdym razem gdy patrzę na służącą, siedzącą tam na widowni, mam wrażenie, że przewierca mi mózg. To przecież tylko służąca, w dodatku pewnie długo już nie pociągnie, a jednak jest w niej coś takiego, że jak tylko na mnie spojrzę, od razu się denerwuję.

Przez kilka dni tata zachowywał dystans. W końcu trzeciego dnia przyszedł z biletami na samolot w rękę. Oczy mu błyszczały. Patrz, powiedział, jedziemy w podróż, tylko ty i ja, na cały tydzień, co o tym sądzisz? Wtedy to ja byłam zaskoczona, czegoś takiego się nie spodziewałam. Propozycja była bardzo kusząca, miałam możliwość nacieszenia się ojcem przez tydzień, miałabym go tylko dla siebie. Z drugiej strony gdybym się zdecydowała na ten wyjazd, po powrocie znowu źle bym się czuła, cała zabawa zaczęłaby się od nowa, nie ufałam już ani jemu, ani nikomu. Dokąd, zapytałam, żeby zyskać na czasie i móc się zastanowić. Do Monte Carlo, powiedział. Zobacz, mam już bilety na samolot, a na miejscu wypożyczymy samochód, co ty na to.

No i poleciliśmy. Kłębiły się we mnie uczucia tak sprzeczne, jak nienawiść i desperacka miłość, które zaczynały się i kończyły w tym mężczyźnie, był on dla mnie wszystkim. Nie było jak kiedyś, absolutnie, ale z czasem znów mogłoby tak być, gdybyśmy dalej szli tą drogą, był czuły i kochający i ani razu nie widziałam, żeby dzwonił do Teresy.

Lecz już mu nie ufałam i byłam pewna, że skończy się to jak nożem uciął, gdy tylko wrócimy do Barcelony. Tata chciał tylko załatwić tę sprawę dla spokoju sumienia. Znów miałam zostać sama. A nie zniosłabym, gdybym znów została sama. Życie się dla mnie skończyło. Nic nie było w stanie wypełnić pustki, nawet skrzypce i przyprawiające o zawrót głowy pasaże Vivaldiego, Bacha, Veraciniego. Nadszedł kres wszystkiego, wszystkiego.

Którejś nocy w kasynie umyślnie się upiłam. Tata się nie zorientował, był pochłonięty grą. Kiedy wyszliśmy, pozornie spokojnym głosem poprosiłam, żeby pozwolił mi poprowadzić aż do hotelu. Dopiero co zdałam egzamin na prawo jazdy i nieustannie się domagałam, żeby dał mi pojeździć, więc wydało mu się to czymś naturalnym. Usiadł u mego boku i zaczął opowiadać o grze, jak mu poszło. Wcisnęłam pedał gazu. Pamiętam, że zwrócił mi uwagę, że jadę z nadmierną prędkością na tej pełnej serpentyn szosie nad brzegiem morza. Pamiętam też, że chciałam rzucić się ze skarpy i utopić nas oboje, żeby tata nie mógł już nigdy więcej należeć do Teresy. I tyle, nic więcej nie pamiętam.

MARK

Trzecia część. Spoglądam na orkiestrę, spoglądam na moje skrzypaczki. Z Anną rozumiemy się bez słów. Co do Teresy, wiem, że taka relacja łączyła ją z moim ojcem. On zawsze zachowywał dystans, chyba że chodziło o muzykę. Wydaje mi się, że każdy koncert czy operę traktował jak historię miłosną rozgrywającą się między nim a aktualną solistką – instrumentalistką czy śpiewaczką. Chętnie pracował z kobietami. To zaiste ciekawe, nie wiem, jak mu się to udawało, ale utwór brzmiał dużo lepiej, kiedy wykonywał go z kobietami.

Czasem zastanawiam się, czy próbował czegoś z Marią, to znaczy wdać się z nią w romans. Nie sądzę, żeby ojciec był taki, a teraz trudno nawet to sobie wyobrazić, on już nie żyje, a ta kobieta jest w tak podeszłym wieku, że nie wiadomo, czy wytrzyma podróż powrotną, zwłaszcza że uparła się lecieć sama. Wygląda na to, że ma tu rodzinę, chociaż nas sobie nie przedstawiła. Pewnie się wstydzi, na pewno wydaje jej się, że należymy do różnych światów.

Maria i ojciec przez wiele lat mieszkali w tamtym domu zupełnie sami, dopóki nie pojawiłem się ja. Może rzeczywiście coś między nimi było, nie wiem. Tak czy owak, kiedy przybyłem do Barcelony, miałem szczęście, że na co dzień była przy mnie Maria, ponieważ gdybym polegał tylko na wiecznie bujającym w obłokach ojcu, co rusz by mi się obrywało. W tym nieznanym, kosmopolitycznym mieście na człowieka takiego jak ja czyhało wiele niebezpieczeństw. Byłem wszak przyzwyczajony do rutyny, za której cenę otrzymywałem bezpieczeństwo i spokój wypływający z przeświadczenia, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Ponieważ w istocie tak się sprawy miały, za murem nie trzeba się było niczym przejmować, człowiek nie musiał się mierzyć ze skomplikowanymi czy nieoczekiwanymi sytuacjami, wszystko było wiecznie tak samo, jak w podróży *all inclusive*, zawsze miałem co jeść i zawsze miałem się w co ubrać. Co innego jeżeli sam chciałem wybrać sobie jedzenie czy ubranie, wtedy rzeczywiście robiło się to skomplikowane. Jednemu z kuzynów mojej matki, mieszkającemu w Berlinie Zachodnim, od czasu do czasu udawało się przekazać nam jakieś ubrania, które wyglądały jak z telewizji. Mnie tam było wszystko jedno, w co się ubieram, ale mama była przeszczęśliwa. Mieliśmy też telewizor, kolorowy, który dostaliśmy na gwiazdkę od tego samego kuzyna kilka lat przed moim wyjazdem. Sąsiedzi nie mogli wyjść z szoku i umierali z zazdrości.

To ciekawe, jestem teraz w Berlinie, lecz kiedy myślę o mieście mojej młodości, mam w głowie zupełnie inne miasto, chociaż w rzeczywistości to właśnie tutaj, tylko po drugiej stronie nieistniejącego już muru. Tam, w remontowanej obecnie Staatsoper, występowałem jako młody chłopak. Wciąż stoi mi przed oczami wspomnienie widowni pełnej wojskowych, rozpartych w pierwszych rzędach. Teraz to już zupełnie inne miejsce, z tamym nie ma nic wspólnego.

Gdzie pan się z tym wybiera, panie Marku, strofowała mnie Maria, gdy niosłem w rękę magnetofon kasetowy, nie wie pan, że pana okradną, zaatakują, jak tylko zapuści się pan w jakąś niebezpieczną dzielnicę. Stawałem jak wryty, a ona biegła do mnie z torbą, żeby schować urządzenie. Potem, kiedy autobus nie przyjeżdżał, nie wiedziałem, co robić, i spóźniałem się na próby. Po wschodniej stronie muru, jeśli autobus się nie pojawiał, spóźniali się wszyscy, a wtedy w Barcelonie, gdy usiłowałem usprawiedliwić spóźnienie faktem, że nie przyjechał mój autobus, wyrzucano mi, że nie wzięłem taksówki, na co odpowiadałem, że nie przyszło mi to do głowy. Innego dnia mnie napadnięto, a jeszcze innego okradziono w samym środku Rambli, kiedy w najlepsze oglądałem sobie występ zonglerów. Trochę z pana naiwniak, śmiała się Maria, ciągle pan myśli o niebieskich migdałach, przypomina pan dziecko we mgle, panie Marku.

Proszę nie zwracać się do mnie panie Marku, prosiłem ją po raz enty. Ach, no tak, mówiła, uderzając się w czoło, niech pan wybaczy, Marku, to tak z przyzwyczajenia. Za każdym

razem, gdy się tak przejęzyczyła, mówiłem jej słucham, pani Mario, i od razu zdawała sobie sprawę, że znowu przed imię wkradł jej się pan.

Marii udawało się utrzymywać ten dom w czystości i porządku. Rzecz jasna, zawsze kierowała się własnym smakiem, ponieważ w kwestii prowadzenia domu mój ojciec był całkowitym dyletantem. Lecz Maria była kimś więcej, nie wiem, co takiego w sobie miała, jakąś szczególną wrażliwość, ciężko mi było potem określić, na czym to tak naprawdę polegało. To zapewne ta sama wrażliwość, która teraz przywiodła ją aż tutaj, siedzi teraz na widowni z wyrazem nabożnego skupienia na twarzy. To wyjątkowa kobieta, ta Maria.

TERESA

Za każdym razem, gdy patrzę w oczy Anny, przypomina mi się jej spojrzenie i ostatnie słowa w szpitalu. Dotknęły mnie do żywego i sporo czasu minęło, zanim doszłam do siebie.

Zawsze długo dochodzimy do siebie, gdy coś nas naprawdę zrani. A ja byłam kompletnie nieprzygotowana na coś takiego. Kiedy zadzwonili, by mnie zawiadomić, poczułam, że tracę grunt pod nogami. Poinformowano mnie o wszystkim w takiej formie, z przykrością musimy przekazać pani smutną wiadomość, najwyraźniej Maties miał mój numer telefonu w jakimś widocznym miejscu, dziewczyna jest w ciężkim stanie, a on z tego nie wyszedł. Mówią ci, że nie żyje, a ty nie wiesz, co ze sobą zrobić. Pytasz, co się stało, i odpowiadają, że wypadek, że cudem nie wpadli do morza, ponieważ na dole akurat był skrawek plaży i dzięki temu dziewczynę udało się uratować, na razie, dodają, bo lepiej dmuchać na zimne, nic nie jest jeszcze przesądzone, żeby się potem nie okazało, że dziewczyna również zniknie ze świata żywych, gdy już ci oznajmili, że została ocalona. To ona siedziała za kierownicą, była pijana. I myślisz wtedy, biedna dziewczyna, tak strasznie rozdarła wewnątrz, zupełnie cię to nie dziwi, sama nie wiesz, co myślisz, gdy wkładasz kurtkę i biegiem wychodzisz z domu, jedziesz do szpitala. Czy dziewczyna ma matkę, pytają. Tak, ale ją porzuciła, odeszła, mówisz, niepewna, czy zbyt wiele nie ujawniasz. I myślisz sobie, że teraz to tobie przypadła w udziale rola matki.

Z sercem przesytytym bólem po utraconej tak tragicznie miłości pojawiłam się w szpitalu. Leży na OIOM-ie, są tam sztywne godziny odwiedzin, oznajmiono mi, no a skoro nie jest pani z rodziny. Ona nie ma nikogo więcej, tłumaczyłam dość sucho, tylko służące, byłam w związku z jej ojcem. Aha, dobrze. Wtedy ściszały głos, żeby powiedzieć bardzo mi przykro, chodziło o Matiesa, a pode mną nogi się uginały i czułam, że zaraz uniesie mnie morze łez, potem prowadzili mnie do monitorowanego łóżka, na którym leżała nieprzytomna. Otaczały ją pielęgniarki i wokół zachowywano wszelkie środki ostrożności, żeby nagle się nie okazało, że serce przestało pracować albo jakiś inny organ i wszyscy muszą rzucić się jej na ratunek. Ma pani dziesięć minut, mówili, a ja chwytając ją za rękę, pierwszego dnia nie otwierała oczu, później już je otworzyła, ale nie mogła mówić, zewsząd wystawały jej rurki, także z ust, i tylko łzy swobodnie płynęły jej po policzkach, ponieważ żaden szpitalny wynalazek nie stawał im na przeszkodzie. A ja mówiłam, nie płacz, i brałam ją za rękę, i czułam, że ją ściska, i myślałam sobie, że od tej pory wszystko się między nami ułoży, szkoda tylko, że w zamian za śmierć mężczyzny, którego oboydwie kochałyśmy najbardziej na świecie.

To ja wpadłam na pomysł, żeby razem wyjechali. Wydaje mi się, że ona sądzi, iż przestała się o nią troszczyć, powiedziałam Matiesowi, zatroskanemu zachowaniem córki. Kontynuowałam tę myśl, może byłoby dobrze, gdybyście pojechali gdzieś razem na kilka dni, żeby sama mogła się przekonać, że nic się nie zmieniło i nadal kochasz ją tak samo. Matiesowi przypadła do gustu ta propozycja i wyjechali tylko we dwójkę. Nie wiem, jak im się układało, powiedziałam mu, żeby nie dzwonił, lepiej, żeby nie widziała, jak rozmawiamy, lepiej, żeby miała go tylko dla siebie. I czekałam, pełna ufności, że wszystko się ułoży.

Jesteśmy zbyt ufni. Upłynęło tyle czasu, a ona nic się nie zmieniła. Ja na szczęście tak. Teraz Anna jest dorosła, ma Marka i nic więcej jej nie trzeba. Może odnalazła wreszcie to, czego szukała.

Tam na OIOM-ie ocierałam jej łzy rąbkiem chusteczki, rąbkiem chusteczki, który jeszcze pozostał suchy po tym, jak sama ocierałam sobie łzy wylewane po utracie miłości mojego życia. Wcześniej zdarzało mi się flirtować z jakimś kolegą nauczycielem, ale nigdy nie wyszło to poza flirt. A teraz kiedy wreszcie odnalazłam Matiesa, utraciłam go na zawsze. Spędzałam długie godziny na szpitalnym korytarzu w oczekiwaniu na porę odwiedzin, żeby zobaczyć Annę,

ponieważ nie chciałam opuścić żadnych odwiedzin, nie chciałam, żeby dziewczyna była sama, skoro ktoś mógł być przy niej. Przez cały ten czas zastanawiałam się, jak ja jej powiem, że straciła ojca, kiedy już nadejdzie moment, żeby przekazać jej tę wiadomość. Ja jej powiem, oświadczyłam pielęgniarkom. Ale nie teraz, odpowiedziały, trzeba poczekać, aż przeniosą ją na normalną salę, i wtedy jej pani powie, teraz jest to niewskazane ze względu na jej stan. Posłuchałam ich, zawsze słuchasz pielęgniarek, gdy jesteś w szpitalu, masz wtedy wrażenie, że jest ktoś, kto wie, w czym rzecz, i przejmuje się twoim bólem. Potem, kiedy już wyjdiesz, brakuje ci tej uprzejmości, od której chcąc nie chcąc się uzależniasz. W szpitalu czujesz się tak, jakby z każdej strony otaczały cię poduszki, otulały cię wraz z tym charakterystycznym zapachem mieszaniny leków, którego nie jesteś w stanie pozbyć się z nosa, ale który w niewyjaśniony sposób również uzależnia i przez pierwsze dni w domu wydaje nam się nawet, że za nim tęsknimy.

I zaczęłam, aż Anna będzie leżeć na normalnej sali. Takie przeniesienie w szpitalu to jak skończenie szkoły, zdanie matury, jakby ci mówili, no, teraz już możesz iść na studia. Nie zakończyłaś jeszcze edukacji, ale masz już pierwszy papier, żeby wyruszyć w świat i znaleźć jakąś pracę lub udowodnić, że do czegoś się nadajesz.

W dniu, w którym powiedziano mi, że Annę przeniesiono na normalną salę, poczułam ogromną radość. Wbiegłam po schodach, to była wielka nowina, chociaż nadchodziła teraz najgorsza część, trzeba było zawiadomić ją o śmierci ojca. Weszłam do pokoju Anny, cała była połamana, ale zażegnano już niebezpieczeństwo krwotoku wewnętrznego, z powodu którego trzymali ją tyle czasu na OIOM-ie. Leżała na białym łóżku. Stały tam takie dwa. Nie miała już rurek, tylko kroplówkę, która sączyła jej się do żyły poprzez wbity w rękę wenflon. Jedna noga na wyciągu, ręka w gipsie. Na drugim łóżku inna dziewczyna, także z nogą w gipsie, przeglądała gazetę.

Podeszłam do łóżka Anny i odwróciłam się plecami do tej drugiej, żeby zachować choć trochę prywatności. Popatrzyła na mnie wtedy, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu. W jej spojrzeniu niedowierzanie mieszało się z nienawiścią. Co ty tu robisz, zapytała. Stałam jak wryta, ale w końcu odpowiedziałam, byłam tu z tobą na OIOM-ie przez te wszystkie dni, nie pamiętasz? Nie, rzuciła sucho. Najpierw kompletnie mnie to zaskoczyło, ale potem pomyślałam, że na intensywnej terapii nikt nigdy o niczym nie pamięta, kto wie, czym tam muszą szprycować, żeby człowiek tak o wszystkim zapomniał. Zebrałam się wtedy na odwagę, żeby powiedzieć jej najdelikatniej, jak tylko umiałam, i z trudem hamując łzy, Anno, twój tata z tego nie wyszedł.

Nie tego spojrzenia, ale tego następnego nie zapomnę do końca życia. To pierwsze, reakcja na informację, którą właśnie jej przekazałam, było puste, nic nie mówiło, nic nie wyrażało. Trwała tak przez kilka chwil, po czym przekręciła głowę w drugą stronę, jakby miała już dość złych wiadomości i chciała się od nich uchylić. Musnęłam ją, szepcząc, Anno. Aż podskoczyła, odwróciła się nagle, na tyle nagle, na ile pozwalały jej unieruchomiona noga i ręka, i plunęła mi jadem w twarz, idź sobie, dziwko, już nigdy więcej nie chcę cię widzieć. I to właśnie wtedy przeszła mnie spojrzeniem, z którego wręcz wylewała się nienawiść. Spojrzeniem, którego nigdy nie zapomnę i które z czasem przybrało obecny wyraz, coś pomiędzy wrogiem i szyderczym, i które teraz nigdy jej nie opuszcza.

Wstałam i poszłam do wyjścia, zataczając się. Czułam się, jakby ktoś strzelił mi w samo serce, w płuca, nie mogłam oddychać, nie byłam w stanie zaczerpnąć powietrza.

Próbowałam wrócić następnego dnia, ale poinformowano mnie, że lekarz zabronił wizyt. Stało się dla mnie jasne, że rzeczywiście nie chciała mnie już więcej widzieć. To był koniec i jakoś musiałam dojść do siebie.

Musiałam wymazać z pamięci to pożegnanie z Anną – kategoryczne i definitywne,

tragiczne i raniące, ale musiałam też zapomnieć o Matiesie. Na początku było strasznie, wszędzie go widziałam, natykałam się na niego na każdym rogu, wydawało mi się, że mignął mi gdzieś na ulicy, chociaż nie miałam cienia wątpliwości, że zmarł, wzięwszy pod uwagę, że to na mnie spadła organizacja pogrzebu. Nikt inny nie mógłby się tym zająć, skoro Anna ciągle leżała na OIOM-ie. Odzwyczajenie się od ustawicznej obecności jakiejś osoby w naszym życiu jest niezmiernie ciężką próbą, ostatnimi czasy Maties zawsze był przy mnie, a jeśli akurat go nie było, dzwoniliśmy do siebie i dzieliliśmy się problemami i obawami. Spotykaliśmy się od roku i gdyby nie Anna, na pewno zamieszkalibyśmy ze sobą. I za każdym razem kiedy w mojej głowie pojawiał się Maties, u jego boku zjawiała się Anna, która patrzyła na mnie w ten sposób i mówiła, idź sobie, dziwko. Przez pierwsze dni bolało mnie to nawet bardziej niż utrata Matiesa, dziewczyna dobrze wiedziała, gdzie i jak uderzyć, żeby dogłębnie i już na zawsze mnie zranić.

Zapominanie okazało się więc procesem bardzo żmudnym. Jeśli mam być szczerą, o niczym nie udało mi się zapomnieć, ale po roku przynajmniej zaczęłam już patrzeć w przyszłość i godzić się z myślą, że muszę radzić sobie sama. Jednak w tym pierwszym okresie cały czas chodziłam z niezabliźnioną raną, która przy każdym ruchu otwierała się na nowo i sprawiała mi nieznośny ból. Obraz Matiesa mieszał mi się z obrazem Anny, mówiłam sobie, że któregoś dnia, po latach, znów z nią porozmawiam, ponieważ wprost nie mogłam uwierzyć, że miało się to tak skończyć. Czasem w połowie lekcji zostawiałam ucznia samego i pod pozorem wyjścia do łazienki szłam się wypłakać, bo nie mogłam już dłużej wytrzymać. Uczeń czy uczennica patrzyli na mnie potem ze współczuciem, ich mina mówiła wszystko – dobrze wiedzieli, że płakałam.

Potem postanowiłam dać sobie spokój z Anną. Nie dało się już nic zrobić, była to sprawa na zawsze stracona i musiałam wreszcie zrozumieć, że to koniec. I myślę, że w końcu to do mnie dotarło. Rany się goiły. Sporo czasu jeszcze upłynęło, zanim poczułam się całkiem dobrze, ale nauczyłam się patrzeć przed siebie, dostrzegać otaczający mnie świat, słuchać śpiewu ptaków, wąchać kwiaty, znów tworzyć muzykę, i to prawdziwą muzykę. Koledzy ze szkoły muzycznej zaoferowali mi miejsce w kwartecie smyczkowym i się zgodziłam. Zaczęliśmy koncertować w Katalonii, a czasem też poza jej granicami. Trwało to kilka lat, dobrze nam się wiodło i okazało się to ostatecznym lekiem na moje cierpienia. Dzieląc czas pomiędzy lekcje i koncerty, znów stałam się sobą. Nie spotkałam już więcej Anny, musiała mnie unikać, umawiać się na lekcje w takich godzinach, żeby na pewno się na mnie nie natknąć. I tak lada moment miała kończyć szkołę, zakładając oczywiście, że po wypadku kontynuowała naukę.

A po paru latach do współpracy zaprosił mnie Karl. Któregoś dnia zadzwonił do szkoły i zostawił wiadomość, że chciałby ze mną porozmawiać. Oddzwoniłam i wtedy on tym swoim katalońskim z niemieckim akcentem oświadczył, że słyszał mnie na kilku koncertach i że podoba mu się, jak gram. I że jeśli byłabym zainteresowana, moglibyśmy umówić się na przesłuchanie, miałam zagrać na próbę kilka utworów, które właśnie przygotowywał w ramach planowanej serii koncertów. Nie chodziło jeszcze o tournée z podwójnym koncertem Bacha, tylko o coś innego, ale ja rzecz jasna odparłam, że z przyjemnością przejdę przesłuchanie. Podzieliłam się tą nowiną z kolegami z kwartetu. Uważaj, ostrzegła mnie wiolonczelistka, ten człowiek musi wszystko przetestować. Co chcesz przez to powiedzieć, zapytałam. Że złamał serce każdej grającej z nim instrumentalistce. No nie, bez przesady, zaprotestowałam. Sama zobaczysz, powiedziała tajemniczo.

Po tym komentarzu koleżanki ciekawość wprost mnie zżerała. Ale mniejsza z tym. Rozpierała mnie duma, że zadzwonił do mnie Karl T. Był on Niemcem, który w czasach żelaznej kurtyny poprosił o azyl polityczny i został głosem muzycznej prawdy w naszym kraju. Przyglądałam się temu z boku z delikatną rezerwą, prawdę mówiąc nie dowierzam takim

kategoryzacji i kiedy jest o kimś zbyt głośno, zawsze przemyka mi przez głowę, że stoją za tym czyjeś prywatne lub polityczne interesy. Usta zamknął mi występ jego orkiestry. Stworzył ją tutaj z ludzi, o których wiedziałam, że grali wcześniej, jak mogli, w jakichś koszmarnych zespołach, a on potrafił połączyć ich w całość i ukierunkować w taki sposób, że muzyka barokowych twórców, zwłaszcza Bacha, zaczęła brzmieć dokładnie tak, jak człowiek sobie wyobraża, że brzmiała w dawnych czasach pod batutą kompozytora. Wyszłam z tamtego koncertu z przeświadczeniem, że od teraz Karl T. będzie dla mnie gwarancją jakości. I dlatego gdy po mnie zadzwonił, poleciałam jak na skrzydłach.

Zaczęliśmy koncertować, jeździliśmy po kraju i wracaliśmy, Karl nie lubił spędzać zbyt wiele czasu poza domem. Najpierw jednak musiałam przejść próbę, próbę duszy, musi pani włożyć w grę więcej palców i odstawić duszę na boczny tor, podsumował, żebym w pełni pojęła, o co mu chodzi. I wówczas zmieniłam sposób interpretacji na taki, który w moim odczuciu był sztywny, tak raczej zagrałaby to Anna. I wtedy mu się spodobało, ma pani angaż, oświadczył z uśmiechem, który dla mnie był jak nieoczekiwany deszcz w samym środku skwarne go lata. Przez głowę przeleciał mi ciąg obrazów: wysypisko, stainer, Maties, Anna, i powiedziałam sobie, że to, co mi się teraz przytrafia, zmazuje wszystko inne.

Karl zbyt wiele nie mówił, ale wymagał prób, prób i jeszcze raz prób. Będą się odbywały tutaj, najpierw tylko pani i ja, a potem połączymy to z orkiestrą. Kiedy mówił tutaj, miał na myśli swój dom, dom, w którym nie było nikogo poza służącą Marią i jego synem, też Niemcem, Markiem, wiecznie nieobecnym, ponieważ studiował albo koncertował, o czym donieśli mi koledzy ze szkoły muzycznej, jak zwykle dobrze o wszystkim poinformowani.

Zaczęły się próby. Było ciężko, Karl zawsze dążył do perfekcji, powtarzaliśmy wszystko w kółko i mówił, jeszcze raz, kiedy mnie się wydawało, że można już uznać, że jest dobrze. On chciał jednak, żebym dokładnie uchwyciła jego sposób interpretacji. I strawiliśmy na pracy długie godziny, aż zaczęliśmy wzajemnie się przenikać, jego wzrok docierał do dna mojego mózgu, nabrałam wrażenia, że doskonale rozumiem, czego ode mnie chce, i że nadajemy na tych samych falach. Czułam, że wsysa mnie to spojrzenie, które jednocześnie było Muzyką pisaną od wielkiej litery, Muzyką, której szukałam, której pragnęłam i do której Mark, niech mi chłopak wybacz, nawet się nie zbliża.

Zrobiłabym dla Karla wszystko. Wymazał z mej pamięci Matiesa i raniące słowa Anny. Istniał tylko on i muzyka. Aż pewnego dnia pojawiło się coś więcej. Gdy skończyliśmy grać, wstał i zapytał, czy możemy przejść na ty. Oczywiście, odparłam. I wówczas zaczął się przybliżać, podchodził coraz bliżej i bliżej, a ja siedziałam jak zahipnotyzowana, nie mogłam się poruszyć. Pocałował mnie najpierw delikatnie, potem z pasją, gdy ja również wpiłam się w niego z pasją. Wylądowaliśmy na sofie, jakbyśmy byli dwojgiem nastolatków, którzy nie mają łóżka i muszą się kochać gdzieś po kątach.

MARIA

Kiedy usłyszałam, jak gra pani Teresa, pomyślałam sobie, że ta pani zasługiwałaby na takiego stainera jak ten, którego wyrzuciłam do śmieci, cuda by z nim wyprawiała, bo ta kobieta ma duszę. Gdy tylko jednak w grę zaczynała wchodzić sofa, pan już mnie nie wołał, żebym posłuchała, najwyraźniej nie potrzebował publiczności.

Któregoś dnia pan Mark akurat był w domu, czyli pewnie było to Boże Narodzenie lub jakieś inne wyjątkowe święto, ponieważ kiedy indziej trudno było go zastać. Przyszedł do mnie do kuchni, korzystając z nieobecności ojca, miał pewnie ochotę z kimś porozmawiać. Muszę przyznać, że nie najlepiej go rozumiałam, jego hiszpański był bardzo wyszukany, jak widać nauczył się go w szkole, a katalońskiego nawet nie liźnął. Wszędzie też wciskał niemieckie słowa, jak na początku pan Karl. Tak więc pan Mark usiadł i zaczął opowiadać mi o swoim życiu. Nie prosiłam go o takie zwierzenia, ale miał ochotę się wygadać. Mówił mi, ach Mario, gdyby pani wiedziała, jak teraz wszystko się tam zmieniło, często tam jeżdżę i nie mogę się nadziwić. I niech sobie pani wyobrazi, że kiedyś można było zapłacić życiem za przejście z jednej strony miasta na drugą. Ja zrobiłam wielkie oczy i nie dopytywałam dlaczego, ponieważ już słyszałam o ludziach z jednej strony, którzy zabijali tych z drugiej strony, ale pan Mark i tak, jedna za drugą, zaczął mi przytaczać smutne historie o sąsiadach, przyjaciołach, znajomych, którzy usiłowali przedostać się na drugą stronę – końca nie było widać. Bo proszę sobie wyobrazić, był to taki mur jak przy budowie domu, ale po jednej stronie nic nie było, wszystko zrównano z ziemią, całkiem jałowy teren. No i zabite okna, żeby nikt nie mógł uciec, i ludzie z drugiej strony czasem usiłowali zajrzeć, co się u nas dzieje, też przez okno. Majaczyli w oddali i byli symbolem wolności, wie pani. Popatrzył na mnie i jakby nagle dotarło do niego, z kim rozmawia, i powiedział, przepraszam, nie ma pani pojęcia, o czym mówię, prawda. Ależ nie, proszę się nie przejmować, panie Marku. Dobrze, pani Mario, odparł z uśmiechem. I na coś takiego zwykle reagowałam, oj, chciałam powiedzieć Marku, przepraszam.

Pan Mark siedział na jednym z czterech krzeseł przy niewielkim kuchennym stole, nogi trzymał na drugim krześle. Ojca poznałem dopiero teraz, ponieważ rozstali się, zanim się urodziłem, i moja matka nie chciała poinformować go o moim istnieniu, nigdy mu nie powiedziała, zostawiła tylko tamten list, miał na myśli list, który przywiózł ojcu od byłej żony, kiedy pojawił się w Barcelonie. Nie wiem, czy nie chciała od niego pomocy, czy bała się, że zaczęłby pociągać za sznurki, żeby mnie zobaczyć, i to by tylko pogorszyło sytuację, ponieważ władze były przekonane, że ojciec nie ma rodziny na Wschodzie, i dzięki temu po jego ucieczce nie mogły nikogo represjonować. Pan Mark ziewnął, było późno i obydwójce byliśmy zmęczeni, przemknęło mi więc przez głowę, że byłoby dobrze, gdyby poszedł już spać i pozwolił mi się zająć moimi sprawami. Jakby czytał mi w myślach, raptem wstał, ale nie przerywał swojego wywodu, moja matka wечно go krytykowała, twierdziła, że ciągle ugania się za spódniczkami, nigdy go nie rozumiała. W tym miejscu pan Mark popatrzył na mnie, a ja nagle się zarumieniłam, sama nie wiem dlaczego. Na szczęście nie zwrócił na to uwagi i zanim sobie poszedł, dodał jeszcze, i sama pani widzi, Mario, zna go pani lepiej niż ona, ojciec żyje w celibacie, jak mnich, jego zakon to muzyka. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie powiedzieć, pana ojciec dociera do głębi muzyki. Odwrócił się w drzwiach, no właśnie, to miałem na myśli, dobranoc.

Słuchałam go z rozdziawionymi ustami. Poszedł spać, a mnie wciąż zdumiewało, że ktoś może być aż tak ślepy, i mówiłam sobie, że czasem wydaje nam się, że wszystko o kimś wiemy, a właściwie nie wiemy nic albo wiemy bardzo mało. I tak pan Mark nic nie wiedział o swoim ojcu, podobnie jak teraz nie ma pojęcia, kim jest jego żona, pani Anna. I może tak jest lepiej, może lepiej żyć w błogiej nieświadomości, człowiek ma wtedy mniej problemów.

Dość tego myślenia, wybrzmiała ostatnia nuta koncertu Bacha. Pan Mark daje jakieś wskazówki. Pani Anna go słucha i pani Teresa też. Potem każda z nich idzie w swoją stronę, nawet na siebie nie spojrzęły. Pan Mark odwraca się i szuka mnie wzrokiem.

– Już idziemy, Mario – mówi.

Idziemy, idziemy. Podnoszę się ciężko, bolą mnie nogi, a w żołądku aż mi się gotuje. Pani Teresa też mnie dostrzegła i idzie mi pomóc, już jest obok.

– Zbieramy się, Mario, już skończyliśmy. Jutro to dopiero będzie prawdziwy koncert, co nie? Koniecznie musi pani założyć tę śliczną sukienkę, którą mi pani pokazała...

Posyłam jej subtelny uśmiech. Ona i pan Mark obchodzą się ze mną jak z małą dziewczynką. Anna jak z przybłądą.

Z panią Teresą pan Karl obchodził się jak z jajkiem, trzeba to przyznać. Kładł ją na sofie i pieścił z każdej strony, a ona wydawała się jakby w ekstazie. Nie była jak inne kobiety, jak ta pierwsza śpiewaczka operowa, która tylko się śmiała i pokrzykiwała jak wariatka. Pani Teresa była jeszcze bardzo młoda, może z piętnaście lat młodsza od pana Karla, ale bez dwóch zdań pozostawała pod urokiem swojego dyrygenta. Przykro mi się robiło na myśl, że to się kiedyś skończy, bo zawsze się kończyło. W tym miejscu muszę dodać, że stanęłam jak wryta, gdy na pierwszej próbie oświadczył jej, że ma zbyt wiele duszy. A dokładnie to samo, ni mniej, ni więcej, powiedział też mnie.

Zdradził mi też któregoś dnia, że nie tylko ludzie mają duszę, skrzypce również ją mają. I kazał zajrzeć w wydłużony otwór w obudowie instrumentu, w pudle rezonansowym, jak to nazwał. Widzi pani ten kołeczek, spytał. Tak, widzę, odparłam na widok patyczka, który przebiegał z góry na dół pod podstawkiem strun. A więc to jest dusza skrzypiec. Obrzuciłam go wzrokiem, sądząc, że stroi sobie ze mnie żarty, ale minę miał bardzo poważną, więc dotarło do mnie, że nie, nie żartował. Aha, powiedziałam gamoniowato. Wrył mi się w pamięć ten obraz duszy pod postacią patyczka. Kto by pomyślał, że dusza tak wygląda, nawet jeśli chodzi tylko o instrument. Gdyby doszło to do uszu księdza z mojej wioski!

Ćwiczyliśmy niemieckie piosenki. Jedna z nich skradła mi serce. Słowa były zapisane pod nutami, ale rzecz jasna nic nie rozumiałam. O czym to jest, zapytałam kiedyś pana Karla. Opowiada o miłości pasterza i wieśniaczki i o jego stadzie, białym niczym skóra wieśniaczki, tak przynajmniej mówi piosenka, zakończył. Podziękowałam mu i zaczęłam wykonywać ten utwór ze zrozumieniem. Dużo łatwiej było tworzyć muzykę, kiedy człowiek wiedział, co mówi i do kogo. Zamknęłam oczy i grałam jak nigdy. Właśnie tę piosenkę pan kazał mi powtarzać wiele razy i dużo nad nią pracowaliśmy. A kiedy skończyłam, otworzyłam oczy i ku mojemu zdumieniu okazało się, że pan się popłakał. Bardzo dobrze, Mario, dziękuję, powiedział. A ja wiedziałam, że mam odejść, jak zawsze, kiedy mówił dziękuję. Delikatnie odłożyłam skrzypce na krzesło i wycofałam się tak cicho, jak tylko umiałam, minęłam Beethovena, po czym skierowałam się w stronę kuchni i mojego pokoju. I łamałam sobie głowę, czemu pan płakał, może dlatego, że przez tyle lat nie udało mu się nauczyć mnie tego, czego chciał. Tak czy owak, ja tam się wzruszyłam i to było najważniejsze.

Po tym zająsci mieliśmy długą przerwę w lekcjach. Tęskniłam za skrzypcami i kiedy tylko pana nie było w domu, korzystałam z okazji, żeby je wziąć i choć przez chwilę sobie poćwiczyć. Czasem wykonywałam niemieckie piosenki, a czasem starałam się zagrać nuty zapisane ręką pana Karla na pozostawionej na fortepianie partyturze, no a czasem coś zupełnie innego, ponieważ w domu było tyle partytur, że ledwo starczało dla nas miejsca, do wyboru, do koloru. Niektóre z tych utworów przypominały prawdziwe biegi z przeszkodami, zawrotne wyścigi w wydobywaniu dźwięków, cała chmara nut, i trzeba było dotrzeć do mety, zachowując rytm, którego ja nie byłam w stanie utrzymać. W tajemnicy próbowałam osiągnąć takie tempo,

poświęciłam na to cały tydzień, kiedy pan wyjechał w podróż, ale wszystkie moje wysiłki kończyły się fiaskiem. I kiedy zdałam sobie sprawę, że mi nie wychodzi i nigdy nie wyjdzie, rozplakałam się. Długo i rzewnie płakałam, stało się jasne, że mogłam wlać w te utwory duszę i uczucia, i wszystko, czego by było trzeba, ale nie potrafiłam nabrać szybkości, nie udawało mi się, było to niemożliwe, musiałabym wcześniej strawić całe życie na ćwiczeniach, jak pan Karl i pani Teresa, i wszyscy skrzypkowie, którzy przychodzili do nas do domu. Oczywiście pan Karl wytłumaczył mi kiedyś, że on akurat już nie gra szybko, ponieważ w ogóle nie gra już na skrzypcach i nie byłby w stanie zagrać *presto*, dokładnie tak mi powiedział, *presto*, i nie miałam jeszcze wtedy pojęcia, co to znaczy *presto*, ale przytaknęłam, ponieważ brzmiało jak coś szybkiego, a potem dowiedziałam się, że rzeczywiście jest to utwór, który należy zagrać bardzo szybko, i pomyślałam, nie wiem, jakim cudem mi się to udało, ale zgadłam. Brawo, Mario, sama sobie pogratulowałam.

Ta wyściełana poduszkami sala nie ma nic wspólnego z moim mieszkankiem ani z domem, w którym spędziłam tyle lat, ani nawet z salą, gdzie grałam dla pana Karla i z jego pomocą udawało mi się wyczarowywać muzykę, albo przynajmniej takie miałam wrażenie. Nie ma nic wspólnego. Jest śliczna, stosowna dla wrażliwych państwa, którzy przychodzą posłuchać muzyki. A jutro to ja będę tu siedzieć i słuchać, obiecali zarezerwować mi miejsce w środku trzeciego rzędu, bo pierwszy jest za blisko i nic stamtąd nie widać.

Z panią Teresą zgłębianie muzyki trwało bardzo długo. Pan Karl przyszedł kiedyś do kuchni, wiedziałam, że ma ochotę napić się czekolady, więc mu ją przyrządziłam, nigdy nie pił czekolady w jadalni, tak jak nigdy nie zabierał żadnej kobiety do swojego łóżka. Jadalnia była do jedzenia obiadu i kolacji, a łóżko było do spania i tyle. Rzeczy ponadprogramowe – na sofie i w kuchni. Tamtego dnia znów zagaił o muzyce i kobietach, mam nadzieję, że jest pani w stanie to zrozumieć, powiedział, lekko pokaszując i zerkając na mnie kątem oka, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywierają jego słowa. Nic na to nie odpowiedziałam, zajęta swoją pracą. Nie miałam pojęcia, czy pyta mnie, czy już to rozumiałam, czy miałabym to zrozumieć dopiero któregoś dnia, tak naprawdę to zachowanie pana było dla mnie czymś tak naturalnym, że już nie zawracałam sobie głowy rozumieniem czy nierozumieniem, tak jak nie zastanawiamy się, czy to dobrze, czy źle oddychać, oddychamy i tyle, nieprawdaż, no więc to samo tyczyło się stylu bycia pana Karla, było to jego nieodłączną częścią i wręcz rozważałam w myślach, czy ma to zastosowanie w przypadku wszystkich muzyków, czy wszyscy chcą muzyki do głębi, aż poznałam pana Marka i zdałam sobie sprawę, że nie, nie zachowywali się tak wszyscy muzycy, jedynie pan Karl i tyle. I zaczęło mi świtać, że ja nie tworzę prawdziwej muzyki, ponieważ nic nigdy ode mnie nie chciał, a gdybym grała jak te skrzypaczki przychodzące do nas do domu, domyślałam się, że usiłowałyby spróbować czegoś także i ze mną. Nocami, kiedy zamykałam oczy, nawet starałam się wyobrazić sobie siebie na tej sofie z panem, jak robimy różne rzeczy, które wtedy robił z panią Teresą, ale wcześniej robił też z tyloma innymi. I zupełnie jak tego pierwszego dnia, gdy nie mogłam oderwać oczu od dziurki od klucza, zupełnie jak tego pierwszego dnia, moja myśl uczepliła się tej sceny, której główną bohaterką byłam ja, i wyobrażałam sobie, jak pan mnie całuje, pieści, ściąga ze mnie ubranie, sprawia, że odkładam skrzypce na bok, skrzypce, które nawet nie są moje, kładzie mnie na sofie, na tamtej sofie obitej czarną skórą, żeby tworzyć muzykę aż do głębi. I nie czułam wstydu, w ogóle nic z tych rzeczy, dawałam się ponieść. Do tego stopnia opętała mnie ta myśl, że wewnątrz czułam ogień, ogień, który spalał mi umysł, duszę, a nawet ciało, i gdy tak płonęłam cała, na koniec, jak już otwierałam oczy, odkrywałam z przerażeniem i zmieszaniem, że tak naprawdę podobałoby mi się, i to bardzo, gdyby coś takiego mi się przytrafiło. Nigdy jednak nie miało się to ziścić, ja byłam służącą, a on był panem. A o niektórych rzeczach nie należy zapominać, nawet gdy

pośrodku są skrzypce.

Pani zdaniem, dobrze gra, zapytał w dniu, gdy piliśmy czekoladę, jakby chciał zmienić temat. A ja dobrze wiedziałam, że chodzi o panią Teresę, ale udałam głupią, kogo pan ma na myśli, proszę pana. Ją, wyjaśnił i nie mogłam już się dłużej wykręcać, ponieważ w tamtym momencie dla nas obojga jasne było, kim jest ona, kobieta, która pokładała się na sofie w sali już od kilku miesięcy, dłużej niż inne, zapewne dlatego, że przygotowywali razem więcej koncertów, a nie tylko jeden, więc było oczywiste, że związek trwał. Pan z ustami pełnymi czekolady i śmietany wyczekiwał mojej odpowiedzi, zwykle trzeba ją było ze mnie wyciągać, ponieważ gdzieś z tyłu głowy wiecznie kołatała mi się myśl, a co, jak palnę jakieś głupstwo, on niby ciągle pytał mnie, co myślę o grze tego czy owego, ale zawsze mogłam trafić jak kulą w płot. W przypadku pani Teresy w pierwszej chwili nie odważyłam się nic powiedzieć, nie znam się na tym, proszę pana, jestem z innej gliny niż państwo, nie jestem muzykiem, powinien pan zapytać. Tutaj urwałam, ponieważ uciszył mnie uderzeniem łyżeczki w filiżankę i prawie dławiąc się czekoladą, wyrzucił z siebie, ależ Mario, skąd teraz te skrupuły, ma pani niezwykle słuch i naprawdę wielka szkoda, że nie urodziła się pani w muzycznej rodzinie. Żachnęłam się na te słowa i odparłam z godnością, przepraszam pana bardzo, ale ja urodziłam się w rodzinie muzyków. Aż podskoczył, ach tak?! Tak, wypaliłam, moi rodzice byli *cantaorami* w naszych rodzinnych stronach. Zamurowało go, musiałam więc wyjaśnić, grali i śpiewali tradycyjną andaluzyjską muzykę, flamenco, a moja matka także tańczyła, i chcieli, żebym ja też tańczyła i śpiewała, ale wyjechałam stamtąd, gdy byłam jeszcze mała, i śpiewałam tylko podczas Pierwszej Komunii.

Wyglądał na niezmiernie zaskoczonego. I nie nauczyła się pani nut, spytał. Nie, proszę pana, odparłam, wszystko ze słuchu, tam robi się to inaczej. Nie wiedziałam, co jeszcze mam powiedzieć, i nie wiedziałam też, czemu w ogóle wpackowałam się w opowiadanie mu tego wszystkiego. Wtedy rzucił jakby do siebie, aha, no to teraz rozumiem, czemu śpiewała pani na początku. Obudziła się we mnie mściwość i obrażonym tonem wygarnęłam, tak, ale nie podobało się panu, więc przestałam. Skończył już czekoladę i zabrałam naczynia do zmywania. Czekałam, aż sobie pójdzie, ale nie zrobił tego. Cóż, Mario, teraz mi przykro, gdy to pani mówi, wydusił z siebie w końcu, ale nie dało się ani grać, ani komponować, kiedy śpiewała pani w taki sposób.

Nie usiłowałam nawet zgadywać, co chciał powiedzieć przez to śpiewanie w taki sposób, po prostu odpuściłam. Zamiast tego przerwałam na chwilę zmywanie, żeby spojrzeć na niego i powiedzieć, panie Karlu, pan nauczył mnie prawdziwej muzyki i już do końca życia będę pańską dłużniczką. Nie wiedziałam, jak wyrazić, że jestem mu wdzięczna z całego serca, i tak jakoś wyszło. Zamyślił się nad czymś i poszedł sobie. Pamiętam, że dni były wtedy krótkie, pewnie zbliżały się święta, bo ulice wypełniały światełka, wszędzie oddychało się radością, lecz zrobiło się już całkiem ciemno, choć wcale nie było tak późno. Pamiętam, że kiedy szłam już do mojego pokoju, w sali rozległ się dźwięk dzwonka i pomyślałam sobie, no a teraz czego jeszcze chce, natręt jeden. Byłam zmęczona, nie przypominam sobie dlaczego, chciałam iść spać.

Oczekiwał mnie przy fortepianie. Na wstępie powiedział, przepraszam, ale w końcu nie powiedziała mi pani, co myśli o jej grze. Nie mówił o niej Teresa, tylko przez cały czas ona. Postawię sprawę jasno, proszę pana, oświadczyłam, jest najlepsza ze wszystkich, które do tej pory pan przyprowadził. Pan Karl przez chwilę trwał w bezruchu, a potem przytaknął skinieniem głowy. Po czym bez słowa podał mi skrzypce, są już nastrojone, oznajmił, proszę zagrać piosenkę o pasterzu i wieśniacze. Miał dziwną minę i tak o to prosił, jakby była to sprawa życia i śmierci. Nie ośmieliłam się odezwać i wzięłam do ręki skrzypce, te, które służyły tylko do nauki, a mimo to, jak już wiedziałam, też miały duszę i kryły się w nich tak smutne dźwięki, że sprawiały ci ból, jak tylko starałaś się je wydobyć. Zabierałam się już do gry, kiedy powiedział,

chwileczkę, i na fortepianie rozpoczął przygrywkę, nie wiem, skąd ją wytrzasnął, bo nigdy wcześniej jej nie słyszałam. W pewnym momencie uniósł podbródek, dając mi znak do wejścia, dokładnie tak jak zwykł robić z tymi wszystkimi kobietami, chciał, żebym grała z nim w takiej samej formie, jak grały one, i oferował się, że będzie mi akompaniował jak im. Zaczęłam, przy pierwszych pociągnięciach smyczkiem ręce mi drżały, lecz potem jakoś już poszło. Gra z towarzyszeniem fortepianu była jakby przekroczeniem bram raju. Sala, dom, wszystko zniknęło, byliśmy tylko pan i ja, i muzyka, i opowieść o wieśniaczce i pasterzu, która, jak mi powiedział, źle się kończyła. Dźwięki, które ja sama powoływałam do istnienia, przenosiły mnie do innego świata. Zrozumiałam, czemu mówi się, że muzyka obłaskawia dzikie bestie, zrozumiałam, czemu mówi się, że muzyka ma właściwości lecznicze, zrozumiałam, czemu mówi się to wszystko o muzyce. Zrozumiałam to nagle tamtego dnia, grając wraz z panem niemiecką piosenkę o pasterzu i wieśniaczce.

Kiedy utwór się skończył, otworzyłam oczy, a pan poderwał się nagle, wydawał się wstrząśnięty, jakby coś go dławilo, odbierając dech, jakby coś poruszyło go do żywego. Podeszedł do mnie, a ja stałam spokojnie i pomyślałam sobie, Święta Panienko z Macareny, zaraz skończymy na sofie. Pan zatrzymał się przede mną. Najpierw nie robił nic, tylko stał tuż przed moją twarzą, chwiejąc się lekko w przód i w tył jak pijany. Potem jakby podjął decyzję i popatrzył na mnie przeciągle w taki sposób, że do końca życia nie zapomnę tego wzroku. Powiedział tylko, proszę pozbyć się tego stroju. Nie trzeba mi tego było dwa razy powtarzać i zabrałam ręce do tyłu, żeby odwiązać fartuszek. Rzucił mi ostatnie spojrzenie z gatunku tych, które pozostają na zawsze wyryte w duszy, i w tym momencie odszedł. Wyszedł z sali i po chwili usłyszałam, jak otwiera drzwi wejściowe i zamyka je za sobą.

KONCERT

MARK

Sala jest wypełniona po brzegi. Kiedy wyszedłem, orkiestra wstała i wszyscy zaczęli bić brawo. Odwracam się i patrzę w stronę widowni, zostaję całkiem oślepiony, ponieważ wszystkie reflektory skierowane są na mnie. Czuję w brzuchu łaskotanie, jak zawsze przed koncertem, adrenalina podnosi się i spada, aż w końcu zatrzymuje się na odpowiednim poziomie, aby wywołać tę mieszankę podniecenia i strachu, w miejsce których przychodzi potem satysfakcja. Pewnie właśnie tego wszyscy koniec końców szukamy, ważąc się na rzeczy wykraczające poza codzienną rutynę. Rzeczy, które nas stresują, wytrącają z równowagi i które mimo wszystko robimy. Tak, pewnie o to chodzi.

Nie przyszło mi do głowy, żeby poprosić o mikrofon. Odchrząkuję i zabieram głos, mówię głośno i z mocą, żeby wszyscy słyszeli. Momentalnie zapada cisza jak makiem zasiał.

– Dobry wieczór. Jak dobrze państwo wiedzą, mój ojciec zmarł dziesięć lat temu w drodze do Wiednia po identycznym koncercie jak ten, który wykonamy dziś tutaj, w Berlinie. Ojczyznę ojca była wschodnia strona, lecz uciekł i znalazł schronienie w Barcelonie. Był już wtedy znanym dyrygentem i Katalończycy zaoferowali mu azyl polityczny, dom i wszelkie możliwe udogodnienia, by mógł swobodnie pracować. On jednak zawsze chciał tu wrócić i udało mu się to przy okazji koncertu w Staatsoper, gdzie grał i dyrygował również w trudnych czasach. Teraz tamten teatr jest zamknięty, dlatego jesteśmy tutaj, w Schillerze...

Nabieram powietrza przed kolejnym zdaniem:

– A więc dzisiejszy koncert, jak zapewne widzieli państwo w programie, stanowi wybór muzyki barokowej. W pierwszej części mamy kilka kanconet Monteverdiego, parę arii Purcella i Haendla oraz garść drobnych utworów różnych autorów. Druga część w całości poświęcona jest Bachowi i wieńczy ją koncert na dwoje skrzypiec, utwór, który dla ojca bardzo wiele znaczył i który dzisiaj chcielibyśmy wykonać z tymi samymi skrzypaczkami, z którymi on wykonał go tutaj dziesięć lat temu. Dziękuję państwu za życzliwość.

Ponownie rozlegają się oklaski, po czym zapada cisza poprzedzająca koncert, nabranie oddechu tuż przed rzuceniem się do ataku, muzycznego ataku. Od wielu dni biłem się z myślami, czy opowiedzieć widzom o mnie i moich doświadczeniach w Berlinie Wschodnim, ale ostatecznie porzuciłem ten pomysł. W moim przypadku przyjazd tutaj również budzi silne emocje, nawet jeśli z powodu remontu jesteśmy w Schillerze w Berlinie Zachodnim, a nie w Staatsoper po wschodniej stronie. Staatsoper, gdzie byłem na tyłu koncertach i sam także grałem z orkiestrą na wiolonczeli, ale gdybym zaczął wikłać się w takie historie, nie zrozumieliby, czemu ojciec był w Barcelonie, a ja nie, a to jest już zbyt zawile do tłumaczenia i nie chciałbym stawiać go w złym świetle, skoro nic o mnie nie wiedział.

Mam nadzieję, że naprawdę nie miał o mnie pojęcia, zawsze pozostaje cień wątpliwości, czy rzeczywiście nie wiedział o ciąży mamy i czy obydwójce powiedzieli mi prawdę. Mam nadzieję, że właśnie tak było, i wierzę, że szczerze było zdumienie malujące się na twarzy ojca, kiedy w Barcelonie przeczytał list od mamy i spojrzał na mnie nieufnie, jakby nie do końca dawał wiarę, że jestem jego synem.

Mark, jak możesz wymyślać teraz takie nonsensy. Wiecznie coś budzi nasze wątpliwości, wiecznie. Czasami nurtują mnie też wątpliwości co do Anny, wiem, że niektórych rzeczy nie chce mi zdradzić, nigdy nie miała takiego zamiaru, wiem za to aż za dobrze, że nie pozwala mi oddalić się ani na krok, tak jakby stale mnie potrzebowała, i zaczynam się dusić, nie potrafię tak żyć, potrzebuję przestrzeni i muszę czasem popracować w samotności, jestem muzykiem. Na początku myślałem, że jej to minie, ale potem dotarło do mnie, że nie, nie minie, zbyt długo już trwa. Teraz jeszcze przebąkuje coś o dziecku, a ja nie mogę się na to zgodzić, nie mam czasu,

żeby zajmować się dziećmi, i ona na pewno też nie, skoro nie rozstaje się ze swoim stainerem. Korzystam z każdej chwili, gdy ćwiczę, żeby się wymknąć, ponieważ w innym wypadku nie mogę sobie na to pozwolić. A ponieważ musi ćwiczyc godzinami, bardzo mi to pasuje. Pasuje mi też, gdy pracuje z kimś innym, jest coraz bardziej rozchwytywana. Mówi się, że w całej Europie nie ma drugiej skrzypaczki o tak zręcznych palcach. Nie wiem, czy tak jest w rzeczywistości, ale mogę zaświadczyć, że jest nad wyraz sprawna, potrafi wykonywać szybkie pasaże w prędkościach wręcz naddźwiękowych. Wprawilaby w osłupienie barokowych twórców, nie wydaje mi się, żeby w tamtych czasach żył ktoś, komu udałoby się tak pędzić. Teraz musimy ciągle pędzić, żeby na wszystko starczyło czasu, czasu, który upływa, także dla Anny, i bywa, że nawet ona ledwo nadąża z przygotowaniem się do koncertów i tournée.

Jak mogłaby zajmować się dzieckiem w takich okolicznościach. To niewykonalne. A jeżeli mielibyśmy zatrudnić opiekunkę, to lepiej w ogóle nie mieć dzieci, ponieważ jestem zdania, że od małego powinno się być z rodzicami. Poza tym podejrzewam, że chce dziecka, żeby trzymać mnie na uwięzi. A że ma już swoje lata, pewnie myśli, że jej czas mija. I rzeczywiście jej czas mija i powinna już zacząć starania. Ale nie ze mną, mowy nie ma, nie ze mną.

ANNA

Dziś rano zrobiłam test ciążowy i wyszedł pozytywny. Tak więc jeśli zwykle denerwuję się przed występem, dzisiaj denerwuję się jeszcze bardziej. Mark i ja zostaniemy rodzicami. Wiem, że on nie chce dzieci, ale wszystko mi jedno. Jak tylko wrócę do Barcelony, pójdę do lekarza, żeby powiedział mi, co mam teraz robić. W moim wieku kobieta w ciąży powinna dużo bardziej o siebie dbać. Mam ochotę krzyczeć z radości, dzisiaj wszystko jest inne niż zwykle, ponieważ wiem, że będę miała dziecko, a Mark ode mnie nie odejdzie.

Zawsze denerwuję się przed występem, to fakt, nawet jeśli nie przytrafia mi się nic takiego jak dzisiaj, a jeszcze bardziej się denerwuję, jeżeli mam grać koncert na dwoje skrzypiec Bacha, utwór Karla, niemal jakby to on go skomponował, znał go na wylot. Zostałam w gar-

derobie, żeby nie sterczeć przy scenie z Teresą, musiałabym wtedy znosić jej obecność przez cały koncert. Obydwe będziemy dzięki temu spokojniejsze. Daje mi to też możliwość przećwiczenia mojej części utworu, chociaż to raczej ona powinna przećwiczyć swoją, a zamiast tego siedzi tam sobie w najlepsze przy scenie. Ile ona może mieć lat, nie mam pojęcia. Pewnie jest koło sześćdziesiątki, ponieważ gdy była moją nauczycielką, była ode mnie sporo starsza. Nie będzie dłużej grała, nie, nie będzie w stanie. I nie może się ze mną równać, nie jest dość szybka. A jednak Mark mnie nie posłuchał i ściągnął ją tutaj, mówił, że skoro taka była wola ojca, musiał mieć jakiś powód. Jeśli mam być szczerą, moim zdaniem jesteśmy do siebie podobne jak dzień do nocy, także muzycznie. Teresa i ja nie mamy ze sobą nic wspólnego.

Maluszek jest teraz w moim brzuchu, na pewno zaczyna się ruszać, nawet jeśli jest jeszcze taki maluteńki, drobniutki jak fasolka albo i jeszcze mniejszy, nie wiem, nie znam się na tych sprawach, ale wiem na pewno, że moje maleństwo istnieje i któregoś dnia stanie się dzieckiem, i może będzie grało na skrzypcach, a może na wiolonczeli, jak jego ojciec, albo na fortepianie, albo będzie śpiewakiem operowym. A może nie zostanie muzykiem, nie wiem, kim będzie moje dziecko, ale będzie moje i całe życie będę trwać u jego boku, i Mark też z nami

zostanie, zostanie ze mną i razem będziemy rodzicami, i stworzymy rodzinę, jakiej świat jeszcze nie widział. Rodzinę, jakiej mi samej zabrakło, która nie będzie miała nic wspólnego ani z moją matką, ani z ojcem, ani z Teresą.

Podła suka nie przyszła się ze mną zobaczyć, kiedy wyszłam ze szpitala. Poprosiłam lekarza, żeby zakazał wizyt. Zrobiłam to, żeby umierała z chęci zobaczenia mnie, żeby mnie potrzebowała i żeby się mną opiekowała, gdy już wyjdę ze szpitala. I nic takiego się nie wydarzyło. Nie miałam nikogo, potrzebowałam jej, a ona nie przyszła. Nienawidziłam jej tak samo jak teraz. Pozbyła się mnie, zostawiła, porzuciła, jak wszyscy. Sama sobie na to zasłużyła, że na zawsze zatrzymałam jej stainera i tak się teraz z nim obnoszę, kłując ją w oczy.

Zasłużyła też sobie na to, że straciła swojego Matiesa. Ale ja na to nie zasłużyłam. Kiedy powiedziała mi, że tata zmarł, był to dla mnie koniec świata. Jaki sens miała jego śmierć, skoro ja żyłam dalej, a zrobiłam to przecież, żebyśmy umarli razem, żebyśmy odeszli z tego świata połączeni na zawsze. I żeby potem dowiedziała się, że mieliśmy wypadek i obydwójce zginęliśmy, a ona została całkiem sama. I któregoś dnia dotarłoby to też do uszu mamy, jeśli ciągle jeszcze żyła, jeśli ona również nie umarła, wtedy nie miałam pojęcia, czy żyje, czy nie, wiedziałam tylko, że tamtego dnia wiele lat temu udała

się nagle do raju, w którym nie było brudzących sukienki dziewczynek, za to na pewno roiło się tam od mężczyzn, którzy tylko czekali, by się z nią umówić, a na posterunku wiecznie trwał ktoś taki jak Clara, komu można było oznajmić koło siódmej wieczorem: nie wrócę dziś na kolację.

Wreszcie przestałabym cierpieć. Przestałabym żyć na świecie, w którym nie przewidziano

miejsca dla takiej dziewczyny jak ja. Skończyłoby się wreszcie życie ze zmiążdżonym sercem, z racji tego, że nie miałam matki, z racji tego, że kiedy odzyskałam ojca, o którego istnieniu nawet nie wiedziałam, nagle przestał być moim ojcem i porzucił mnie dla oportunistki, która udając moją przyjaciółkę, jednocześnie pozbawiła mnie tego, co było mi najdroższe. Oportunistki, która gdyby rzeczywiście była moją przyjaciółką, odwiedziłaby mnie, gdy już wyszłam ze szpitala i wylądowałam w domu sama ze służącymi. Postanowiły zajmować się mną dzień i noc, oczywiście dopiero kiedy zgodziłam się wypłacać im stosowne wynagrodzenie za nadgodziny. Panie Boże, nagle to właśnie na mnie spadło zarządzanie wszystkimi pieniędzmi taty, których, muszę przyznać, było całkiem sporo, a z łóżka niewiele dawało się załatwić. I płakałam na samą myśl o nim, i mówiłam sobie, że muszę zająć się kwestiami finansowymi, i wszystko to naraz okazało się zbyt wielkim ciężarem.

Przez wiele dni byłam sama, tylko z tymi trzema kobietami, dwiema w dzień i jedną w nocy. Siedziałam w swoim pokoju, wpatrując się w okno. Widziałam staw o nieruchomych wodach, który więził moją duszę i będzie ją więził już na zawsze.

Wczoraj po próbie udało mi się nakłonić Marka, żeby poszedł ze mną na przechadzkę nad Sprewę. Było po zmroku, wszystko było czarne i wilgotne. Wystarczyło jednak, że zrobiłam tam kilka kroków, żeby wyraźnie dostrzec moją uwięzioną duszę. Z czego się śmiejesz, zapytał Mark, patrząc na mnie zaintrygowany i skracając w drugą stronę. A, z niczego, odpowiedziałam, przytrzymując go siłą, woda wprawia mnie w dobry humor, wiesz, że ją lubię. Zawsze wszystkim mówię, że lubię wodę, ponieważ w innym wypadku nie byłiby w stanie zrozumieć, czemu zawsze przystaję na jej widok. A oprócz tego, że lubię wodę, rzeki tworzą muzykę, która sylabizuje i wpada w ucho, i mości się gdzieś w mózgu, tam gdzie kryje się wspomnienie o zmarłych i żywych, którzy przeszli do historii.

Skończyłam ćwiczyć pasażę. Odkładałam na bok stainera i siadam w fotelu, który stoi tu w garderobie. W przerwie pójdę w stronę sceny i zaczekam, aż przyjdzie pora na koncert Bacha i będę mogła zrobić to, co lubię najbardziej w świecie, popisać się zręcznością przed Teresą, która zwija już żagle jako skrzypaczka, ale też jako człowiek, ponieważ czas mija nieubłaganie i jej też nie oszczędzi, nie ma rady, choćby nie wiem jak się stroiła i malowała. Jeszcze kilka lat i już nigdzie nie będę jej spotykać, bo w ogóle nie będzie w stanie grać, ani wolno, ani szybko. Trochę cierpliwości, Anno.

MARIA

Dzisiaj, właśnie dzisiaj najchętniej nie ruszałabym się z łóżka, nie wiem, jakim cudem udaje mi się siedzieć tutaj przez cały koncert, przebrała się miarka, po powrocie do Barcelony będę musiała iść do lekarza. Teraz jednak nie mogę pozwolić sobie na chwilę słabości, nie w tym momencie, ponieważ mam zadanie do wykonania, ponieważ muszę dokończyć to, po co tu przyjechałam.

Pani Anna zjawiła się u nas na pół roku przed śmiercią pana Karla. Och, nie żeby skończył z panią Teresą, nic z tych rzeczy, wtedy obydwie zaliczały sofę, przynajmniej dopóki nie zaczęły grać razem. Lecz w epoce pani Teresy, zanim jeszcze na horyzoncie pojawiła się pani Anna, nie było nikogo więcej, a mam na myśli okres dwóch czy trzech lat. Pomyślałam sobie wtedy, że pan Karl się starzeje i ten moment, kiedy kazał mi pozbyć się fartuszka, musiał być jakimś punktem zwrotnym w jego sposobie patrzenia na świat.

Zrzuciłam strój służącej, no jasne, i schowałam go na dnie szafy. Wtedy dopiero zaczęła się prawdziwa sztuka, bo trzeba było kupić ubrania. Rozumie się samo przez się, że skoro nie nosiłam już w domu uniformu, jakoś musiałam się ubierać, a miałam tylko kilka rzeczy na czwartkowe i niedzielne wyjścia i prawie nic poza tym, więcej nie było mi trzeba. Kiedy zrzuciłam strój służącej, zdałam sobie sprawę, że się postarzałam. Usiłowałam wbić się w sukienkę, którą nosiłam, kiedy zalecał się do mnie tamten lubiący obmacywać chłopak, i okazało się, że się w nią nie mieszczę. Przejrzałam się w lustrze i nagle odkryłam, że twarz poznaczoną mam pogłębiającymi się bruzdami, które teraz zamieniły się w zmarszczki, jedne grube, inne drobniejsze. I popatrzyłam na swoje włosy i zorientowałam się, że posiwiały. Nie wiązałam ich już w kucyk, jak wtedy, gdy umawiałam się z chłopakiem z mszy, ale zawsze robiłam sobie kok, żeby nie przeszkadzały mi lecące na twarz kosmyki. Nagle przemknęło mi przez głowę, czy gdybym pozwoliła wtedy wkładać sobie rękę pod spódnicę, moje życie potoczyłoby się inaczej, może rzeczywiście tak by było, może miałabym męża i dzieci i mieszkałabym w innym domu, mniejszym, ale tylko moim, jak moje obecne mieszkanie, może byłoby to w zupełnie innej części miasta, kto wie. Mam jednak stuprocentową pewność, że nie nauczyłabym się grać na skrzypcach i nie miałabym pana Karla za nauczyciela. Także pewnikiem nie czułabym się tak, jak czułam się w domu pana Karla, mogąc robić to, co chciałam, i ustalając wszystko po swojemu, jakbym była u siebie. I na pewno nie miałabym Beethovena, którego mogłabym odkurzać i zwracać się do niego *gut'n tag*.

Bardziej mi się pani podoba tak normalnie ubrana, pani jest innego zdania, spytał, kiedy zobaczył, że pozbyłam się stroju służącej. Popatrzyłam na siebie przez moment, nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć, nie zwracałam zbytnej uwagi na takie rzeczy, no więc chyba nie. No dalej, niech już pani gra, mówił wtedy i zamykał oczy.

Dziwiło mnie, że chciał, bym grała, skoro pani Teresa pozostawała aktywna i mam tu na myśli to, że pani Teresa zaliczała sofę za każdym razem, kiedy przychodziła. Zwykle kiedy jakaś kobieta była aktywna, nie pamiętał o moich lekcjach. Począwszy jednak od tego incydentu z fartuszkami, w czasach pani Teresy, wszystko było inaczej i pan Karl nie przerwał naszych wspólnych sesji. W dalszym ciągu więc grałam i pobierałam kolejne lekcje, pan już wtedy nie płakał, ale wydawał się jakiś nieobecny i tak poważny, że czasem nawet przemykało mi przez głowę, że się na mnie gniewa. A ja grałam i grałam, wszystkie te niemieckie piosenki, które tak rozdierają serce słuchacza, pan podarował mi płytę z nagraniami, żebym posłuchała ich w wersji śpiewanej. No a teraz musi pani zrobić to samo za pomocą skrzypiec, oświadczył. Ja już miałam odparować, ale proszę pana, skrzypce nie mogą śpiewać, lecz ugryzłam się w język, bo nagle pomyślałam, że to nieprawda, skrzypce potrafią śpiewać, a jakże, i mogą brzmieć jeszcze

bardziej melancholijnie, niż gdyby podłożyć słowa, i właśnie to miał na myśli pan.

Kiedy go nie było, grałam nawet więcej. Grałam, ile tylko mogłam, i każdego dnia coraz więcej, dawałam się ponieść tym piosenkom. Opowiadały o bardzo dalekich ziemiach, ale ich smutek był uniwersalny, w tym samym smutku, myślałam sobie, pogrążają się kobiety i mężczyźni na całym świecie. Potem często musiałam robić wszystko biegiem, żeby zdążyć z robotą. Na każdy dzień tygodnia miałam przygotowaną rozpiskę rzeczy do zrobienia, ponieważ kiedy grałam na skrzypcach, zapominałam o bożym świecie i jak już zaczęłam, nie mogłam się oderwać. Umiałam na pamięć wszystkie te piosenki, pan Karl za każdym razem gratulował mi gry i któregoś dnia powiedział, że będzie musiał poszukać mi jakichś innych nut, bo te już za dobrze znam. Nieobecny tonem, który ostatnimi czasy go nie opuszczał, mówił dziękuję i uśmiechał się, a ja odchodziłam, żegnając się lekkim skinieniem głowy, jakby początkiem rewerencji, co zwykłam czynić od pierwszego dnia, w którym przekroczyłam próg tego domu. Mama nauczyła mnie tego gestu z przykazaniem, żebym wykonywała go wobec państwa, którzy mają więcej pieniędzy od nas. A mnie już pierwszego dnia wydało się, że pan Karl ma dużo więcej pieniędzy niż ja.

Bardzo to wszystko piękne, czego teraz słucham, to muzyka, która dociera do dna serca, a śpiewacy w niczym nie przypominają tej pierwszej od sofę, o nie, są dużo bardziej dyskretni i zdają się mówić, a nie drzeć, że aż szkło pęka. Trochę przypomina mi to dźwięk skrzypiec. A tak naprawdę jest przecież na odwrót i to skrzypce przypominają ludzki głos.

Pani Anna, która także grała na skrzypcach, pojawiła się u nas w domu jako wielkie odkrycie. Dzisiaj przyjdzie jedna z najlepszych skrzypaczek w kraju, oświadczył mi pan Karl z samego rana, proszę nadstawić ucha, a usłyszy pani, jak gra, Mario. Tak, proszę pana, powiedziałam posłusznie. Już wiedziałam, że pan wybiera się na tournée po Europie z orkiestrą, śpiewakiem i dwiema skrzypczkami, żeby wykonywać koncert Bacha z niedzielnych poranków. Jedną z tych skrzypaczek miała być pani Teresa i bardzo mnie to cieszyło. Mimo że przechodziła przez sofę pana Karla, widać było, że to bardzo dobra osoba, zawsze się do mnie uśmiechała i była miła, nie jak inne, które udawały, że mnie nie widzą, i szły prosto do sali, nie pytając o pozwolenie, chociaż teoretycznie to ja powinnam pozwolić im wejść lub nie, w zależności od decyzji pana.

Pani Anna była właśnie takim typem człowieka. Kiedy skończyli pierwszą ściśle muzyczną sesję, pan Karl przyszedł do mnie do kuchni i zapytał, co sądzę. Nie miałam pojęcia, co mam mu powiedzieć, skoro z samego rana oznajmił mi, że to najlepsza skrzypaczka w kraju, a zupełnie nie pokrywało się to z moimi odczuciami. Ostatecznie zebrałam się na odwagę i stwierdziłam, trafia w dźwięki. Spuścił głowę, tak, ma pani rację, trafia w dźwięki, w bardzo dużo dźwięków i bardzo szybko, ale nic poza tym, brak jej duszy, to przeciwieństwo Teresy, a wygląda na to, że będę musiał je jakoś zgrać, żeby udać się na tournée, mam wrażenie, że pomyliłem się co do tej dziewczyny. Tamtego dnia nie wypił czekolady, jedynie szklankę wody i poszedł sobie. Muszę pomyśleć, wyszeptał i widać było, że jest w nie najlepszym humorze. Kiedy mijał Beethovena, usłyszałam, jak w miejsce *gut'n tag* zdzielił go ręką, jakby to gipsowy muzyk był wszystkiemu winien.

Koniec końców pan Karl zabrał je obydwie. Myślę, że postanowił znaleźć złoty środek, w jakiś sposób je połączyć. Takie wnioski ostatecznie wyciągnęłam, przysłuchując się, jak je szkolili. Pani Annie zrobił tylko jedno przesłuchanie, ale dał jej drugą szansę, powiedział, żeby włożyła w grę trochę więcej siebie, i pamiętam, że wtedy rzeczywiście pani Anna włożyła więcej siebie i pan Karl był z niej całkiem zadowolony. Teraz myślę, że nic z siebie nie włożyła, myślę, że tylko odgrywała komedię, wiedziała, jak udawać, z muzycznego punktu widzenia, wrażliwość, której jej nie stawało. I ta szopka przywiodła ją aż tutaj, a także rzuciła w ramiona pana Marka,

który najwyraźniej żyć bez niej nie może.

Pani Anna trafiła na sofę, kiedy wydawało się już, że rzeczywiście jest skrzypaczką, której potrzebował. Stało się to w dniu, w którym przyniosła stainera. Nawet ja pomyślałam sobie wtedy, że bardzo dobrze zagrała, mimo że zupełnie mi się nie podobała, nie tylko dlatego, że już od samego progu mnie ignorowała, ale ze względu na pozę, którą wiecznie przybierała, niezależnie od tego, czy chodziła, siedziała spokojnie, czy też grała na skrzypcach. Była wysoka i szczupła, o bardzo ciemnej karnacji i włosach, wydawała się pochodzić raczej z moich stron, a nie z Katalonii, i kroczyła pewnie w swoich szpilkach, w jakich ja niechybnie bym się wyróciła. Zapadła cisza, kiedy pan oświadczył jej, OK, ma pani angaż, i wtedy przyłożyłam oko do dziurki od klucza i widziałam, jak się stało, co się stać musiało. Kolejna kobieta przeszła w stan aktywności, pamiętam, że przeleciało mi przez głowę, a tym razem nie odprawił jeszcze pani Teresy. Ani myślał jej odprawiać, pan przygotowywał koncert na dwoje skrzypiec i jak widać te kobiety, obydwie, musiały grać także pierwsze skrzypce w jego życiu. Była to całkowita nowość, jeszcze nigdy wcześniej się to nie zdarzyło i nie byłam pewna, jak sobie z tym poradzi pan Karl. Mam nadzieję, że obydwie nigdy się nie spotkają, pomyślałam.

No jasne, że się spotkały. I tego spotkania do końca życia nie zapomnę. Najwyraźniej pan Karl żadnej z nich nie poinformował, że przyjdzie ta druga, i natknęły się na siebie po raz pierwszy właśnie u nas, gdy pewnego dnia pan chciał, żeby ćwiczyły wspólnie. Święta Panienko z Macareny, na dodatek wyglądało na to, że już się znały i zbytnio za sobą nie przepadały. Wciąż pamiętam moment, kiedy otworzyłam drzwi do sali, żeby wpuścić panią Annę, a w środku siedziała już pani Teresa. Nie widziałam twarzy pani Anny, ale twarz pani Teresy owszem i odmalowała się na niej mieszanka zaskoczenia, niedowierzania, a także rozpacz. Nie uśmiechnęła się ani nic. Pamiętam, że pan Karl powiedział, to właśnie ona, a pani Anna rzuciła, my już się znamy. Nawet nie podały sobie dłoni i tylko pani Teresa wykrztusiła, lata całe cię nie widziałam. Wtedy pan Karl, który dobrze ją znał i zorientował się, że coś jest nie tak, zaczął mówić o muzyce i wszyscy troje zabrali się do gry. A to akurat robili dobrze i nie mogłam wyjść ze zdumienia, jak panu udało się połączyć, scalić w jeden dwa tak odmienne sposoby interpretacji, jeden wypływający z duszy i drugi oparty na sprawności i technice.

Wcześniej jednak, jakiś miesiąc przed, na kilka dni przed tym dziwnym i intrygującym spotkaniem, objawił się stainer. Tak się złożyło, że pani Anna przyszła do nas ze stainerem. Na pewno chciała wyrzucić wrażenie na panu Karlu i rzeczywiście jej się to udało, ale nie tak, jak na to liczyła. Pan poprosił, żeby pokazała mu na chwilę skrzypce, i przybiegł do mnie z instrumentem w dłoniach. Właśnie udawałam, że odkurzam Beethovena, i o mało się nie przewróciłam, kiedy pośpiesznie starałam się stamtąd umknąć. Mario, zawołał mnie łagodnie, kiedy znajdowałam się już na wysokości drzwi wejściowych. Albo się nie zorientował, gdzie wcześniej byłam, albo nie przykładał do tego zbyt wielkiej wagi, interesowały go jedynie skrzypce. Wpatrywał się we mnie błyszczącymi oczami, to nasze, spytał słabym głosem i podetknął mi pod sam nos wydłużone otwory, przez które można było odczytać napis, mówiący coś o jakimś Stainerze, i wtedy, po tylu latach, w mojej głowie zapaliła się lampka i zrozumiałam, czemu nazywał te skrzypce stainerem. No ale co to, pokazał mi nagle pan Karl. Popatrzyłam i rzeczywiście przy jednej z krawędzi widniał ślad po zadrapaniu, które ktoś naprawił. Natychmiast stało się to dla mnie jasne, być może kiedy wpadły do wózka albo śmietnika, zasugerowałam, rumieniąc się, no ale sama nie wiem, minęło tyle lat. Tak, odparł, nie odrywając wzroku od zadrapania, i powtórzył jak echo, minęło tyle lat.

Zbiło mnie z tropu, że użył słowa nasze, bo tak właśnie powiedział, to nasze. Mimo wszystko starałam się oglądać skrzypce z należnym profesjonalizmem. Prawda jest jednak taka, że kiedy jeszcze były w domu, nigdy im się nie przyglądałam, z wyjątkiem tamtego dnia, kiedy je

wyrzuciłam. Nie jestem pewna, proszę pana, zawahałam się. Ale ja tak, odparł, to nasze skrzypce, pochodzą z Salz... coś tam. Odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę sali, mówiąc pod nosem, wygląda na to, że ktoś ubił niezły interes na tym, co znalazł w śmieciach.

Zamilkłam, żeby usłyszeć, co powie pani Annie, ale nie zapytał, skąd je wzięła. Może nie chciał wystawiać jej na pośmiewisko, gdyby wyszło na jaw, że wyciągnęła skrzypce ze śmieci. Albo może kupiła je u jakiegoś gałganiarza, chociaż dziewczyna sprawiała wrażenie majątnej. Jakkolwiek było, jak znam pana Karla, pewnie pomyślał, że jeśli ją zapyta, skąd ma stainera, postawi ją to w złym świetle. Pan już taki był. Ona jednak chyba doszła do wniosku, że musi się jakoś wytłumaczyć, i rzuciła niby od niechcienia i przesadnie głośno, żebym ja też ją usłyszała, mam je od lat, dostałam je w prezencie od ojca. Kupił je tutaj, zapytał pan Karl. Ona odparła, nie mam pojęcia, ale ojciec już nie żyje i nie mogę go zapytać. I tak się to skończyło. Nic więcej nie słyszałam, mówili bardzo cicho i bardzo szybko, a poza tym zadzwonił telefon i musiałam iść odebrać. Wróciłam dokładnie w porę, żeby trafić na kolejną scenę na sofie, ale o skrzypcach więcej nie było już mowy. Wiem za to, że pani Anna ostatecznie dała mu instrument, żądając czegoś w zamian, wtedy jeszcze nie domyślałam się czego. I w taki oto sposób zarysowany stainer, te bezcenne skrzypce, które przez pomyłkę wyrzuciłam do śmieci, po wielu latach wrócił do domu. Któregoś dnia pan Karl zawołał mnie do sali i wręczając mi stainera, powiedział, niech pani zagra jedną z tamtych piosenek. Była to chwila pełna emocji, wyrzuciłam skrzypce do śmieci, kiedy jeszcze nie miałam bladego pojęcia, że może toto jakoś brzmieć, a teraz okazywało się, że ja sama mogę na nich grać.

Drżącymi dłońmi wzięłam instrument i ustawiłam się. Wiedziałam już, że kiedy pan mówił, jedną z tamtych piosenek, miał na myśli piosenki ze swoich stron, a zwłaszcza tę o wieśniacze i pasterzu. Właśnie ją więc zagrałam. I nagle rzucono na mnie urok, okazało się bowiem, że te skrzypce potrafiły czarować, jakby w środku skrywały słońce czy coś na jego kształt. O mój Boże, zakrzyknęłam, urywając raptem po kilku taktach. Och, niech pani nie przerywa, proszę, błagał rozpaczliwie pan, jakbym wyrwała go z ekstazy, w której zdążył się pograć. Dobrze, powiedziałam, dobrze, powoli i delikatnie. I zaczęłam ponownie. Grałam sama, bez fortepianu. Zamknęłam oczy i pozwoliłam stainerowi zająć się resztą. Przez cały utwór czułam się jak na pokładzie czarodziejskiego statku. Na koniec otworzyłam oczy i wyszeptalam, proszę pana, to są jakieś zaczarowane skrzypce. Pan przytaknął, nawet na mnie nie spojrzawszy, i ścisnęło mi się serce, ponieważ ostatnio tak dziwnie się zachowywał.

Uznałam, że czas się oddalić, i przyszło mi wtedy do głowy coś jeszcze dziwniejszego, kiedy pani Anna na nich grała, nie działały się żadne czary. Kiedy pani Anna grała na stainerze, brzmiał on jak zwyczajne skrzypce. Stało się jasne, że w zależności od tego, kto miał go w rękach, stainer mógł wcale nie ujawniać swoich czarodziejskich właściwości, nie robić absolutnie nic. Poszłam do kuchni całkiem oszołomiona, zostawiłam za sobą pograżoną w grobowej ciszy salę i pana tkwiącego tam ze wzrokiem wbitym w fortepian, nie powiedział mi nawet dobranoc.

Od tego momentu mogłam grać na stainerze, ale tylko od czasu do czasu, kiedy pana nie było w domu, ponieważ inaczej zabraniał mi to robić. Nie, proszę grać na skrzypcach ćwiczebnych, mówił, po to są. I podawał mi te drugie, a ja grałam jak zwykle i powtarzałam lekcje, których kazał mi się nauczyć. Robiłam wszystko tak dobrze, jak tylko umiałam, ale rzecz jasna słyszałam ogromną różnicę w porównaniu do dźwięku, który wydobywał się ze stainera, bez dwóch zdań.

Były to dziwne czasy. Pan nie był sobą, a w domu był stainer, ale ja zaczynałam myśleć, że jakkolwiek czarodziejskie byłyby te skrzypce, może lepiej, gdyby zostały tam, gdzie były, zamiast trafić do nas. Miałam wrażenie, że ciąży nad nami urok, taki, jaki rzucają Cyganki

z moich rodzinnych stron, kiedy cię nie lubią albo na zamówienie kogoś, kto źle ci życzy. Wszystko wyblakło, a my, on i ja, postarzeliliśmy się. I zrobiło mi się smutno, bo przyszło mi do głowy, że może pan oczekiwał czegoś więcej od mojej gry na stainerze i spotkało go rozczarowanie, ponieważ koniec końców byłam tylko służącą, a służące nie są skrzypaczkami, nieważne, w jakim chodzą stroju.

I nadszedł ten dzień, kiedy pani Anna i pani Teresa się poznały, a następnie przystąpiły do prób. I skończyła się sofa, skoro były tam obydwie. Nie wiem, czy pan miał zamiar zaciągnąć je na sofę jednocześnie, lecz jeśli nawet taki był plan, wszystko spełzło na niczym, ponieważ było jasne, że się nie znoszą. A rozumie się samo przez się, że aby robić pewne rzeczy z drugą osobą, trzeba ją znosić i to nawet bardzo.

Tak więc jeśli chodzi o te dwie kobiety, te same, które dziś wieczorem zagrają na sam koniec, od tamtej pory słyszałam już tylko muzykę, i to konkretną muzykę. Przyzwyczyłam się do prób podwójnego koncertu Bacha, teraz mogłam go słuchać na żywo, a nie tylko na nagraniu z niedzielnych poranków. Zaczynała pani Teresa, robiła to w sposób słodki, acz zdecydowany, z jej gry przebijała siła, którą mimo wszystko czuć było w tej kobiecie. A po chwili wchodziła pani Anna i sprawiała wrażenie, że chce ją prześcignąć, chociaż w rzeczywistości dobrze wiedziała, że obydwie dotrą do końca w tym samym momencie. I tak się to wszystko toczyło, pan Karl od czasu do czasu im przerywał i kazał powtarzać jakieś takty lub całe pasaże, był bardzo poważny i bardzo surowy. A potem, kiedy kończyli, każda szła w swoją stronę i pan Karl zostawał w sali wpatrzony w fortepian, a ja myślałam, temu człowiekowi coś dolega.

I wtedy oznajmił mi, w przyszłym tygodniu wyjeżdżamy. Nie będzie mnie piętnaście dni.

TERESA

Słyszę, jak Anna ćwiczy gamy w garderobie. Robimy wszystko na odwrót, ja zostawiam to na ostatnią chwilę, żeby trochę rozgrzać palce, ona z kolei tuż przed występem idzie się przejść, miała taki zwyczaj już podczas tournée dziesięć lat temu. Nie wiem, jak sobie dziś poradzi, ponieważ gdy wyszłam na chwilę na zewnątrz, padało, a wszystkie leżące na ziemi liście zamieniły się w tor łyżwiarski. No a poza tym kompletnie nic nie widać. Strasznie ciemny ten kraj. Nie jestem pewna, czy ten koncert to dobry pomysł, nie mam ochoty na otwieranie ran, które zabiły się z takim trudem, mnie przynajmniej wiele to kosztowało. Za każdym razem, kiedy ją widziałam, cała ta bolesna i mroczna historia stawała mi przed oczami, za każdym razem musiałam się powstrzymać, żeby czegoś jej nie wygarnąć.

Najgorzej jednak było za pierwszym razem. Karl zrobił się nieco tajemniczy, nie powiedział mi nawet, czy partie drugich skrzypiec będzie grać kobieta, czy mężczyzna, spodoba ci się, tylko tyle udało mi się z niego wyciągnąć. Najpierw nie chciał nic mi powiedzieć, ponieważ zastanawiał się nad kilkoma opcjami, ale potem, kiedy już ją wybrał, również milczał, aż w końcu oznajmił, jutro przedstawię ci twojego rywala z podwójnego koncertu. Rywala albo dopełnienie, zależy jak na to spojrzeć, to jasne, osobiście uważam, że obydwie melodie splatają się i uzupełniają, ale z drugiej strony to także próba, która z nich okaże się pełniejsza, zanim dojdą do końca dokładnie w tym samym momencie. W przypadku Anny nasza wspólna gra była czystą rywalizacją, nie istniał nawet cień szansy na uzupełnianie się. Gdy ją tam zobaczyłam, gdy wkroczyła do sali w towarzystwie Marii, pomyślałam tylko, Panie Boże, zatrzymaj świat, bo ja wysiadam. Ale Bóg nie zatrzymał świata. Czułam się, jakby ziemia się pode mną zapadła, jakby wystrzelono mnie z katapulty. Przeklinałam w duchu, że nie uzależniłam swojego udziału w tournée od tożsamości drugiego skrzypka, ale dopóki nie ujrzałam Anny, było mi absolutnie wszystko jedno, kto to będzie, miałam pewność, że Karl wydobędzie z tej osoby co trzeba, wiedziałam, że osiągnie doskonały dźwięk, który przybliży dwoje naszych skrzypiec do Bacha, tylko on mógł czegoś takiego dokonać. W głowie mi jednak nie powstało, że wybór padnie na Annę, w ostatnich latach dała się poznać jako pierwszorzędną skrzypaczka, to fakt, trochę była wtedy modna, potrafiła grać szybkie pasaże w sposób przyprawiający o zawrót głowy, no ale przez myśl mi nie przeszło, że Karl mógłby szukać takiego typu muzyki. A jednak tak było.

Ona też była zaskoczona, powiem więcej, mowę jej odjęło, żadna z nas nie wiedziała, co powiedzieć ani jak się zachować, w tej kwestii jechałyśmy na tym samym wózku. Nieświadomie starano się połączyć ogień z wodą. Anna wymamrotała, że już się znamy, a ja rzuciłam coś w stylu, dawno się nie widziałyśmy, żeby przełamać pierwsze lody. Maria zorientowała się, że coś jest nie tak, ponieważ Maria, mimo że tego po niej nie widać, jest bardzo, ale to bardzo bystra, natomiast Karl, nawet jeśli się zorientował, sprawiał wrażenie, że jest mu to obojętne, i powiedział, no dalej, przećwiczmy to, zaczęliśmy więc ćwiczyć i nic już więcej nie mówiliśmy. Kiedy grałam tam z Anną, czułam się dziwnie i bardzo nieprzyjemnie. Byłam tego dnia rozkojarzona, grałam trochę mechanicznie i w duchu myślałam, że może lepiej by było wycofać się z tego przedsięwzięcia, ale jasne, było już za późno, do wyjazdu zostało niewiele czasu i byłby to brzydki numer.

Zdziwiło mnie, że Anna ani tamtego dnia, ani podczas tournée nie miała ze sobą stainera. Wydawało mi się to niepojęte, jeśli gdzieś można się było nim pochwalić, to właśnie na takim tournée, mieliśmy jechać do Wiednia, Rzymu, Madrytu i Paryża. Pierwszy na liście był jednak Berlin. Gdzie miałyby zabrznieć stainer, jeśli nie w tych europejskich stolicach. Może już go nie ma, przemknęło mi wtedy przez myśl, ale byłaby strasznie głupia, gdyby się go pozbyła, tak głupia jak ja przed laty. Miałam też wrażenie, że coś jest między nią a Karlem, ale szczerze

mówiąc zbytnio mnie to nie zdziwiło, a nawet liczyłam się z takim obrotem spraw. Karl znany był z tego, że wdawał się w romans z każdą osobą, która grała z nim lub śpiewała i nosiła spódniczkę, nawet jeśli była to kobieta dużo od niego młodsza, jak Anna. Brałam to już pod uwagę, kiedy po raz pierwszy wylądowaliśmy na tej czarnej sofie, reguły były dla mnie jasne, a skoro tak, z pełną świadomością przystąpiłam do tej gry zaspokajania wzajemnych potrzeb. Wystarczyło mi, że mogłam z nim grać, i nigdy niczego od niego nie żądałam, natomiast dzięki jego geniuszowi nauczyłam się opuszkami palców dotykać nieba. Nie wiedziałam tylko, choć bardzo chciałabym wiedzieć, czy Anna była świadoma tych zwyczajów Karla, ponieważ zawsze szukała osób, które mogłyby być jej i tylko i wyłącznie jej. A w przypadku Karla taka wyłączność nie wchodziła w rachubę.

Jeśli mam być szczerą, kiedy wróciłam do domu po tym pierwszym spotkaniu z Anną u Karla, pomyślałam, że los rzeczywiście płata nam figle, ale akurat ten figiel był jednym z tych, które przechodzą do historii.

ANNA

Przerwa. Publiczność reaguje z entuzjazmem, rozlegają się gromkie oklaski. Już samo to jest dziwne, ponieważ nie jesteśmy w Barcelonie, gdzie widzowie naprawdę okazują uczucia. To dość ciekawe, na początku zaskakuje cię odmienność reakcji publiczności w tym czy innym miejscu, chociaż grałeś właściwie tak samo i tu, i tam. Potem zdajesz sobie sprawę, że południowcy przeżywają wszystko bardziej niż mieszkańcy Północy. To pewnie kwestia temperamentu, nasza krew jest gorętsza i łatwiej się przez to wzruszamy, a także wcześniej irytujemy i krócej tolerujemy, że ktoś stroi sobie z nas żarty. Tutaj z kolei robią kilka klap, klap, klap i tyle, cokolwiek by się działo. No dobrze, zwykle tak robią, ponieważ teraz, z tego co słyszę, wszyscy są niesamowicie ożywieni.

Nasze próby z Teresą i Karlem też były ożywione. Na szczęście odbyły się tylko dwie, zanim dołączyła do nas cała orkiestra. A tym razem zrobiliśmy tylko jedną, tuż przed pierwszą próbą z orkiestrą.

Biorę skrzypce i wychodzę z garderoby. W oddali majaczy mi Teresa i znów nasuwa mi się refleksja, że nie jest już taka jak dawniej. Pamiętam, że robiła kiedyś piorunujące wrażenie i jeszcze kilkanaście lat temu zazdrościłam jej wyglądu. Ja byłam szczupła i mizerna, a ona wysoka i silna. Teraz jednak ugina się już pod brzemieniem lat. A poza tym ona nie może mieć dzieci, już na to za późno, może miała nadzieję zrobić je sobie z moim ojcem, miałabym jeszcze braciszka lub siostrzyczkę. Jeśli miałoby to być dziecko tej kobiety, to nigdy, co za koszmarna wizja.

Teraz Mark schodzi ze sceny, ocierając sobie pot z czoła białą chustką, jedną z tych, które obowiązkowo musi mieć w kieszeni, zawsze dopytuje się, czy są czyste, a ja zapowiedziałam naszej pomocy domowej, że chustkami Marka ma się zajmować w pierwszej kolejności, przed wszystkimi innymi rzeczami, nie wyłączając jego własnych koszul. Ma na tym punkcie obsesję. Teraz uśmiecham się do niego i pytam, czy wszystko dobrze poszło. Nie odpowiada, przytakuje tylko skinieniem głowy. Biegnę za nim, żeby dotrzymać mu towarzystwa w garderobie. Nie zwraca na mnie uwagi, pewnie jest zmęczony.

– Przynieść ci coś? – pytam w ostatniej chwili, widząc, że ma zamiar zamknąć się w środku.

– Nie, dziękuję – mówi z półuśmiechem. I dodaje czule: – Zobaczymy się za chwilę, skarbie.

Drzwi się zamykają, a ja zostaję na zewnątrz. Czuję się, jakby ktoś właśnie głęboko mnie zranił, jakby złapał mnie za płuca. Nagle ciężko mi oddychać. Przypomina mi się szpital i okres tuż po wypisie, ponieważ wtedy też mi się to przytrafiało, z trudem nabierałam powietrza i wszędzie musiała towarzyszyć mi służąca, bo bałam się chodzić sama. To jednak dawno minęło, a teraz znów mi się przydarzyło. I nie pierwszy zresztą raz, czasem wystarczy, że Mark coś powie, a ja znowu tak się czuję, jakby głęboko mnie coś raniło w płuca. Powoli się odwracam i upewniam, że nikt nie był świadkiem tej sceny. Zostawiam skrzypce na krześle, dobrze je układam, żeby na pewno nie spadły, i wychodzę na zewnątrz, mechanicznie stawiając stopy jedna za drugą. Niektórzy muzycy, korzystając z chwili przerwy, wyszli zapalić, mimo że pada. Tak, pada, z nieba lecą malutkie, acz wytrwałe krople, nie wydają żadnego dźwięku, ale powoli przez wszystko przesiąkają i nabłyszczają liście na ziemi. Tak naprawdę to moja dusza, która rozpada się na kawałki, widzę, jak się rozrzedza i rozbryzguje, gdy tylko dotknie ziemi, i miesza się z kolorowymi liśćmi, teraz już pociemniałymi, bo nie ma światła.

Wczoraj moja dusza z impetem pływała w Sprewie. Teraz jest zdruzgotana.

Wydawało mi się zabawne, że Karl mieszkał niedaleko mojego domu, aczkolwiek na

suficie jego pokoju zapewne nie odbijał się staw, bo nie miał do niego tak blisko jak ja. Choć nie mam pewności, nigdy się tego nie dowiedziałam, ponieważ nigdy nie pokazał mi swojego pokoju, nalegał, żebyśmy nie opuszczali sali z fortepianem. Karl pożerał mnie wzrokiem za każdym razem, kiedy kończyliśmy grać, cały płonął i mnie także ogarniały płomienie. Nie miało to nic wspólnego z Markiem, który nie wie i nigdy się nie dowie, co to znaczy zatracić się tak w innej osobie, jak ja zatracalam się w Karlu, a on we mnie, stawaliśmy się jednością, jakbyśmy nie potrzebowali już nikogo więcej na świecie, i nie miało najmniejszego znaczenia, że był ode mnie sporo starszy. Martwiłam się tylko, żeby nagle nie wparowała służąca, ale mimo że to wiedźma, trzeba jej przyznać, że zawsze była dyskretna, nigdy tam nie weszła, nawet przypadkiem, i nigdy jej nie słyszeliśmy.

I wtedy miał miejsce epizod ze skrzypcami. Przyniosłam mojego stainera, żeby zaimponować Karlowi, a on rzeczywiście był pod wrażeniem, lecz nie tak, jak się spodziewałam. Wziął ode mnie instrument, dobrze mu się przyjrzał i zapytał, czy może go na chwilę zabrać. Zgodziłam się i wyszedł. Pomyślałam, że pewnie coś sprawdza i woli to zrobić w samotności, skoro w całym domu nie było nikogo poza Marią. Nigdy się nie dowiedziałam, co właściwie sprawdzał, ale jak wrócił, patrzył na mnie w tak dziwny sposób, aż poczułam, że się rumienię, i miałam wrażenie, że wzrokiem o coś mnie oskarża. Palnęłam więc pierwszą rzecz, która przyszła mi do głowy, czyli że dostałam je w prezencie od ojca i sama nie wiem, skąd je wziął. I wtedy wyskoczył z pytaniem, ile chcesz za te skrzypce. Oślupiałam i po chwili milczenia odparłam, nic, nie są na sprzedaż. On, niezrażony, rzucił jakąś sumę. Nie, nie, nie są na sprzedaż, mówiłam, kręcąc głową i myślałam sobie, że biedak nie ma pojęcia, że jedyną rzeczą, którą mam, są pieniądze, dużo pieniędzy, że zostałam bez ojca i matki, ale pławię się w dostatku. Wydawało się, że dał za wygraną, i zaczęliśmy grać. A gdy skończyliśmy, podszedł do mnie i mnie pocałował. Nigdy nie całował mnie żaden mężczyzna, nie dopuszczałam ich do siebie, nie chciałam, żeby ktoś mnie dotykał, nie chciałam, żeby sprofanował moją fizyczną samotność, chociaż miałam już prawie trzydzieści lat. Lecz jemu nie potrafiłam odmówić, zahipnotyzował mnie, byliśmy jeszcze pod wpływem muzycznych emanacji, taki stan upojenia można wywołać tylko za pomocą muzyki, czułam się jakby przykuta do miejsca i wtedy dowiedziałam się, co to znaczy dać się pocałować mężczyźnie, i to nie byle jakiemu mężczyźnie, ale jemu. Mężczyźnie, który ze względu na swój wiek, przemknęło mi przez głowę, mógłby być moim ojcem, a kiedy umarł, dowiedziałam się, że nawet dziadkiem. W tamtej chwili było mi to jednak obojętne: Karl całował z pasją, był tak wysoki i barczysty, że wydawało się, że chce mnie połknąć w całości. Pociągnął mnie na sofę, najpierw trochę się opierałam, ale delikatnie schwycił mi ręce i ostatecznie się poddałam, uległam i spodobało mi się to. Podobało mi się zarówno tego dnia, jak i w następnych, które miały dopiero nadejść. Podobało mi się, dopóki wszystko nie legło w gruzach, i to przez osobę, która zawsze musiała wszystko zniszczyć, przez Teresę.

To jednak miało stać się później. Na razie miałam Karla tylko dla siebie, chociaż czasem zapominał o mojej obecności albo nie zwracał na mnie uwagi, albo graliśmy i potem to ja musiałam mu się narzucać. I wtedy wpadłam na genialny pomysł, przyszło mi do głowy, co mogę zrobić, żeby był mój i tylko mój. Któregoś dnia poszłam do niego i oświadczyłam, dam ci stainera, pod warunkiem że się ze mną ożenisz.

MARK

Ojcu zakomunikowano, żeby nie podróżował, ponieważ z jego sercem nie jest najlepiej. Kilka dni przed wyjazdem do Rzymu napędził nam niezłego stracha. Na szczęście byłem wtedy w domu, ponieważ Maria bardzo się przejęła, była przerażona, kiedy ból w klatce piersiowej nie pozwalał mu mówić. Rzuciłem się do telefonu, przyjechała karetka i zabrali go do szpitala. Po dwóch dniach wrócił do domu, ale ze ścisłymi zaleceniami lekarza, których rzecz jasna nie miał zamiaru przestrzegać, ponieważ zakładały rezygnację z tournée. Zaordynowano mu też picie. Kilka kropelek whisky w stresujących sytuacjach nie zaszkodzi. Nie lubię whisky, odparł ojciec, krzywiąc się z obrzydzenia. Lekarz lekko się zirytował, jak pan chce, oświadcza mi pan, że i tak pojedzie na tournée i nie zamierza pić whisky, w porządku, w takim razie nic tu po mnie. Ojciec zacisnął wargi i nic nie odpowiedział. Wydawało się, że tym ostatnim zdaniem lekarz wsadził go już do trumny, tak jakby mówił, no dalej, proszę sobie sprawić sosnową jesionkę, najlepiej na miarę, bo jest pan duży i może się nie zmieścić. Dobrze by było, gdyby rzeczywiście tak zrobił, ponieważ potem naprawdę mieliśmy spory problem z jego wymiarami.

Od wielu dni coś go gnębiło, ale ponieważ fizycznie był taki jak zawsze, ani Maria, ani ja nie przywiązywaliśmy do tego większej wagi. Kiedy jednak dostał dławicy piersiowej, przyszła do mnie zapłakana i zapytała, co robimy, Mark, jak odwieść go od wyjazdu na to tournée. Nie uda nam się to, Mario, powiedziałem, kręcąc głową zrezygnowany. Maria zalewała się łzami, rozczuła mnie wierność tej kobiety, właśnie dlatego nalegałem, żeby przyjechała do Berlina na nasz koncert, to ważne, żeby tu była, aby w pełni upamiętnić tamten drugi koncert, który dziesięć lat temu odbył się po wschodniej stronie tego dotkliwie doświadczonego przez historię miasta i stanowił leitmotiv całego tournée. Karl T. dorastał w Berlinie Wschodnim i niezmiernie istotne było, żeby tam wrócił z tym koncertem, skoro mur upadł lata temu. Starłem się wytłumaczyć to wszystko służącej, aż w końcu powiedziałem jej, że dla niego całe to tournée jest bardzo ważne, ale w szczególności koncert w Berlinie i jeśli go nie robi, umrze z żalu. Popatrzyliśmy na siebie i zrozumieliśmy się bez słów. Maria otarła łzy, było jasne, że lepiej, by umarł, robiąc to, czego zawsze pragnął, niż siedząc w domu.

I tak właśnie się stało. Ojciec zrobił koncert w Berlinie, a kiedy leciał do Wiednia, sam, bowiem cała orkiestra, śpiewacy i solistki mieli inny samolot, odszedł. Nie dało się już nic zrobić, była to tylko chwila cierpienia, kilka sekund, i kiedy stewardesy zorientowały się, że coś jest nie tak, on już nie żył.

Jak tylko mnie powiadomiono, poczułem się zagubiony i miałem tak się czuć jeszcze przez wiele lat. Dosłownie zagubiony, ponieważ ojciec był dla mnie punktem odniesienia, gwiazdą, za którą podążałem, by dotrzeć sam nie wiem gdzie, zarówno w muzyce, jak i poza nią, było tak, odkąd go poznałem. Chciałbym wieść równie surowe życie, osiągnąć mistycyzm, którym przesiąknęło jego muzyczne powołanie, ale który przeschębiał też w inne sfery swojego życia, jeżeli w ogóle miał jakieś życie, albowiem mój ojciec żył dzięki muzyce i dla muzyki.

Ja jestem inny, muszę żyć również poza tym światem, muszę mieć przyjaciół i potrzebna mi kobieta. Inna kobieta, nie ta, z którą się duszę. Dziś po koncercie, kiedy już zagra, chyba jej powiem, że to koniec. Mam jej już dosyć.

Maria usłyszała mój krzyk, kiedy odebrałem telefon, i natychmiast przybiegła. Potem widziała, że płaczę, i słyszała, jak dopytuję o szczegóły, jak to się stało. Z oczami pełnymi łez odsunąłem na chwilę słuchawkę, żeby jej powiedzieć, nie żyje. Ona nic się na to nie odezwała. Przez kilka sekund, podczas gdy po drugiej stronie impresario orkiestry relacjonował mi, co się stało, nie poruszyła się ani nie zmieniła wyrazu twarzy, nie płakała ani nic. Potem odwróciła się na pięcie i zniknęła.

MARIA

Kiedy pan Mark powiedział mi, że jego ojciec nie żyje, miałam wrażenie, że wszystko wokół mnie nagle zamarzło. Minionej niedzieli ksiądz opowiadał akurat o apokalipsie i oznajmił nam, że kiedy nadejdzie ten dzień, niebo się zawali i ziemia zapadnie, a jeżeli ktoś ostatecznie się jeszcze przy życiu, zstąpią zastępy aniołów i będą ścinać głowy, by w ten sposób upewnić się, że wszyscy jesteśmy martwi, bo w końcu nie na darmo nazywa się to apokalipsą. Tak więc ja, kiedy dowiedziałam się o śmierci pana Karła, pomyślałam, że wali się niebo i zapada ziemia. I zanim zstąpią ścinający głowy aniołowie, poszłam do swojego pokoju, zamknęłam drzwi, przytuliłam stainera i list i wyciągnięta na łóżku przez długą chwilę wpatrywałam się w sufit całkiem suchymi oczami. Miałam ochotę płakać i nie byłam w stanie, czułam, że mam w środku ogromny, zimny głaz, który wypełnia mnie całą, bryłę lodu, która znieczula mnie od wewnątrz. Nie udało się jednak całkiem mnie znieczulić, o nie, w jakimś ciasnym zakamarku uchowała się gorąca kropla i ta kropla powoli mnożyła się po tysiącokroć i topiła lód, i tworzyła coraz więcej kropel, aż uzbierało się tego całe morze, które chciało wydostać się na zewnątrz. Ciężko było zacząć płakać, ale kiedy już to zrobiłam, nie mogłam przestać przez długie godziny. A kiedy tak płakałam, przez głowę przelatywały mi wszystkie te lata, wszystkie minione wydarzenia, pan podczas gry, pan na sofie i ja wyrzucam skrzypce do śmieci, i ja przyrządzam gorącą czekoladę, i ja przygotowuję mu wszystko. I tak, po suchej chwili i długich mokrych godzinach, dotrwałam do następnego dnia, kiedy upłynęła już cała noc i załamała się cisza wiecznie panująca nieopodal parku, który tak się zmieniał o poranku, wieczorem, w nocy.

I zaświtał nowy dzień, ale pana już nie było.

Upłynęło sporo czasu i pan Mark postanowił do mnie zajrzeć, zapukał do drzwi, a ja pomyślałam, że powinnam go wpuścić. Otarłam łzy i otworzyłam, ale najpierw schowałam stainera do szafy. Chłopak, który stał naprzeciwko mnie, też był cały zapłakany, był to chłopak, który stracił ojca, a ja nie odważyłam się go przytulić, nie wiedziałam, czy to wypada, ale miałam na to wielką ochotę, ja też tego potrzebowałam. To on rzucił mi się w objęcia i długo tak trwaliśmy, zapłakując się jeszcze głośniejsze. Od wielu lat nie pamiętałam już ciepła drugiego człowieka, nie pamiętałam, jak gorący może być uścisk, a ta chwila z panem Markiem przypomniła mi objęcia mojej mamy, kiedy byłam mała i wydawało mi się, że jej ramiona bronią mnie przed całym złem świata.

Idę wszystko załatwić, powiedział, otarłszy łzy, zadzwonię do pani i pani mi pomoże, dobrze, ponieważ musimy wyprawić pogrzeb. Przytaknęłam skinieniem głowy, łkając łzy. Skoro on otarł swoje, ja również powinnam.

Kiedy pan Mark sobie poszedł, wybrałam się do kościoła, żeby rozmówić się z Bogiem. Panie Boże, zapytałam, dlaczego kiedy dajesz mi wszystko, od razu wszystko mi odbierasz. I Bóg spojrział na mnie z krzyża, do którego był przybity po drugiej stronie ołtarza, i powiedział mi, córko, całkowita szczęśliwość nie istnieje. No dobrze, nie jestem pewna, czy powiedział mi to Pan Bóg, dokładnie nie pamiętam, może sama to do siebie powiedziałam, ale na pewno słowa te rozległy się w moich uszach i znów się rozplakałam, a mój szloch rozbrzmiewał w całym Domu Pańskim.

Wróciłam do domu i otworzyłam szafę w swoim pokoju. Wzięłam stainera i popatrzyłam na niego. Potem wzięłam list, który przeczytałam już tyle razy, i też na niego popatrzyłam, ale bez czytania. Skoro człowiek, który go napisał, już nie żył, czułam się niezdolna, by zrobić to ponownie, chociaż kiedy mi go wręczył, przeczytałam go nawet nie po stokroć, ale po tysiącokroć, od góry do dołu. Znów stanęło mi przed oczami, jak przyszedł do mnie w dniu wyjazdu do Berlina. Dziwnie na mnie patrzył, gdy powiedział no, Mario, proszę mi przygotować gorącą

czekoladę ze śmietaną. Przyrządziłam mu więc czekoladę ze śmietaną, a trzeba wziąć pod uwagę, że od dawna mnie już o to nie prosił. Sobie też trochę zrobiłam i piliśmy ją razem w kuchni, a on opowiadał mi o koncercie, który odbędzie się pod jego batutą, i wyznał, że sprawia mu ogromną przyjemność praca nad utworem z niedzielnych poranków, ponieważ dyrygował nim wiele lat temu w swoim kraju, ale już tam nigdy nie powrócił.

Potem wytarł usta i kazał mi nie ruszać się z miejsca. Wrócił po chwili, ubrany już jak do wyjścia, ze stainerem w lewej ręce i smyczkiem i kopertą w prawej. Spojrzał na mnie w szczególny sposób, zupełnie jak wtedy, gdy grałam piosenkę o wieśniaczce i pasterzu, i delikatnie złożył skrzypce w moich dłoniach. Odzyskałem je dla pani, oświadczył. Nie wierzyłam własnym uszom, najpierw oniemiałam, ale po chwili wypaliłam bez ogródek, postradał pan zmysły. On jednak mnie uciszył i wyciągnął w moją stronę zaklejoną kopertę, to również dla pani. Wzięłam list i chciałam go otworzyć. Nie, po wiedział, powstrzymując mnie, proszę to zrobić już po moim wyjeździe, niektóre rzeczy lepiej przekazywać na piśmie. Popatrzyłam na niego i wydało mi się, że po raz pierwszy, odkąd się znamy, pan się zarumienił.

Kiedy widziałam go po raz ostatni, wychodził z domu pod światło, szedł z walizką w stronę czekającej już taksówki. Miałam ochotę go przytulić, właściwie nie wiem, co chciałam zrobić, trzymałam stainera w rękach, nie mogąc uwierzyć, że jest mój, i zachodziłam w głowę, co też może się kryć w tym tajemniczym liście. Na pewno coś poważnego, bo pan nie był typem pisarza, nigdy nic nie pisał, stawiał tylko nuty na pięciolinii. Może napisał mi jakąś partyturę, przemknęło mi przez myśl. I poszłam do swojego pokoju, by rozwikłać zagadkę, która tak mnie intrygowała, cała drżałam z podniecenia, ze skrzypcami w jednym ręku i białą kopertą w drugim.

TERESA

Pierwsza część wyszła bardzo dobrze, nagrodzono ich gromkimi oklaskami. Mark schodzi ze sceny, wycierając sobie czoło, i udaje się do garderoby, krok za nim podąża Anna. Mam wrażenie, że wolałby nie mieć jej ciągle na karku. Wiem, skąd się to bierze, wiem, że w rzeczywistości Anna jest nieszczęsną duszą, poszukującą kogoś, komu będzie na niej zależeć, ponieważ nie miała matki i jest przekonana, że nie miała też ojca, ale to nieprawda, miała ojca. Nie wystarczała jej jednak normalna relacja ojciec–córka, chciała go tylko dla siebie, jak chce każdego tylko dla siebie, a teraz jedynym, co ma tylko dla siebie, okazuje się stainer. Powinnam więc postrzegać mój dar w kategoriach dzieła miłosierdzia. Nie wiem, co mam myśleć o tej dziewczynie, nie wiem, co myśleć.

Mark nalegał, żebym wzięła udział w koncercie: upłynęło dziesięć lat od jego śmierci, to rodzaj hołdu i zależy im zwłaszcza, żeby w miarę możliwości przyjechali wszyscy ci, którzy grali wtedy. Zadzwoił do mnie. Anna będzie, zapytałam na koniec. Tak, odparł słabym głosem. Nieobecny tonem rzuciłam zdawkowe mhm, żeby mieć chwilę na zastanowienie. Wreszcie zadałam mu pytanie, czy ona się zgadza, żebym tam była. Mark natychmiast odpowiedział, och, ona chce, żeby dobrze wyszło, jak ja i jak my wszyscy. Czyli nie chce, żebym przyjeżdżała, pomyślałam. Miałam jednak świadomość, że poprosili, by ten hołd odbył się z naszym udziałem, i gdybym nie przyjechała, postawiłabym Marka w trudnej sytuacji. A koniec końców on nie jest niczemu winien. Dobrze, przyjadę, ostatecznie się zgodziłam. A po drugiej stronie słuchawki usłyszałam westchnienie ulgi i dziękuję, co wywołało uśmiech na mojej twarzy. Jeśli trzeba będzie znieść Annę, jakoś ją zniosę, nie muszę się przecież z nią żenić, chodzi tylko o jeden koncert.

Próby sprzed dziesięciu lat zmieniły się w prawdziwą partię szachów. Anna i ja nie rozmawiałyśmy ze sobą, więc w sali fortepianowej w domu Karla często zapadała grobowa cisza. Słuchałyśmy tylko jego, obydwie byłyśmy bardzo skupione, a kiedy podzielił się już z nami swoimi uwagami, zaczynałyśmy grać. Anna nerwowo chwytiała za smyczek, robiły jej się zmarszczki na czole, zupełnie jak wtedy, gdy była dziewczynką, i grała równie nerwowo, jakby chciała mnie pokonać wygrywaniem nut, chociaż nie potrzebowała aż tak się wysilać, ja nigdy nie byłam tak szybka jak ona. Miałam wiele atutów, ale akurat tego nie. W dalszym ciągu mi go brakuje, więc spogląda na mnie wyzywająco przed rozpoczęciem pierwszej i trzeciej części, wiecznie to samo, nawet nie zwracam już na nią uwagi, cóż mogę poradzić, potem i tak nadchodzi druga część, gdzie niepodzielnie panuję ja, ponieważ jeśli chodzi o wkładanie w grę duszy, Anna kompletnie tego nie potrafi, po prostu jej nie posiada.

Patrzyłam na czarną sofę w sali, wspominając dawne czasy, myślałam o Karlu i o mnie, jak się obejmowaliśmy, całowaliśmy, sprawialiśmy wrażenie zakochanych. Kiedy Karl po raz pierwszy mnie zahipnotyzował, powiedziałam sobie, że dobrze się stało. Wiedziałam, że on też nikogo nie ma, że zmienia kobiety jak rękawiczki, roilo się wręcz od kobiet, które miały mu za złe, że je porzucił. On nie zwracał na to uwagi, myślę, że nie był w stanie pojąć, ile bólu sprawia tymi porzuceniami. Skoro nie przywiązywał większej wagi do scen na sofie, jak miał ją przywiązywać do rezygnowania z nich z dnia na dzień.

Kiedy domyśliłam się, że Anna też skończyła na sofie, powiedziałam sobie, Tereso, to koniec. Żal ścisnął mi serce, ale tylko trochę, byłam pewna, że jakoś się z tego wyliżę, ponieważ zawsze postrzegałam tę relację jako obopólne zaspokajanie potrzeb i tyle. Miałam jednak pewność, że Anna tak tego nie potraktuje i w dniu, w którym z nią zerwie, nie obędzie się bez scen. Lecz gdy nadejdzie ten dzień, postaram się, żeby mnie tu nie było. Z jej oczu biła pewność, że Karl należy do niej, nabrały dzięki temu szczególnego blasku, widać było, że jest to zarówno

motorem, jak i celem jej życia. W tym konkretnym momencie była na swój sposób szczęśliwa, okrutny sposób, którego nauczyło ją życie i okoliczności. Annie brakowało wiary w człowieka, w dalszym ciągu brakuje.

Wolałabym nie być winna tego, co wydarzyło się podczas tournée, lecz trzeba przyznać, że jest w tym też trochę mojej winy.

Wszyscy muzycy polecili jednym samolotem, oprócz Karla, który wyleciał dwa dni wcześniej, aby zamknąć się w pokoju hotelowym i ćwiczyć. Ma się rozumieć, że podczas lotu Anna i ja siedziałyśmy jak najdalej od siebie. Marka nie było, Mark był wtedy nikim, zaczął robić karierę dopiero po śmierci ojca, zwykle tak się dzieje, ludzie szukają punktu odniesienia, a kiedy on znika, zwracają się w stronę kolejki oczekujących ze słowami: następny.

Kiedy dotarliśmy do Berlina, nie widzieliśmy się z Karlem. Nie wiedzieliśmy nawet, czy zatrzymał się w tym samym hotelu co my, mieliśmy się z nim spotkać dwadzieścia cztery godziny przed koncertem na próbie dźwięku i tak właśnie było. Zrobiliśmy próbę, która nie trwała nawet pół godziny, a potem każdy poszedł odpocząć. Kiedy zamykałam skrzypce w futerale, podszedł do mnie i powiedział, proszę, chodź ze mną. Odwróciłam się i nie spodobało mi się to, co dostrzegłam w jego oczach. Czała się w nich potrzeba, to fakt, ale zupełnie inna niż zwykle, nie taka jak kiedyś, miałam wrażenie, że nie czuł się najlepiej, więc powiedziałam, dobrze, już się zbieram, i poszłam z nim na górę do jego pokoju. Nie wiedziałam, że był chory, nie chciał informować o niczym towarzyszących mu muzyków, a ja aż do tej chwili byłam objęta tą złą złą milczenia. Wyglądało na to, że kilka dni przed wyjazdem spędził dwie noce w szpitalu z powodu problemów z sercem. Nagle zaczął pić whisky przed każdym nadmiernym wysiłkiem, czyli przed każdym koncertem. I jego twarz przybierała wyraz, który wtedy jeszcze z niczym mi się nie kojarzył, ale potem dotarło do mnie, że była to twarz człowieka, który źle się czuje i potrzebne mu są lekarstwa, żeby mógł wyzdrowieć albo przynajmniej jako tako dojść do siebie. Twarz, która w tamtym momencie mnie przeraziła, chociaż sama nie wiedziałam dlaczego.

Poszłam za nim do pokoju. Wiedziałam, że po kilku latach wspólnej pracy wytworzyła się między nami nierozzerwalna więź, inna niż ta, która łączyła go z pozostałymi kobietami, więź pozwalająca nam na elementarną intymność, rozumienie się bez słów. Miałam pewność, że podczas tej podróży, niezależnie od tego, jak daleko zaszły sprawy z Anną, większym zaufaniem darzył mnie, całym zaufaniem, jakim mógł obdarzyć kogoś Karl T., a też nie było tego za dużo.

Weszłam do pokoju, a on zamknął drzwi. Co ci jest, zapytałam natychmiast. Nie, nic, mówił, zataczając się w stronę łóżka. Nie dałam za wygraną, jak na osobę, której nic nie jest, jesteś w opłakanym stanie. Pomogłam mu się położyć. Oddychał powoli, jakby obawiał się, że inaczej zabraknie mu powietrza. Kiedy już leżał, odwrócił się i popatrzył na mnie. Chcę tylko, żebyś mnie przytuliła, jeżeli nie masz nic przeciwko, powiedział. Wbijał we mnie wzrok, jakby rozpaczliwie prosił o cukierka. A ja głowiłam się, czy to w ogóle możliwe, żeby wielki Karl T. miał tremę przed występem i potrzebował kobiety, która zastąpi mu matkę. W ciągu tych kilku sekund wiele myśli przeleciało mi przez głowę, podeszłam do niego i przytuliłam, jak prosił. A kiedy jego głowa spoczywała na moim ramieniu, usłyszałam, jak mówi, ten koncert tutaj jest bardzo ważny. Gdyby coś mi się stało, on będzie dyrygował. Ośluśniałam na te słowa, Karl miał na myśli człowieka, którego nazwisko i telefon figurowały na kartce, którą właśnie wcisnął mi w dłoń. Był to słynny berliński dyrygent, dobrze go znałam. Dlaczego mi to mówisz, źle się czujesz, chcesz, żebyśmy przełożyli koncert, pytałam przerażona. Nie, nic nie chcę, odpowiedział, unosząc rękę, pragnę tylko, żeby koncert się odbył, proszę, obiecaj mi to. Spojrzał na mnie, jakby błagając o życie. Złożyłam tę obietnicę, ale potem zapytałam, co mu jest, czy źle się czuje. Nie powiem, że bym był w wybornej formie, odpowiedział, a że mam już swoje lata. Mówiąc to, lekko się uśmiechał, żartował sobie. Spojrzałam na niego i w tej konkretnej chwili

zdałam sobie sprawę, że Karl T. się postarzał. I nie tylko się postarzał, sprawiał wrażenie, że jest u kresu swych dni. O nic więcej nie pytałam, wyglądał na zmęczonego.

Wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Co znowu, mruknął Karl, przekonany, że to ktoś z personelu hotelowego. Spytał mnie wzrokiem, czy mogę otworzyć, więc się podniosłam. Nie był to jednak żaden boy hotelowy, o nie. Była to Anna, stała tam, za drzwiami, a wyraz jej twarzy mówił wszystko. Tylko nie to, pomyślałam, zamykając na chwilę oczy. Nie było już sensu się chować, no jasne. Przepraszam, pomyliłam się, powiedziała tylko. I już jej nie było.

Delikatnie zamknęłam drzwi i z westchnieniem wróciłam do niego. Spoglądał na mnie przez chwilę jakby zalekniony, ale potem zapytał, na czym stanęliśmy. Znow go przytuliłam, choć nie byłam wolna od zmartwień, zastanawiałam się, co może teraz zrobić ta niezrównoważona dziewczyna.

Swoją drogą to ciekawe, Anna przyłapała nas jedyne dnia, kiedy byliśmy sami i się nie kochaliśmy. Tak też bywa. Wróciłam do siebie, kiedy upewniłam się, że z Karlem wszystko w porządku i chciałby iść już spać. Martwiłam się, żeby w nocy nic mu się nie stało, i zaproponowałam, że mogę zostać, ale on zapewnił mnie, że nie ma takiej potrzeby. Obok telefonu zostawiłam mu karteczkę, na której wyraźnie zapisałam numer mojego pokoju. Potem poszłam.

Nazajutrz nasz dyrygent był świeży jak róża. Jakby nic się nie stało. I zagraliśmy koncert w Berlinie, a następnego dnia o świcie wyleciał do Wiednia. My, instrumentalisci, mieliśmy spędzić jeszcze jeden dzień w stolicy Niemiec.

ANNA

Pada. Pada, a ścielące się na ziemi liście przypominają naczynia, w których zbiera się woda. A w wodzie zbiera się coraz więcej skrawków mojej duszy. Przetrzymanywane są tutaj, w rzece, w stawie w Barcelonie. Strzępy mojej duszy są wszędzie, to ciekawe, jak rzecz tak nienamacalna może się do tego stopnia rozdrobnić. Nie mogę jej jednak pochwycić, usilnie próbuję, ale nie ma jak. Woda nie jest tu niczemu winna. Wszyscy są winni, wszyscy ci, którzy złamali moją duszę i wyrzucili ją do stawu koło domu, a potem powiedzieli, no, skarbie, a teraz idź jej szukać i jeśli się stłukła, złóż ją w całość. Nigdy nie złożyłam jej w całość. Na początku jeszcze się starałam, ale kiedy przestało boleć, darowałam sobie, skoro moja dusza woli być w wodzie rozbita na drobne kawałki, niech jej będzie. To nie była moja wina, tylko wszystkich, wszystkich. Także Marka, który nie pozwala mi nawet towarzyszyć sobie w garderobie. Wszystkich.

Strasznie ciemno. Kiedy przyjechaliśmy, już było ciemno, dzień jest tu krótki, a słońce mizerne, zmierzch zapada momentalnie. Ciągle pada. Teraz chętnie bym się przeszła, powłóczę nogami i wdeptując w kałuże, żeby stopy całkiem mi przemokły. Zrobiłabym to, ale muszę iść grać i buty muszą być w odpowiednim stanie. Teraz wszyscy znów znikają w środku, ponieważ zaczyna się druga część. Tak, to druga część, w całej rozciągłości. Drugi akt komedii życia, w łonie noszę istotę ludzką, a wokół wciąż spadają krople wody, z uporem, ale bez hałasu, jakby chciały pozostać niezauważone. Berlińczycy, przyzwyczajeni do takiej pogody, przemykają pośpiesznie, skryci pod różnobarwnymi parasolami. A ja myślę o chwili, w której wyszło na jaw, że Teresa i Karl byli kochankami.

Mam wrażenie, że wtedy po raz ostatni roztrzaskała mi się dusza. Zdałam sobie wówczas sprawę, że Teresa, która była dla mnie punktem odniesienia, żyła jedynie po to, żeby mnie krzywdzić. Na pewno nie miała na tym świecie żadnego innego celu. Kiedy przyłapałam ich w tamtym hotelu w tym samym mieście, w którym znajduję się dziś, kosztowało mnie wiele wysiłku, aby uwierzyli, że guzik mnie to obeszło. Lecz nie była to prawda. Wzrok Teresy, przepaszający, jakby była świętą niewinnością, a wszystko to tylko nieporozumienie, doprowadził mnie do białej gorączki. Kiedy pośpiesznie stamtąd odchodziłam, tak szybko jak tylko się dało, głowiłam się, jak można być tak złym człowiekiem, jak można być kimś aż tak perfidnym, jak mogłam kiedyś wierzyć w Teresę. Jako dzieci rzeczywiście wszystko gładko łykamy.

Tamtego dnia poszłam nad Sprewę, bo brakowało mi powietrza. W dole spokojnie płynęła woda, a ja czułam, że się duszę. Krzyknęłam, przechylając się przez barierkę nad wezbrany nurt, i zaczęłam gwałtownie oddychać. Oddechy mieszały się ze szlochami, które wydarły mi się z piersi wszystkie naraz. Były to szlochy nad całym moim życiem, szlochy prawdy, prawdy o tej kobiecie, która chciała ze mną skończyć, kobiecie, z którą zaraz będę grała koncert na dwoje skrzypiec Bacha. Ta mała dziwka na pewno uwiodła Karla, na pewno znalazła się w jego pokoju podstępem, na pewno wiedziała, że coś mnie z nim łączyło, więc powiedziała sobie, no to tego też sobie wezmę, a Anna zostanie z niczym, absolutnie z niczym.

Świat nie jest przyjaznym miejscem dla niektórych osób, dla mnie na pewno taki nie był, miał rację krzywonosy nauczyciel, że moim przeznaczeniem było żyć *en souffrant*, dopóki nie zdecydowałam, że koniec z tym, pewnego dnia dziesięć lat temu, szlochając nad brzegiem Sprewy. Zachodziłam w głowę, jak Teresie udało się zostać drugimi skrzypcami w koncercie Bacha, do jakich sztuczek się uciekła, żeby znowu się do mnie zbliżyć i odkryć, jak może mnie skrzywdzić. Naturalnie w chwili gdy ją zobaczyłam, pomyślałam, że to zbieg okoliczności, diabelski, zgoda, ale ciągle zbieg okoliczności. No ale po tym wszystkim przestałam wierzyć

w zbiegi okoliczności, to niemożliwe, musi tu się kryć jakiś haczyk, a jest nim ona sama i jej nieustanne wysiłki, by jakoś mi zaszkodzić. Stało się to dla mnie jasne tam nad Sprewą. I wtedy powiedziałam sobie, dosyć tego dobrego, nigdy więcej nie dam zrobić z siebie idiotki, nie będę już taka naiwna. W tamtej chwili żałowałam, że nie mam przy sobie stainera, ale dopiero co dałam go Karlowi. Karlowi, który obiecał, że po naszym powrocie ożeni się ze mną, Karlowi, o którym myślałam, że jest mój.

Myślałam, że miałam mamę, Teresę, tatę i Karla. A żadne z nich nie było moje, wszyscy mnie oszukali. Za to Mark będzie teraz mój dzięki dziecku, które noszę pod sercem. I mam też skrzypce, żeby kłuć nimi w oczy Teresę. Ona nawet na nie nie patrzy, jakby nic ją nie obchodziło, że obnoszę się po świecie z instrumentem, który miała od małego, jak sama mi opowiadała. Kiedyś zapytałam ją, od kogo je dostała, ponieważ wydawało mi się dziwne, że ktoś mógł podarować dziecku stainera, na co Teresa odpowiedziała, że je znalazła. Aż podskoczyłam, jak to, i nie oddałaś ich właścicielowi, dopytywałam. Znalazłam je w miejscu, w którym nikt ich nie chciał, rzuciła szybko i od razu zmieniła temat. Nie wiem, co miała na myśli, ale jakiś czas później, kiedy wyrzuciła mi taką krzywdę, kiedy odebrała mi mojego Karla, w głowie powstała mi myśl, że może dobrze by było odkryć, gdzie je znalazła i co za tym idzie, komu je ukradła, bo ewidentnie nie zostawia się stainera na ławce jak jakiś sweter. Może na początku uwierzyłam w historyjkę o porzuconych skrzypcach, ale wiele lat później, kiedy spadły mi klapki z oczu, zobaczyłam wszystko jak na dłoni i dotarło do mnie, że Teresa ukradła skrzypce. Przemyślałam jednak sprawę poszukiwania prawowitego właściciela i w końcu porzuciłam ten pomysł. Skrzypce znów były w moim posiadaniu i jeszcze mogłabym je stracić, gdyby ktoś taki się odnalazł.

Pamiętam, że kiedy to się stało, kiedy przyłapałam Karla z tą podłą żmiją, do koncertu pozostało niewiele czasu, dokładnie jeden dzień. Wykorzystałam go, żeby dojść do siebie, nad brzegiem Sprewy. Chciałam pojawić się na koncercie z czystą twarzą, bez ani jednej łzy, i sporo mnie kosztowało, żeby to osiągnąć. Nie można też powiedzieć, żebym tamtego dnia jakoś szczególnie dobrze grała, trudno mi się było skoncentrować i wyczuwałam jakby linię wysokiego napięcia między mną a Teresą, napięcia, które mogło mnie zniszczyć, i starałam się skierować je w inną stronę, w stronę Karla, mężczyzny, który obiecał się ze mną ożenić. I wtedy, w połowie koncertu, w środku drugiej części, powiedziałam sobie, że przecież zostanie on moim mężem, przyrzekł mi to, a była to jedyna rzecz, która mogła skrzywdzić Teresę. Najlepsza możliwa zemsta.

Tyle tylko że nie wyszłam za niego za mąż. Nazajutrz Karl wsiadł w samolot, podczas gdy my mieliśmy zwiedzać miasto, które było świadkiem jego narodzin. I właśnie znajdowaliśmy się przed Bramą Brandenburską, uważnie słuchając przewodnika, kiedy zadzwoniła komórka naszego impresario. Został z tyłu, kiedy grupa poszła dalej, aż nagle nas zawołał i odwróciliśmy się wszyscy. Ciągle mam w pamięci obraz tego malutkiego człowieczka, stał pod światło z komórką w ręku, oznajmił nam, nie żyje. Nikt nie zapytał, o kogo chodzi, dziwnym zbiegiem okoliczności wszyscy to wiedzieli, dla wszystkich było jasne, że mowa o Karlu.

Koniec zwiedzania, koniec tournée i koniec z moimi planami na przyszłość. Poza tym byłam pewna, że utraciłam skrzypce, ale nie, ich akurat nie utraciłam.

MARIA

Na pogrzeb pana Karla przyszło wiele osób. Ceremonii przewodniczył mężczyzna, który nie był księdzem, ale mówił prawie jak ksiądz, po prostu żegnał zmarłego i tyle. I grała przepiękna muzyka. Pani Teresa zajęła miejsce w pierwszych rzędach i płakała. Pani Anny nie widziałam. I pan Mark też płakał, siedząc z samego przodu. Poprosił, żebym z nim usiadła, i najpierw się nie zgodziłam, ale strasznie zawodził, a na koniec powiedział, niech mnie pani nie zostawia samego, Mario, i zrozumiałam, że jestem mu potrzebna, więc usiadłam tam, chociaż jeśli mam być szczerą, trochę się wstydziałam.

Moje serce było w strzępach. Ta śmierć złamała mi życie i wiedziałam, że otrząśnięcie się po tym ciosie będzie mnie wiele kosztować. Powoli wspinałam się na bardzo wysoką górę i kiedy już już wydawało się, że dochodzę do szczytu, okazało się, że nie dane mi będzie dokończyć wspinaczki. Nie chciałam patrzeć na trumnę, zamykałam oczy i ukazywał mi się pan Karl, którego znałam: kiedy pił gorącą czekoladę i tak charakterystycznie się śmiał, kiedy na mnie patrzył jak wtedy, gdy grałam piosenkę o wieśniaczkę i pasterzu, kiedy napisał mi tamten list, a nawet kiedy zabawiał się z paniami na sofie. I wtedy otwierałam oczy i wyrastała przede mną ta drewniana skrzynka. To niemożliwe, człowiek spoczywający w środku nie mógł być tym, którego pamiętałam.

Pani Anny nie było na pogrzebie, ale przyszła do domu cztery dni później. Była to ta sama pani Anna co dzisiaj, tylko o dziesięć lat młodsza. Była ładna i ciągle jest, ale twarz ma już lekko pooraną bruzdami, a na czole zrobiły jej się dwie wyraźne zmarszczki, które zostaną jej już na zawsze od robienia zatroskanej miny podczas gry. Pani Anna stała się jedną z takich pań, które budzą strach, trochę jak macocha z bajki o królewnie Śnieżce, którą kilka razy słyszałam, kiedy jakaś służąca opowiadała ją dzieciom w parku. Jednak dzisiaj, mimo lęku, jaki wzbudza, i chociaż to zła czarownica, jest bardzo elegancka. Ma na sobie czarną, powłóczystą suknię ze sporym dekoltem i zwróciłam uwagę, że wszyscy mężczyźni jej tam zagląдают, żeby sprawdzić, jak bardzo widać piersi. To ciekawe, lata temu zgorszyłabym się na samą taką myśl. Teraz z kolei bawi mnie to.

Ja nie mam sukni z dekoltem, ale ubrana jestem elegancko. Szkoda, że tak mnie boli żołądek i nie czuję się zbyt dobrze, ponieważ w taki dzień jak dzisiaj powinno się iść z podniesionym czołem, przykuwając pełne podziwu spojrzenia, nawet jeśli lekko powłóczę nogami, bo jestem zmęczona i to już nie te lata, żeby nosić obcasy. Lepiej dotykać ziemi całą stopą, masz wtedy wrażenie, że dobrze wiesz, co robisz, panujesz nad swoim przeznaczeniem. Z kolei chodząc na takich obcasikach, z tą szpilką, która choćby była bardzo niska, pozwala ci stykać się z ziemią tylko w jednym punkcie, nawet dobrze nie wiesz, w jakiej znajdujesz się galaktyce. Nie wspominając o niewygodzie. Za to sukienka mi się podoba. Któregoś dnia przeszłam się po sklepach, żeby zobaczyć, co mogłabym sobie kupić, i znalazłam brązową sukienkę, która bardzo ładnie na mnie leży. Pan Mark zakrzyknął, no, no, jaka pani elegancka, Mario, a ja byłam dumna jak paw. Powiedział mi to, kiedy nie było pani Anny, no jasne, ponieważ w obecności pani Anny nie mówi się takich rzeczy.

Pani Anna dziesięć lat temu oznajmiła mi od progu, dzień dobry, przyszedłam po skrzypce, które tu zostawiłam, gdy ostatnim razem ćwiczyłam z Karlem. Spojrzałam na nią i przez całe ciało przebiegł mi dreszcz: na samym początku, kiedy pani Anna zaczęła do nas przychodzić, pan Karl powiedział mi, że ta kobieta podszyta jest diabłem, i jak Boga kocham, to prawda.

Teraz muszę wstać i zrobić to, co do mnie należy. To, po co tu przyjechałam.

TERESA

Przed chwilą widziałam Marię, tam, w kącie. Mam wrażenie, że się ulotniła, gdy tylko zorientowała się, że na nią patrzę. Co, u diaska, tam robi? Przypadkiem nie powinna teraz wygodnie siedzieć na widowni i słuchać koncertu? Ech, nie chcę wiedzieć. Może kogoś szuka, ale ktokolwiek by to był, na pewno nie chodzi o mnie, ponieważ w takim wypadku nie uciekłaby na mój widok.

Odczuwam przesytność myśli o Karlu przy tej muzyce, która rozbrzmiewa w tle. Mam wrażenie, że w okresie poprzedzającym jego śmierć stałam się dla niego kimś w rodzaju matki albo starszej siostry. Od dawna mnie nie tknął, pewnie Anna wystarczała mu aż nadto, a mimo to, ponieważ byłam być może jedyną kobietą, która nie obraziła się na niego, gdy ją zostawił, musiałam zajmować szczególne miejsce w jego sercu. Prawda jest taka, że wyleczyłam się z wielkich wzruszeń, za bardzo kochałam Matiesę, żeby obdarzyć innego mężczyznę równie gorącym uczuciem. Tak więc od pierwszej chwili traktowałam relację z Karlem jako sposób na życie i tyle. Chodzi tylko o to, że kiedy Anna zastała nas razem, akurat nic już między nami nie było. Nazajutrz rano, w świetle dnia, przed koncertem w Berlinie, pomyślałam sobie nawet, że Karl potrzebował jedynie odrobiny ludzkiego ciepła przed tym występem. Potem dowiedziałam się, że oprócz ciepła przydałby mu się też lekarz. No ale jasne, skąd niby miałam o tym wiedzieć. W jego problemy z sercem wtajemniczeni byli jedynie jego syn i Maria, obydwójce zostali w Barcelonie. A dla Karla na pierwszym miejscu zawsze była muzyka, zdrowie dyskretnie wycofywało się na drugi plan.

Późno dotarła do mnie wiadomość o jego śmierci. Nie poszłam na wycieczkę, którą nam zorganizowano, ponieważ pomyślałam, że na pewno będzie tam Anna, a nie miałam ochoty jej oglądać. Doszłam do wniosku, że porozmawiamy później, jeśli w ogóle miałyśmy poruszać ten temat, a może i nie, może już nigdy nie zamienimy ze sobą słowa. Może ona także się pohamuje, tak jak pohamowałam się ja dzień wcześniej w tamtym hotelu i nie pobiegłam za nią, ponieważ nie chciałam po raz kolejny dostać w nos drzwiami, jak w szpitalu, nie chciałam przeżyć czegoś takiego nigdy więcej. A także ponieważ, i muszę się do tego przyznać, przez głowę przeleciała mi myśl, że może ta dziewczyna na to wszystko sobie zasłużyła, może powinna zdać sobie sprawę, że jakkolwiek doświadczyłoby cię życie, inni ludzie też mają problemy i nie zasługują na takie traktowanie.

Nikt mnie nie powiadomił aż do momentu zbiórki przed wylotem do Wiednia. W westybulu hotelu spotkali się wszyscy niedoinformowani, którzy nie mieli pojęcia, że lot został odwołany i następnego dnia rano wracamy do Barcelony. Dziwne, strasznie nas mało, zauważyła jedna z dziewczyn z orkiestry. No właśnie, rzucił ktoś inny, ale rzecz jasna nie byliśmy świadomi, że nikt z nas nie był na wycieczce. Wszyscy, którzy poszli zwiedzać, już wiedzieli. Pamiętam te pierwsze wrażenia i domysły poprzedzające czekający nas wstrząs, jakby to było wczoraj. Zszedł impresario i powiedział nam. Zmroziło mnie. Innych też, Karl był ich dyrygentem, od dawna stanowili część jego orkiestry, ale mnie dotknęło to w szczególny sposób, to oczywiste. Gdy impresario wyjaśniał, co się stało, nie mogłam się powstrzymać i wybuchnęłam płaczem. Jakaś dziewczyna również uroniła kilka łez i ogólnie nikt z nas nie wiedział, co powiedzieć i jak się zachować. Impresario poinformował nas o godzinie wylotu następnego dnia i zniknął, a ja wróciłam z walizką do mojego pokoju hotelowego. Tam dość długo płakałam. W głębi serca jednak jakiś głos mówił mi, jak to dobrze, Tereso, że się nie zaangażowałaś tak jak z Matiesem, bo w innym wypadku całkiem by cię to złamało i już nigdy byś się nie podniosła. Tak, powiedziałam sobie, od teraz będę bardzo uważać z mężczyznami, ponieważ wydawało się oczywiste, że jak się z którymś związywałam, ściągałam na niego

tragiczny los.

Podróż powrotna była smutna i cicha. Nie patrzyłam na Annę, nie chciałam nic o niej wiedzieć, nie miałam ochoty na ironiczne gierki ani na szydercze spojrzenia. Trzymałam się od niej jak najdalej i już w Barcelonie jedna myśl uśmierzyła trochę przeszywający mnie ból, że może zobaczę ją na pogrzebie, ale potem już nigdy więcej. Nigdy więcej.

A nie zobaczyłam jej nawet na pogrzebie, mam wrażenie, że w ogóle nie przyszła. Nie wiem tego na pewno, ponieważ było bardzo dużo ludzi, ale wydaje mi się, że raczej nie. Co ciekawe, na ceremonię przyszły tylko kobiety z orkiestry. Żadna inna, tylko ja. Reszta, sami mężczyźni. Przemknęło mi przez głowę, że pewnie wszystkie były z nim skłócone. Zaskoczyło mnie, że okazał się ode mnie o wiele starszy, niż mi się zdawało. Dobrze się trzymałeś, Karl, pomyślałam, roniąc cichą łezkę, a ja sądziłam, że było między nami osiem czy dziewięć lat różnicy. I w jednej chwili ustaliłam też taką relację między nim a Anną. Boże, uwiodłeś dziecko, oskarżyłam tę milczącą trumnę. I przez moment żałowałam tej biednej, porzuconej, delikatnej dziewczyny. Ale tylko przez moment.

Czasem zastanawiam się nad tymi zwyczajami Karla. On nie traktował swych związków jak przygód miłosnych, nie, Karl żył w swoim własnym świecie i nie miał pojęcia, co dzieje się w tym naszym. Dla Karla kobieta, która był muzykiem, która z nim grała, musiała tworzyć muzykę od początku do końca, a koniec ten zakładał wplątanie się w romans z nim. Może wydać się dziwne to, co teraz powiem, ale jestem pewna, że postrzegał to jako coś najnormalniejszego i najnaturalniejszego pod słońcem i nie miał zamiaru nikogo ranić. Żył w swoim świecie.

Osobą, która na pewno nigdy nie żyła ani nie żyje w jego świecie, jest Anna. Ona jest jak najbardziej z naszego świata i owszem, stara się krzywdzić ludzi tak, jak może, gdziekolwiek się pojawi. Kiedy po kilku latach spotkałam Marka, odkryłam, że Anna już się rozpanoszyła w jego życiu, i nie dość na tym, wydawało się, że Mark był już cały jej. Pamiętam, że pomyślałam zrezygnowana, ta dziewczyna nigdy się nie zmieni. Mieszkanie Marka znajdowało się niedaleko domu, w którym mieszkał Karl, był to rządowy dom, wyjaśnił mi, i udostępnił mu go, kiedy dostał azyl polityczny, ale nigdy nie należał do niego. Kiedy jednak patrzyłam na mieszkanie Marka, przemknęło mi przez głowę, że pieniądze, które Karl zarabiał przez całe życie, już nie były rządowe, o nie. Rozumiało się samo przez się, że zostawił synowi niezłą sumkę.

Wróciłam do szkoły muzycznej i mojego kwartetu. Mieliśmy sporo pracy, graliśmy w różnych miejscach, właściwie co tydzień gdzieś wyjeżdżaliśmy i dobrze się bawiliśmy, tworząc muzykę. Czego więcej mogłabym pragnąć? Właśnie takie życie wybrałam tego pamiętnego dnia, w którym znalazłam w śmieciach zaczarowane skrzypce.

Prawdę mówiąc ciągle gram z kwartetem, chociaż tylko od czasu do czasu, w pewnym momencie powiedziałam dość temu wiecznemu jeżdżeniu wte i wewte. Stało się to, gdy zauważyłam, że ciąży mi już brzemień lat albo czegoś związanego z wiekiem. Nie miałam też ochoty na bliską współpracę z żadnym dyrygentem, jak to miało miejsce z Karlem, i odmawiałam, gdy otrzymywałam takie propozycje. Jednym z tych, którzy się do mnie zgłosili, był Mark. Zaczął wyrabiać sobie nazwisko, chociaż zawsze myślałam, że raczej kontynuował nazwisko swego ojca, bowiem Mark był znakomitym wiolonczelistą, ale jeśli chodzi o dyrygowanie, nigdy bym go nie wymieniła wśród najlepszych. Muszę jednak przyznać, że bardzo się ucieszyłam, kiedy znów go zobaczyłam, ale i tak od razu mu odmówiłam, już sama nie pamiętam pod jakim pretekstem. Praca z Markiem na pewno oznaczałaby spotkanie wszędzie Anny. A nie miałam na to ochoty.

Mieszkałam sama i mogłam sobie pozwolić na dostatnie życie, ponieważ moje lokum nie mieściło się w dzielnicy przy parku, tylko w innej części miasta, gdzie wynajem mieszkania nie wymaga comiesięcznej sprzedaży nerki. I nawet któregoś dnia spotkałam Marię.

Innym razem widziałam w telewizji reportaż o Annie i jej stainerze, skrzypcach, które utraciły swoje magiczne właściwości, gdy wpadły w ręce tej maszyny do produkowania dźwięków. Panie Boże, i pomyśleć, że to ja byłam jej nauczycielką i nie byłam w stanie jej przekazać, żeby wkładała w muzykę coś więcej oprócz prędkości. Anna w telewizji pokazywała wszystkim swoje trofeum i opowiadała, że na świecie jest niewiele egzemplarzy stainera i sporo ją kosztowało zdobycie swojego. A ja oglądałam to, przegryzając migdały, i aż musiałam przerwać jedzenie, bo nie mogłam się powstrzymać, by nie zakrzyknąć, Jezus Maria, co za tupet.

MARK

Pierwsza część dobrze wyszła. A druga, na Boga, ależ znakomicie się rozwija. Czas poświęcony na te wszystkie próby nie poszedł na marne. Publiczność słucha w milczeniu, a ja ocieram pot z czoła moją białą chustką, dokładnie tak jak ojciec. Musi być biała, zawsze, jest to bardziej eleganckie. Tak mawiał wielki Karl T., a za sprawą genetyki czy też sympatii mówi to też Mark T.

Niech pan dba o serce, bo takie rzeczy są dziedziczne, powiedziała mi Maria, zanim się rozstaliśmy dziesięć lat temu. Mówiła mi to ze łzami w oczach, biedaczce przykro było odchodzić, ale w moim mieszkaniu, chociaż było dość duże, wszędzie byśmy na siebie wpadali. Poprosiłbym panią, żeby przychodziła prasować i zajmować się domem, ale teraz ma pani pieniądze i rzecz jasna nie będzie już sprzątać cudzych mieszkań. Ona aż podskoczyła, ależ oczywiście, panie Marku, jasne, że będę przychodzić. Marku, sprostowałem z uśmiechem, a ona od razu się poprawiła, przepraszam, Marku. Maria była rozczulająca i ciągle jest, tak bardzo przypomina mi ojca, mieszkali razem czterdzieści lat i znali się od podszewki. Nie było łatwo mieszkać z ojcem, był dziwakiem oddanym jedynie muzyce i nikt nie potrafił go zrozumieć. Nawet ja sam nie miałem do końca pewności, czy całkiem go rozumiałem przez te wszystkie lata, które spędziłem u jego boku.

Kiedy odczytano nam testament, stało się dla mnie jasne, że z Marią dobrze się rozumieli. Testament został zmieniony kilka lat wcześniej, kiedy pojawiłem się w Barcelonie, i dlatego też w nim figurowałem. Gdyby nie ja, zostawiłby wszystko Marii. Ojciec miał wszystko zapewnione i opłacone, mógł więc odkładać to, co zarabiał, a było tego sporo, całkiem sporo. Dzięki temu Maria mogła kupić sobie mieszkanie i przestać pracować. I ja też kupiłem sobie mieszkanie, ale nie przestałem pracować, wręcz przeciwnie, właśnie wtedy rozpoczęła się największa praca, głównie wszystko to, czego ojciec nie zdążył zrobić. Nagle byłem rozchwytywany, dużo podróżowałem, jak wcześniej, ale teraz już nie, żeby się uczyć czy grać, tylko żeby dyrygować osieroconą orkiestrą mojego ojca.

Kiedy poznałem Annę i powiedziałem jej o Marii i spadku, który zostawił jej ojciec, w głowie jej się to nie mieściło. Jak w ogóle mogłeś do tego dopuścić, że ojciec nie zapisał wszystkiego tobie, swojemu synowi, i jak to możliwe, że nie obchodzi cię, że zostawił połowę swojego majątku jakiejś pomywaczce. Zamurowało mnie, zarówno ze względu na treść tej tyrady, jak i emfazę, z jaką Anna ją wygłosiła. Z oczu strzelały jej błyskawice, była zła i kipiała oburzeniem, jakby zrobił to jej własny ojciec. Dobrze jej się przyjrzałem, w przypadku Anny zapewne nie chodziło o pieniądze, miała ich bowiem aż nadto. O co mogło chodzić, nie mam pojęcia. Wiem za to, że mnie taki obrót spraw zupełnie nie zmartwił, wydawało mi się całkiem na miejscu, że Maria odziedziczyła sporą część pieniędzy ojca. Słuchaj, gdybym nic nie dostał, byłbym zły, no jasne, odpowiedziałem Annie, ale wystarczy mi to, co mi zapisał, moim zdaniem to dużo. Poza tym najważniejszym spadkiem było nazwisko, ze względu na to, że nazywam się tak jak ojciec, nagle otworzyło się przede mną mnóstwo drzwi, co pozwoliło mi tworzyć muzykę, moją muzykę.

Anna pojawiła się w moim życiu jakieś pięć lat temu. Nie znałem jej wcześniej, tylko raz ją u nas widziałem przed tournée ojca, ponieważ dziwnym zbiegiem okoliczności akurat byłem w domu. Wywarła wtedy na mnie olbrzymie wrażenie, to fakt, ale słowem się do niej nie odezwałem. Za to pięć lat temu zaprosiłem ją do współpracy przy jakimś koncercie, a ona pokazała mi, jak potrafi grać. Straciłem głowę na punkcie jej gry i jej samej. Kiedy zobaczyłem, jak wchodzi do sali prób, w charakterystyczny sposób kołysząc biodrami, i spojrzałem jej w oczy, tak głębokie i ciemne, już wiedziałem, że jestem zgubiony, i musiałem się zdobyć na

nadludzki wysiłek, żeby skoncentrować się na tym, co właśnie robiłem. Sądę, że musiała to zauważyć, bo dała mi do zrozumienia, że jest zainteresowana. Była zainteresowana zarówno wówczas, jak i później.

A teraz nie mam pojęcia, jak się jej pozbyć. Wiem, że nieładnie tak myśleć, ale ta kobieta mnie dusi. Czuję się zobligowany proponować jej każde solo skrzypcowe i to prawda, że dobrze gra, ale istnieją też inne skrzypaczki, z którymi chciałbym spróbować popracować. I nie pozwala mi nigdzie chodzić samemu, nie ma takiej możliwości, żebym zrobił dwa kroki bez niej uwieszona na ramieniu. Mam wrażenie, że cały czas ciągnę za sobą balast, z którym trudno cokolwiek zrobić. I za każdym razem, kiedy wokół są ludzie, biegnie złapać mnie za rękę. Cała miłość, czułość, które dla niej miałem w pierwszym okresie, teraz gdzieś wyparowały. Nic z nich nie zostało, ani z tych pierwszych dni w jej domu, kiedy odprowadzałem ją po próbach, a ona mówiła wejdź, przecież cię nie zjem. Ale było to kłamstwo, w rzeczywistości mnie pożerała i podobało mi się to, traciłem głowę. Nie wiem, co zrobiła mi ta kobieta, ale byłem zaślepiony. A teraz za chwilę wyjdzie i zagra Bacha z Teresą, z Teresą, której nienawidzi i do której triumfu za wszelką cenę nie chce dopuścić. Co masz do Teresy, zapytałem ją kiedyś. A co mam do niej mieć, jej reakcja była natychmiastowa. Bo ciągle na nią naskakujesz, a wydaje się dobrym człowiekiem. Wtedy Anna nagle się poderwała, jakbym przycisnął jakiś guzik, który podrażniał jej miękkie tkanki ukryte gdzieś w środku i sprawiał, że stawała się przerażająca, budziła mój strach. Nigdy nie ufaj pozorom, mówiła, zadzierając ku niebu ten swój malutki i zdecydowany nosek. A ja trochę się z tego śmiałem, jeszcze mnie to bawiło, jeszcze ją kochałem, jeszcze jej wierzyłem.

Dzisiaj po koncercie powiem jej, że to koniec. Klamka zapadła.

ANNA

Teraz na moment przed wejściem, kiedy zapach deszczu dotarł mi już do mózgu i czuję, jak podnosi mi się adrenalina, przypomina mi się dzień, w którym znów ją ujrzałam, dokładnie tak jak teraz, tuż przed wejściem na scenę. W tamtej sali było widać publiczność, spojrzałam na parter i tam ją zobaczyłam, czekała, aż wyjdę. Otworzyłam usta ze zdumienia. Nie wiedziała, że ją spostrzegłam, nie patrzyła wtedy w moją stronę.

Teraz kiedy stoi tu obok mnie Teresa ze skrzypcami naszykowanymi do gry, mam ją na wyciągnięcie ręki, kiedy wyczuwam jej cichą i uległą obecność, jej zniechęconą obecność, przypomina mi się szok, którym była dla mnie obecność innej kobiety dawno temu, kiedy wypatrzyłam ją wśród publiczności przed wejściem. Nadludzkim wysiłkiem zapanowałam nad sobą, musiałam mocno trzymać stainera, odzyskanego już wówczas stainera, ponieważ poszłam wyrwać go z rąk służącej, która najwyraźniej chciała go sobie zatrzymać. Tak więc mocno go chwyciłam i zamknęłam oczy, powiedziałam sobie, to niemożliwe. I otworzyłam je ponownie, a jednak było to możliwe, ona tam była, siedziała wśród publiczności, z uwagą śledząc występ. I wtedy nasze spojrzenia się spotkały i pomyślałam, że nie dam rady grać. Musiałam się w życiu zmierzyć z wieloma sytuacjami, ale ta zdecydowanie mnie przerosła.

Mark wchodzi witany lawiną oklasków. Ociera pot z czoła swoją białą chusteczką i patrzy na nas z półuśmiechem:

– No, dziewczyny, scena jest wasza.

Widzę, że Teresa mnie przepuszcza, więc przyklejam sobie uśmiech do twarzy i wychodzę. Orkiestra wstaje, widzowie biją brawo. Oklaski są jak balsam dla zbyt cienkiej i delikatnej skóry. Na szczęście mam światła reflektorów i ciepło publiczności, na szczęście miałam je przez te wszystkie lata, ponieważ niektóre przeciwności trudno pokonać.

Co ty tu robisz, zapytałam, kiedy kulejąc, weszła do garderoby, po tym jak rozległo się cichutkie puk, puk w drzwi, co kazało mi spodziewać się najgorszego. Uśmiechnęła się, widziałam, że mnie zauważyłaś, powiedziała. Jej uśmiech był zdeformowany, pełen zmarszczek, utracił swój dawny urok. Postarzałaś się, rzuciłam bezlitośnie. Nie zrobiło to na niej wrażenia, wszyscy się starzejemy, odparła. Po czym dodała, przykro mi, że tak się stało, nie chciałam odchodzić w taki sposób, ale twój ojciec mnie zmusił. Uniosłam brwi, każdy opowiada swoją wersję historii, powiedziałam. Nie żyje, prawda, to znaczy twój ojciec, zapytała. Tak, już od wielu lat, oznajmiłam. A potem zadałam jej pytanie, czego właściwie chcesz. Zrobiła krótką przerwę, zanim odpowiedziała, niczego, jedynie chciałam cię zobaczyć. I dodała, grasz bardzo dobrze, a pomyśleć, że nie lubiłaś skrzypiec. To było jedyne, co mi zostało, krzyczało mi coś w środku. Więc już mnie zobaczyłaś, odparłam sucho na głos. Zapytała jeszcze, wyszłaś za męża, masz dzieci. Nie wiedziałam, czy odpowiedzieć jej na to pytanie, i w końcu rzuciłam, mieszkam z mężczyzną. Nie uściśliłam, że chodzi o dyrygenta koncertu, który właśnie usłyszała. Wtedy wydawało się, że znalazła sposób, żeby powiedzieć mi to, co chciała, słuchaj, ojciec cię nie zabrał, ponieważ twierdził, że dzieci powinny być z matką. Zamilkła, a ja coraz mniej rozumiałam z tej okrutnej gry nedorzeczości, z których każda była jak cios pięścią w żołądek. Teraz, kiedy już doszłam do siebie, zjawiała się ona i wygadywała jakieś absurdy. Spojrzałam na nią i wypaliłam, i czemu nie podzieliliście się opieką po połowie, nie opowiadaj mi tu głupot, mamo.

Powiedziałam mamo. A od ilu to już lat nie mówiłam mamo. Westchnęła, on nie chciał, ponieważ twierdził, że będziesz chciała mieszkać tylko z nim. Ja, malując sobie usta, pomyślałam, że pewnie miał rację. Moja matka kończyła swoją przemowę, wyjechałam za granicę z pewnym mężczyzną, a teraz, gdy już wróciłam, postaram się przychodzić na wszystkie

twoje koncerty. Byłam także na niektórych za granicą, w Paryżu, Madrycie, Lyonie. Nadal malowałam usta, a potem skleilałam na chwilę wargi, zanim powiedziałam, proszę, idź sobie. Powiedziałam to delikatnie, bardzo delikatnie. Ona odwróciła się i wydała mi się stara, bardzo stara, powoli zbliżała się do drzwi i je otwierała. Zanim zniknęła, wyszeptała jedynie: wybacz mi.

Kiedy tylko zostałam sama, zaczęłam drzeć jak liść. Tego mi tylko brakowało, cierpieć na widok mamy na każdym koncercie, który od teraz będę grać. Wtedy wszedł Mark i zobaczył, że siedzę ze wzrokiem wbitym w podłogę, i zapytał, co mi jest. Nie najlepiej się czuję, powiedziałam, nie wiem, niedobrze mi. Samo przejdzie. Od jakiegoś czasu wraz z Markiem żyliśmy w najlepszym z możliwych światów, on, stainer i ja, w tamtym mieszkaniu w górnej części miasta, gdzie rośliny w ogrodach delikatnie całują fundamenty dobrze zaprojektowanych budynków. Czasem spacerowałam aż do stawu, żeby sprawdzić, czy jest tam moja dusza, i oznajmić jej, że już mi nie jest potrzebna. Wszelako w momencie, w którym po raz pierwszy zobaczyłam mamę, poczułam, że znów na gwałt potrzebuję duszy, lecz gdy po nią poszłam, ponownie wyparowała. Nagle utraciłam spokój i opanowanie. Miałam Marka i stainera, ale to było za mało. Nadeszła bardzo pracowita epoka, a ja na każdym koncercie wypatrywałam mamy i wiedziałam, że gdzieś tam jest, ale nigdy nie przychodziła potem się ze mną zobaczyć. Aż nabawiłam się zapalenia płuc i wydarto mi z rąk skrzypce, i położono mnie do łóżka. Mark musiał znaleźć dla mnie zastępstwo na koncerty i nie mogłam znieść myśli, że moje miejsce zajęła jakaś inna, i prosiłam mojego mężczyznę, żeby pozwolił mi zagrać, że zrobię to dobrze, nawet jeśli jestem chora, jestem w stanie to zrobić, i zaczęłam ćwiczyć wieczorami, kiedy nie było go w domu. Brałam stainera i grałam, grałam z furją. Wyobrażałam sobie mamę na koncercie, podziwiającą inną skrzypaczkę, o której Mark mówił, że tak dobrze gra, i być może mamie spodobała się ona bardziej niż jej własna córka, może na nią akurat zwracała uwagę.

Któregoś wieczoru czekałam na Marka w piżamie i ze stainerem w dłoni. Trawiła mnie gorączka, ale nie mogłam znieść myśli, że ćwiczył z inną skrzypaczką. Wyczekiwałam w fotelu, aż w końcu otworzył drzwi i wtedy położyłam sobie skrzypce na ramieniu i zaczęłam grać. Wybrałam *Il trillo del diavolo* Tartiniego. Grałam z uczuciem, którego nigdy wcześniej nie udało mi się z siebie wykrzesać, zwłaszcza gdy zobaczyłam, że Mark podchodzi bliżej i staje oszołomiony, nie spuszczać ze mnie wzroku. Włożyłam w grę namiętność, która co prawda nie była duszą, ale jednak była namiętnością. Grałam przez dwie długie minuty, podczas których zawładnęła mną gorączka albo diabeł we własnej osobie, sama nie wiem. W ostatniej chwili, zanim osunęłam się na podłogę, pomyślałam, że to wiadomość, iż mama podąża moim śladem, zwałała mnie z nóg.

Trafiłam do szpitala, a potem Mark zabrał mnie na dziesięć dni do uzdrowiska. Dziesięć dni bez skrzypiec. Nie tęskniłam, bo może i nie miałam przy sobie instrumentu, ale za to miałam mojego mężczyznę, który żył tylko po to, by mnie uszczęśliwić.

Stoi tutaj przede mną, żeby pokazać nam, kiedy wchodzimy. Zaczyna Teresa, a potem ja, dokładnie w piątym taktie. Kiedy skończy się ten koncert, już jej nigdy nie zobaczę. Koniec z Teresą raz na zawsze. Kładę skrzypce na ramieniu i gdy nadchodzi moja kolej, zaczynam grać. I wtedy z niewiadomych przyczyn i w zupełnie niepojęty sposób z trzewi stainera wydobywa się jakiś dziwny, zniekształcony dźwięk i raptem wszystko zaczyna chwiać się w posadach.

MARIA

Nie zostałam, żeby zobaczyć, co się wydarzy po rozpoczęciu koncertu. Kiedy rozległy się oklaski po poprzednim utworze, zanim obie panie weszły na scenę, aby grać Bacha, wstałam i opuściłam salę. No dobrze, wstałam, na ile mogłam, i przeciskałam się przez cały rząd, również na ile mogłam, rzucając w kółko przepraszam, przepraszam, a wszyscy dziwnie na mnie patrzyli, ponieważ nie rozumieli, co do nich mówię i czemu potykam się i zahaczam o ich nogi w tej długiej sukni, która sięga mi prawie do stóp. Teraz już wyszłam, zesłam po schodach i dotarłam aż do bocznego wyjścia tego teatru. Na zewnątrz jest całkiem ciemno. A tutaj panuje kompletna cisza, publiczność siedzi w wielkiej sali, gdzie panią Annę musi ogarniać czarna rozpacz, bo jej skrzypce nie brzmią tak, jak powinny. Spoglądam na kobietę w szatni, jak wcześniej, nie rozumiem mnie, ale na mój widok cicho coś wykrzykuje, wskazując na leżący obok futerał, na wpuł ukryty między płaszczami.

– Tak, tak, dokładnie... zabieram płaszcz i instrument... dziękuję.

Bardzo dobrze mnie zrozumiała i wszystko mi podaje. Pewnie teraz sobie odpocznie, na pewno myśli, wreszcie się jej pozbyłam i nie przyjdzie znowu prosić, a teraz podaj mi futerał, a teraz go zabieram, a teraz jeszcze raz go zostawiam... Uśmiecham się do niej i kiwam głową, jakbym chciała powiedzieć dziękuję i do widzenia.

Nie mogę się wyprostować, mój żołądek przypomina szybkoć, ale nie mam potrzeby iść do łazienki, skoro cały dzień nic nie jadłam. Tylko dokuczają mi przejmujący ból. Tak czy owak, uśmiecham się, w moim wieku nawet ból wywołuje uśmiech. Opatulam się i wychodzę na zewnątrz. Patrzę za siebie i w oczy rzuca mi się neon, na którym widnieje napis *Staatsoper im Schiller Theater*. Wstrzymuję oddech i myślę sobie, że chociaż nie mam pojęcia, co to znaczy, te litery wywierają spore wrażenie, są takie wielkie i świecące. Wczoraj nie zwróciłam na nie uwagi, ani dzisiaj, kiedy przyjechaliśmy. Aaa, przecież wtedy było jasno, a na dodatek przyjechaliśmy taksówką, sama sobie odpowiadam. Prawie nic nie widzę, ale wyczuwam, że ziemia jest mokra. Chociaż już nie pada.

Padalo, kiedy tuż pod moim domem spotkałam panią Teresę. Był to mój nowy dom, mieszkanie, które kupiłam w bardziej dyskretnej dzielnicy niż ta pana Karla. Z kolei pan Mark został tam nieopodal i chodziłam do niego raz w tygodniu zajmować się domem, w zamian za skromną pensyjkę i kilka chwil rozmowy z kimś, kto mnie ceniał. Czasem jednak nie zastawałam pana Marka, ponieważ był coraz bardziej rozchwytywany, miał coraz więcej koncertów, zaczynał w tym przypominać pana Karla, ale wyłącznie w tym, ponieważ syn nigdy nie będzie jak ojciec i nigdy nie byłby w stanie stworzyć takiej muzyki jak ojciec, no i nigdy nie stworzy.

Kiedy dowiedziałam się, że zapisał mi tyle pieniędzy, zupełnie mnie to nie obeszło. Wszystko było mi obojętne poza faktem, że pan Karl nagle zniknął z mojego życia, z mojego otoczenia, ze świata. Najpierw miałam wrażenie, że to strasznie niesprawiedliwe, potem poczułam się całkiem sama. Po czterdziestu latach spędzonych w czyimś towarzystwie nagle nie miałam nikogo. Miałam tylko pieniądze, to fakt, ale akurat pieniądze nigdy nie miały dla mnie wielkiego znaczenia. Cały czas chodziłam z oczyma pełnymi łez. Nie było jak się ich pozbyć, przyczepiły mi się do oczu, nie chciały schować się do środka i ciągle pchały się na zewnątrz. Czułam się smutna, smutna, smutna. Od czasu do czasu całowałam list od niego, a także, kiedy nikogo nie było, przez te pierwsze dni grałam na stainerze niemieckie piosenki, a zwłaszcza wieśniaczkę i pasterza. I myślałam sobie, ach, gdyby tak pan powiedział mi wcześniej to wszystko, co napisał w liście.

Aż przyszła pani Anna i zabrała skrzypce. Nie mogłam jej powstrzymać, kiedy zmierzała do sali z fortepianem, tak jak nigdy mi się to nie udawało, gdy przychodziła do nas do domu.

Miałam pecha, że w tym momencie stainer rzeczywiście leżał tam na krześle, bo wcześniej na nim grałam, a sala była najbardziej wyciszonym miejscem w całym domu, pan kazał tam zrobić specjalne ściany, żeby sąsiedzi się nie skarżyli. Tak więc pani Anna, na nic się nie oglądając, poszła prosto do sali, wzięła stainera i zapytała, gdzie futerał, tak wyniosłym tonem, jakiego nigdy w życiu nie słyszałam. Wzdrygnęłam się, proszę pani, te skrzypce nie należą do pani. Ależ oczywiście, że należą do mnie, każdy, kto mnie zna, potwierdzi, że gram na tych skrzypcach, udowodnię to, jeśli będzie trzeba. Ale przecież podarowała je pani panu Karlowi, wiem to od niego, zakrzyknęłam. Pani Anna przez moment spojrzała na mnie z wahaniem, ale potem zaczęła się śmiać i powiedziała, proszę nie opowiadać głupot, jak miałam dać stainera Karlowi, no naprawdę proszę mnie nie rozśmieszać.

Byłam w rozpacz i nie wiedziałam, co robić. Chciałam iść po list i pokazać jej dowód, że skrzypce nie tylko należały do pana Karla, ale że teraz są moje, powstrzymała mnie jednak dalsza część listu, który napisał mi pan, ponieważ gdybym pokazała pani Annie fragment, w którym oświadczał, że daje mi skrzypce i że dostał je od ich dawnej właścicielki w zamian za obietnicę małżeństwa, musiałabym pokazać jej też resztę tej kartki, a tego nie mogłam zrobić, przynajmniej nie w tamtym momencie. Tak więc po chwili zastanowienia powiedziałam sobie, że lepiej nic nie robić, odpuścić. Ona zauważyła, że przestałam walczyć o instrument, i wykorzystała ten moment, żeby warknąć, i co, dostanę futerał czy mam tak je nieść po ulicy.

Nagle zdałam sobie sprawę, że jej nienawidzę. Nigdy do tej pory nie żywiłam takich uczuć do drugiego człowieka i nie spodobało mi się to, ale w tamtej chwili było to silniejsze ode mnie. Poszłam do mojego pokoju, wzięłam futerał i zaniósłam jej go, powstrzymując łzy, które wówczas nie były łzami smutku, ale wściekłości. Ona schowała instrument i nie powiedziawszy mi nawet dziękuję, rzuciła jedynie miłego dnia i tyle ją widziałam. Wtedy się rozplakałam.

Jednak łzy nie trwały długo. Przynajmniej łzy za skrzypcami. Łzy za panem Karlem też nie, to znaczy tylko te zewnętrzne, w środku nosiłam je przez długi czas, tryskały ze mnie obfitym strumieniem i nie było sposobu, by je zatamować. Ten wewnętrzny płacz nigdy nie minął, był jak nienawiść do pani Anny, która przechodziła mi bardzo powoli, chociaż w końcu do mnie dotarło, że tak negatywnym uczuciem sama sobie robię krzywdę i głupio by było je pielęgnować. Lecz łzy za panem Karlem, ach, to było trudniej zwalczyć. Zalewały mnie całą od wewnątrz i były jak ocet, dziurawiły mi ściany żołądka, nie jak teraz, kiedy też czuję jakby ocet w żołądku, ale w inny sposób, i nie potrafił temu zaradzić żaden lekarz.

Kiedy z panem Markiem odchodziliśmy z domu nad stawem, zapytał mnie, czy chciałabym coś sobie zabrać. Poprosiłam o skrzypce, te drugie, ćwiczebne. Zawsze na nich grał, skłamałam. Ach, tak, a ja sądziłam, że już tego nie robił, że porzucił skrzypce. Rzadko bywał pan w domu, panie Marku, to znaczy Marku, stwierdziłam. Racja, przyznał ze smutnym uśmiechem. I nie chce pani zabrać nic więcej, zapytał. Zawahałam się przez chwilę, jest jedna taka rzecz, którą chciałabym zabrać, ale nie wiem, czy to możliwe, bo wydaje się bardzo ciężka. Pan Mark uniósł brwi zaintrygowany. Beethovena, rzuciłam szybko. Wówczas zaczął się śmiać, a to niezłe, Mario, ale zawsze da się znaleźć jakieś rozwiązanie, nie wiem, czy pozwolą nam go zabrać, ale zrobimy, co w naszej mocy, nie sądzę, żeby robili nam problemy z powodu gipsowego popiersia.

Nie robili nam problemów. Postawili Beethovena przy wejściu, żeby sprawić przyjemność panu Karlowi, ale na pewno gdyby chcieli sprzedać albo wynająć ten dom, lepiej dla nich było się go pozbyć. Zajmował miejsce, w którym każda normalna rodzina wolałaby mieć stolik albo lampę, jaką państwo mają zwyczaj ustawiać w przedpokoju. I w taki oto sposób Beethoven zawitał w moim nowym domu, moim małym mieszkanku. W przedpokoju się nie mieścił, w kuchni też nie, więc musiałam odstąpić mu jeden pokój, ten drugi, nie mój, ponieważ miałam tylko dwa. I stał tam na samym środku, a ja codziennie go odkurzałam. Początkowo

mówiłam mu tylko *gut'n tag*, ale potem zaczęłam z nim rozmawiać i opowiadać mu o panu Karlu, i czytałam mu list, który mi zostawił, a który teraz noszę w kieszeni. I czytałam go nie raz, ale tysiąc razy i zawsze kończyło się to płaczem. Moim, nie Beethovena, ponieważ on był z gipsu, chociaż myślałam, że z kamienia, no więc nie, nie aż tak, ale był równie zimny i tak samo patrzył z ukosa i musiał też być tak samo głuchy, ponieważ z tego, co mówią, ten prawdziwy nie usłyszałby nawet trzęsienia ziemi. A potem brałam skrzypce i stroiłam je, jak umiałam, bez fortepianu. Odkryłam, że słuchając radia, w którym leci muzyka klasyczna, jestem w stanie nastroić instrument. Kiedy wychodziło mi sol, natychmiast znajdowałam la i mogłam już grać z nut niemieckie piosenki i usiłowałam je grać, zwłaszcza wieśniaczkę i pasterza, ale tak bardzo przy tym płakałam, że zdecydowałam się odpuścić i już nigdy więcej nie sięgać po skrzypce, przynajmniej dopóki nie upłynie trochę czasu.

Najpierw wszystko wydawało mi się mroczne i smutne. Mieszkanie było malutkie, a ja czułam się, jakby odcięto mi dopływ tlenu. Raz w tygodniu chodziłam do pana Marka zajmować się domem. Czasem go spotykałam i trochę rozmawialiśmy, ale zwykle go nie było, a ja i tak dbałam o porządek, a on zostawiał mi sumę, na którą się umówiliśmy, chociaż tak naprawdę nie była mi potrzebna ze względu na spadek po panu Karlu. On nigdy nic nie wydawał, nawet za stainera nie zapłacił, bowiem dostał go w prezencie od ojca, a ja też nie miałam wydatków, ponieważ mieszkałam sama, tak więc gdybym tylko chciała, mogłabym żyć wiecznie z tego, co mi zostawił.

Kiedy wychodziłam z domu pana Marka, zawsze przechodziłam przez park i szłam nad staw o spokojnych wodach, na których wiecznie pływały nenufary albo liście służące im za łoża. A ja zamykałam na moment oczy, żeby poczuć zapach zieleni, i pozwalałam ukołysać się szumowi topól i krzykom dzieci, bawiących się tam popołudniami, jak tamte dzieci, którymi w dawnych czasach zajmowała się pani Teresa, a one rozbiegały się jej na wszystkie strony.

Pani Teresa przyszła kiedyś do mojego mieszkania, ponieważ spotkałam ją tuż pod domem, a akurat padało. Uśmiechnęła się i zapytała, jak się mam. Zaczęłyśmy rozmawiać o panu Karlu. Na szczęście od jego śmierci upłynęło już kilka lat i mogłam spokojnie o tym rozmawiać, nie zalewając się łzami. Zaprosiłam ją na górę, tak jakoś samo wyszło, bo nieładnie by to wyglądało, gdybym tego nie zrobiła, a potem na jej oczach weszła w bramę. Miała ze sobą butelkę szampana, którą najwyraźniej właśnie dostała. Napijemy się, powiedziała wesoło. Weszłyśmy do mieszkania, prowadziłam ją jak najdalej od pokoju z Beethovenem i skrzypcami, żeby oszczędzić sobie wyjaśnień, zaprosiłam ją do tego skrawka jadalni, który miałam, a ona zakrzyknęła, jak tu ładnie, i zapytała, czy wciąż mam kontakt z panem Markiem. Odparłam, że nie, już nie, ponieważ była to prawda, dwa dni wcześniej mnie odprawił.

Wraz z panią Teresą wypiliśmy kilka lampek szampana. Nauczyłam się wielu rzeczy w domu pana Karla oraz w domach, w których służyłam wcześniej, i jedną z tych rzeczy było, że zawsze należy godnie przyjąć gości i mieć na podorędziu kieliszki, bo nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć i kto przekroczy progi naszego domu. Pomyślałam wtedy, że brak mi szampana, ale na szczęście tamtym razem przyniosła go pani Teresa. Zapytała mnie wtedy, czemu już się nie widuję z panem Markiem. Westchnęłam, teraz pani Anna często tam bywa, a nie darzy mnie ona zbytnią sympatią, sama pani rozumie. Zachowałam dla siebie informację, że mimo to pan Mark dał mi swój numer telefonu, żebym dzwoniła, jeśli tylko będę go potrzebować, i powiedział, żebym zatrzymała klucze do domu, i po tysiącokroć powtarzał, że bardzo mu przykro.

Pani Teresa wypiła łyk szampana i trochę się zakrztusiła. Anna jest skomplikowana, powiedziała trudnym do określenia tonem. Wychyliła kieliszek do dna i dołała sobie więcej. Nie powstrzymywałam jej, ja wypiłam tylko dwie lampki, a ona resztę. I kiedy cały ten szampan

uderzył jej do głowy, rozwikłała mi zagadkę stainera.

Och, brak mi tchu. Nie mogę się poruszyć. Jest ciemno i nikt mnie nie widzi na tym rozciągającym się przed teatrem placu pełnym mokrych i śliskich kocich łbów. W końcu z ogromnym wysiłkiem udaje mi się postawić jedną nogę przed drugą, ale nie mam cienia wątpliwości, że daleko nie ujdę. Święta Panienko z Macareny, teraz stało się dla mnie jasne, że nie ujrzę już Barcelony.

TERESA

Mój Boże, to było straszne. Publiczność nie zorientowała się, że stainer to nie stainer, jedynie zauważyła, że coś się stało, ponieważ wszyscy troje, Anna, Mark i ja, doznaliśmy szoku, kiedy usłyszeliśmy dźwięk wydobywający się z instrumentu. Zagraliśmy raptem dwa takty i wtedy Anna urwała. Widać było, że chce grać dalej, ale nie jest w stanie, nie weszła na czas, wydawało się, że coś przeszkadza jej w grze, że palce odmawiają posłuszeństwa, nie mogła naciskać strun, nie mogła prowadzić smyczka. Stało się jasne, że kompletnie nie będzie się nadawać do gry, jeśli nie otrząśnie się z tego osłupienia. Wtedy Mark przerwał. W sali zapadła grobowa cisza. Członkowie orkiestry, jeśli w ogóle zorientowali się, co się dzieje, nie dali nic po sobie poznać, ale nas troje zmroziło. Mark spojrzął na Annę. A Anna, czerwona jak burak, spojrzała na skrzypce, są identyczne, identyczne jak stainer, ale to nie stainer. Ja też rzuciłam okiem na instrument, ale zrobiłam to ukradkiem; zorientowałam się, że trzeba jakoś ratować sytuację. Na szczęście mojej *partenaire* nie przyszło do głowy, żeby zajrzeć do środka przez efy, czy podpis rzeczywiście jest Stainera, ponieważ wyglądałoby to bardzo brzydko. Była po prostu zaskoczona, całkiem wytrącona z równowagi. Wszystko było kwestią sekund i wtedy Mark załatwił sprawę, odwrócił się z uśmiechem do publiczności i oznajmił, niektórzy z państwa mogą tego nie wiedzieć, ale on zawsze tak robił, fałszywe wejście jak w *Nad pięknym modrym Dunajem* podczas koncertu noworocznego. Publiczność odpowiedziała śmiechem i oklaskami. Wówczas Mark zwrócił się w naszą stronę ze spojrzeniem, które mówiło, że stainerem czy bez, zagramy najlepiej jak się da. I tak właśnie zrobiliśmy, zapominając, że Anna nie gra na stainerze. Po sprawiedliwości muszę przyznać, że pokonała przeciwności w sposób nadzwyczajny. Z racji tego, że tak rzadko dawała się ponieść emocjom, udało jej się nad sobą zapanować i zagrać na nowych, nieznanych skrzypcach, jakby to zrobiła na samym stainerze albo innym, znanym od podszewki instrumencie. Nie mogłam wyjść z podziwu. Kiedy skończyliśmy, rozległa się burza oklasków i pomyślałam, że to ona na nie zasługiwała. Dzisiaj z nawiązką zyskała sobie uznanie publiczności. Ukłoniliśmy się, wręczono nam kwiaty, a teraz schodzimy ze sceny, podczas gdy orkiestra siada.

– Co się stało?! – pytam po zejściu ze sceny ze wzrokiem utkwionym w skrzypce Anny.

– Nie wiem... – odpowiada, również się w nie wpatrując.

Widzę, że mówi szczerze, zupełnie szczerze. Nie wie, co się stało, tak jak ja i Mark. On jednak wciąż trzyma batutę w dłoni i rzuca:

– Dalej, wracamy na scenę, zanim umilkną oklaski.

Przyklejamy sobie sztuczne uśmiechy do twarzy i wychodzimy na scenę. W życiu czasem trzeba tak postępować, przykleić sobie sztuczny uśmiech i wyjść do ludzi. Tutaj ogrzewasz się w świetle reflektorów, ale na zewnątrz jest zimno. I czujesz się samotny, bardzo samotny, jak ja po śmierci Karla, mimo że wróciłam do szkoły muzycznej i kwartetu. Karl był dla mnie czymś więcej niż tylko rozładowaniem napięcia seksualnego, co charakteryzowało nasz pierwszy okres. Nie było jak z Matiesem, nie było niepohamowanej namiętności, wspólnej wizji życia, poczucia, że odnalazło się swoją drugą połówkę. Nie, ten człowiek, wielki dyrygent, po prostu skradł mi duszę, duszę, o której mówił, że wkładam ją w grę na skrzypcach. A nie słyszał przecież, jak gram na czarodziejskich skrzypcach, które kto wie, gdzie teraz są, może trafiły w ręce kogoś, kto potrafi wydobyć z nich magię. Moje skrzypce, które świeciły pośród tony śmieci, kto wie, może teraz leżą na innym wysypisku.

Nie zgadłaby pani, gdzie znalazłam skrzypce, powiedziałam. Jakie skrzypce, zapytała Maria. Och, te, które teraz ma Anna, stainera. Popatrzyłam na nią przez chwilę i mimo że prawie sama wypiłam całą butelkę szampana, zdałam sobie sprawę, że opowiadam Marii o rzeczach,

których nigdy nie zrozumie. Chociaż bardzo ją cenię i uważam za cudowną osobę, pewnie nie odróżnia stainera od olivery. Przepraszam, rzuciłam, dopijając ostatnią kroplę, to trochę dziwna historia, wie pani, skrzypce Anny należały przedtem do mnie. Wpatrywała się we mnie, jakby nigdy wcześniej mnie nie widziała. Proszę mówić dalej, zachęciła mnie jednak żarliwie, jakby bardzo ją to zainteresowało. Byłyśmy u niej w domu, spotkałyśmy się na ulicy, a ja niosłam akurat butelkę szampana i pomyślałam, że lepiej, jak ją wypijemy we dwie, ponieważ ostatnimi czasy musiałam robić to w samotności. Z Marią zawsze dobrze się rozumiałyśmy, była bardzo miła, i miło też spędziłyśmy czas, wspominając Karla i komentując, jak zmieniała się Barcelona. Poinformowała mnie wtedy, że nie będzie już chodzić do Marka, ponieważ Anna na wpeł się tam wprowadziła, i w ten sposób nagle zaczęłam jej opowiadać moją historię z wysypiskiem. Nikomu nigdy tego nie opowiadałam, ale biorąc pod uwagę pochodzenie Marii, była idealną kandydatką, żeby zrozumieć, że w śmieciach można znaleźć fascynujące rzeczy. Nawet jeśli ktoś nie ma pojęcia, czym jest stainer. Zaczęłam jej więc tłumaczyć, czym jest stainer i dlaczego te skrzypce mają tak wielką wartość. Dorzuciłam, co wiedziałam o lutniku, że był Tyrolczykiem i żył w XVII wieku, wyjaśniłam jej też najprostszymi możliwymi słowami, że instrumenty, które stworzył, były wyjątkowe, brzmiały w szczególny sposób, a przez efy można było dostrzec podpis autora: Jacobus Stainer, i datę wykonania skrzypiec. W naszym przypadku był to rok 1672, powiedziałam. Następnie przeszłam do luźnych uwag o lutniku, ach, i wygląda na to, że na początku XIX wieku jego instrumenty były cenione nawet wyżej niż włoskie. Niż włoskie? powtórzyła jak echo. Patrzyła na mnie wielkimi oczami. Tak, niż włoskie z Cremony, stradivarius, amati, wie pani. Pewnie nie miała o tym zielonego pojęcia, o nie, minę miała taką, jakby ni w ząb nie rozumiała, zaczęłam więc tłumaczyć dokładniej, dobrze, więc Cremona to takie miejsce we Włoszech, gdzie wytwarzano najlepsze i najbardziej prestiżowe skrzypce na świecie. Aha, rzuciła tylko. O wszystkich dokładnie wiadomo, gdzie się znajdują, zakrzyknęłam, a o stainerach już nie. Uśmiechnęła się, ale wydawała się nieobecna. Pewnie nic ją to wszystko nie obchodziło. Kręciło mi się w głowie i dokończyłam słowami, tak więc większość stainerów skończyła najpierw w austriackich klasztorach, a potem posprzedawano je prywatnym właścicielom. Zaczęłam lekko kaszleć, bąbelki z szampana łaskotały mnie w gardło. Zachęciła mnie jednak, bym kontynuowała, ale mówi pani, że skrzypce pani Anny w rzeczywistości należały do pani, tak. Przytaknęłam i wtedy opowiedziałam jej, co się stało, przyznałam, że ich nie kupiłam, nigdy nie mogłabym sobie na to pozwolić, kiedy byłam mała, żyłam w nędzy, i opowiedziałam jej, co położyło temu kres. Wie pani, te skrzypce są zaczarowane, ciągnęłam moją opowieść po kolejnym łyku szampana. Patrzyłam na nią, żeby ocenić, jakie wrażenie wywierają na niej moje słowa. Ale nie pokazywała po sobie żadnych emocji, nic. Siedziała tak naprzeciwko mnie, z szeroko otwartymi oczami, wbitymi w moje, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu. Nie wiem, czy rozumiała to, co jej opowiadałam. Może mi nie wierzyła. Przysięgam, że znalazłam skrzypce na wysypisku, wyrzuciłam z siebie w końcu, widząc ją tak znieruchomiałą, nie wierzy mi pani. Wtedy ona rozbudziła się z tego odrętwienia, ależ tak, wierzę, wierzę. Wstała ze słowami, przepraszam na chwilę, muszę iść do łazienki, zaraz wracam.

Kiedy wróciła, zorientowałam się po jej minie, że szampan jej zaszkodził. A przecież bardzo mało wypić. Ja z kolei wypić bardzo dużo i czułam się coraz lepiej. I teraz, kiedy odkręciłam kurek ze wspomnieniami, nie byłam już w stanie się zatrzymać, proszę słuchać dalej, to nie wszystko, zakrzyknęłam, niemal zmuszając ją, by usiadła i mnie wysłuchała. Nie dała się długo prosić, ciągle miała szeroko otwarte oczy, jakby dopiero co oślepił ją flesz aparatu. Opowiedziałam jej o Annie i jej ojcu, opowiedziałam jej wszystko, absolutnie wszystko. Dałam się ponieść i gdy tak się żaliłam, w końcu znów poczułam ból i rozplakałam się. Nigdy nikomu tego nie opowiadałam i zdałam sobie wtedy sprawę, że tkwiło to we mnie jak kolczasta kula.

Lepiej było wyrzucić ją z siebie, ponieważ od razu łatwiej mogłam się ze wszystkim uporać. Maria podała mi chusteczki i zaczęła mnie głaskać po ramieniu. Pomyślałam, że to bardzo dobra kobieta. Pewnie nie pojęła, jaką wartość miał instrument, znaleziony przeze mnie na wysypisku, ale pojmowała łzy i uczucia. Nie była taka jak Anna, o nie.

Kiedy Maria dotknęła lekko mojego ramienia i zaczęła je głaskać, przypomniał mi się Karl, gdy na dwa dni przed śmiercią poprosił, żebym go przytuliła. Wszyscy potrzebujemy kontaktu z drugim człowiekiem, wszyscy w większym lub mniejszym stopniu potrzebujemy pieśczoć, nawet jeśli nie sprawiamy takiego wrażenia. Nie wiedziałam wtedy, że Karlowi groziła śmierć, nie wiedziałam, że zakazali mu latać, nic nie wiedziałam. A on, chociaż miał tego pełną świadomość i czuł się u kresu swych dni, wstał nazajutrz i dyrygował koncertem, a potem wsiadł na pokład samolotu do Wiednia. Najpierw jednak poprosił, żebym go przytuliła. Nawet Karl T. był człowiekiem.

MARK

– Mark, wysłuchaj mnie, nie miałam o tym pojęcia!

– Anna, daj mi spokój, daj mi święty spokój!

Na oczach wszystkich robimy przedstawienie. Tego tylko brakowało. Moja żona idzie za mną albo raczej ściga mnie po schodach aż do garderoby. I krzyczy, że nic nie wiedziała o tych drugich skrzypcach. Po koncercie ona, Teresa i ja obejrzeliliśmy sobie ten instrument. Jest taki sam jak stainer, właściwie identyczny, wierna kopia, ten sam kolor, naprawione zadrapanie, dosłownie wszystko. Tylko podpis nie jest Stainera. Wewnątrz skrzypiec figuruje nazwisko jakiegoś barcelońskiego lutnika. Wiem, że Anna mówi prawdę, ale mam już dosyć, spadły mi klapki z oczu. Nie wiem, co się stało, nie wiem, kto mógł wykręcić taki numer mojej żonie, chociaż w głębi duszy myślę, że sobie na to zasłużyła. No ale my wszyscy na to nie zasłużyliśmy, a koniec końców minimum trzy osoby spotkała taka kara albo przynajmniej na początku najadły się strachu. Pierwszy skrzypek z orkiestry też przyszedł obejrzeć instrument i pytał, co się stało. Oświadczyliśmy, że nie mamy pojęcia, a on poszedł sobie, ale przedtem rzucił, niezły żart. Powiedział to jak gdyby nigdy nic i właśnie dlatego wyczułem w jego tonie niemal wesołość. Pewnie teraz śmieje się z tego cała orkiestra, ponieważ prawda jest taka, że wszyscy szczerze nie znoszą Anny.

– Mark, to nie moja wina!

– Wiem, że to nie twoja wina, ale zostaw mnie teraz w spokoju, proszę cię!

Nasze słowa, nasze krzyki odbijają się od białych ścian, a abstrakcyjny obraz, który wisi na półpiętrze teatru, zajmując całą ścianę, nagle wbija mi się w duszę. Nie wiem, co przedstawiają te figury, widzę tu tylko niewydarzone ptaki. Co się dzieje, mój Boże, co się dzieje, dlaczego wszystko jest takie dziwne, dlaczego wszystko jest takie surrealistyczne. Anna ma obsesję na punkcie wody, na punkcie Sprewy. Zawlokła mnie wczoraj na spacer jej brzegiem, zimno przeszły do szpiku kości, ale ona była jak w amoku, kiedy patrzyła w dół, patrzyła na wodę, w ogóle mnie nie słuchała, tylko patrzyła na wodę, chociaż fakt faktem była do mnie przyklejona. Klei się do mnie, ponieważ tylko ja ją znoszę, jestem jej mężem, kocham ją. Albo kochałem.

Docieram do drzwi garderoby, odwracam się i wyrzucam z siebie:

– Dlaczego wszystkimi gardzisz, Anno?

Wiem, że to pytanie nie ma nic wspólnego ze skrzypcami, ale to wydarzenie stało się iskrą rzuconą na beczkę prochu. Wreszcie zdałem sobie sprawę, co naprawdę się dzieje. Na chwilę umilkła, zaskoczona, i wpatruje się we mnie tymi swoimi fascynującymi oczami, które teraz wydają mi się okrutne. W końcu przygryza wargę, a potem, zamiast odpowiedzieć, mówi:

– Muszę ci coś powiedzieć, Mark.

Wyszeptała to tym swoim uwodzicielskim tonem. Właśnie przez ten ton wpadłem w jej ramiona, a potem cały czas go wykorzystywała, żeby mnie do siebie przywiązać, mocno przywiązać, teraz jasno to widzę. Nabieram powietrza i oznajmiam jej:

– Dobrze, Anno, ja też muszę ci coś powiedzieć... Posłuchaj mnie uważnie: dość tego. To już koniec. Przepraszam, ale już nie mogę tak dłużej. Nie kocham cię. Przykro mi.

Już po wszystkim, wyrzuciłem to z siebie. Wchodzę do garderoby. Czuję, że stoi za mną z fałszywym stainerem w dłoniach, a wzrok ma wbity w mój kark, czuję na sobie to spojrzenie, mówi ono o życiu pełnym cierpienia, z którym nie potrafiła sobie poradzić, a teraz wystawia jej ono rachunek. Odwracam się i spostrzegam, że chce mi

coś powiedzieć. Porusza ustami, ale ostatecznie nic nie mówi. Spuszcza głowę, odwraca się i z wolna odchodzi. Łapie się za poręcz, żeby zejść po schodach. Żegnaj, Anno.

ANNA

Nie pada już, ale ziemia jest śliska. Wywróćę się, wywróćę, mam szpilki na wysokim obcasie. *En souffrant*, wiecznie *en souffrant*. Nie pomyślałam o płaszczu, wyszłam ubrana jak na koncert. Po prostu nie wiem, dokąd idę, nie wiem, co robię, nie wiem, co teraz, nie wiem, jak się zachować. Patrzę w ziemię i mimo że jest ciemno, staram się odróżnić resztki wody. Mokre kocie łby przy takich obcasach to samobójstwo. Schylam się i opuszkami palców dotykam ziemi, zimnej, mokrej, ziemi, która błyszczy. Nie, nie, nie ma jej tu, nie ma mojej duszy, to niemożliwe, nie tutaj.

Nie powiedziałam Markowi. Nie powiedziałam, że spodziewam się jego dziecka, ponieważ jeszcze zostałabym bez dziecka. W ostatniej chwili zdecydowałam się to przemilczeć i dzięki temu będę mieć je tylko dla siebie. Dobrze więc, ani Marka, ani stainera, ale przynajmniej zostaje mi dziecko, oczywiście jeśli nic złego się nie stanie, w moim wieku ciąża to nie przelewki i będę musiała o sobie dbać, żadnych szaleństw i lekkomyślnych zachowań.

A co ze stainerem, gdzie on jest, kto go zabrał? Rozglądam się wokoło, publiczność już się rozeszła, a tam, w rogu, stoi kilku członków orkiestry, śmieją się. Może to oni mi go podmienili. No ale to przecież była idealna kopia z premedytacją sfabrykowana w Barcelonie. Był to stainer, a jednocześnie nie stainer, ponieważ wydawał się nim aż do momentu rozpoczęcia gry. Kiedy wzięłam go z miejsca, w którym go zostawiłam, nie dostrzegłam żadnej różnicy. A to właśnie tam musiało dojść do tej zamiany, ktoś zamienił mi siekierkę na kijek, gdy wyszłam odetchnąć świeżym powietrzem i zobaczyć, czy pada. Ten ktoś musi znać moje zwyczaje. Tak, ale kto to. Teresa i Mark, niemożliwe. Mimo że Mark mnie zostawił i nienawidzę Teresy, nie wydaje mi się, żeby to było któreś z nich. Ale jeśli to nie oni, kto to zrobił? Nie przychodzi mi do głowy nikt więcej z najbliższego otoczenia, chyba że to ktoś obcy, przez jakiś czas musiał śledzić wszystkie moje ruchy, koncert po koncercie, żeby w końcu ukraść instrument. To pewnie jakiś handlarz antykami i w tym momencie mój stainer prawdopodobnie został już sprzedany osobie, która obiecała za niego niezłą sumkę.

– Nie powinnaś cieplej się ubrać, Anno?

Głos ten rozległ się tak nagle, że aż podskoczyłam. Tego się nie spodziewałam, odwracam się i widzę mamę. Jeszcze bardziej się postarzała i skurczyła, jest malutka i ma na sobie szalik, czapkę oraz płaszcz. Nagle nabieram podejrzeń i od razu je werbalizuję, oszczędzając sobie powitania:

– To ty zabrałaś mojego stainera?

Roześmiała się:

– Nie, córeczko, nie. Co niby miałabym zrobić ze skrzypcami albo pieniędzmi, które bym za nie dostała?

Po czym przestała się śmiać i zawahała się przez chwilę, zanim powiedziała:

– Ale zorientowałam się, że nie grałaś na swoich skrzypcach. Zauważyłam zmianę i pomyślałam, że coś się stało... Ukradli ci stainera, teraz rozumiem.

Milknę. Jasne, mama też to zauważyła, ponieważ zgodnie z tym, co powiedziała mi tamtego dnia, chociaż już nigdy więcej do mnie nie przyszła, była na wszystkich moich koncertach. Cóż za wytrwałość. Dodała wolno:

– Przyszłam z tobą porozmawiać, ponieważ widzę, że masz problemy...

– No proszę! Tylko mi nie mów, że chcesz mi pomóc w ich rozwiązywaniu... Wiesz, jak nazywał się mój główny problem, dopóki nie skończyłam czternastu lat?

To było jak cios pięścią, nie mogłam nad sobą zapanować. A teraz widzę, że płacze. Zasłania się szalikiem, ale z oczu płyną jej łzy, łzy błyszczące w świetle berlińskich latarni.

Patrzę na nią uważnie i nagle dociera do mnie, że to już nie mama, tylko staruszka, która płacze, ponieważ dźwiga na sumieniu wielki ciężar i nie ma już siły, żeby się z nim zmagać.

– No to pa, idę po moje rzeczy – rzucam, żeby cokolwiek powiedzieć. Tak naprawdę nie wiem, co mówić ani robić.

Odwracam się i zaczynam iść. I wtedy słyszę za plecami jej głos:

– Chcesz, żebym na ciebie zaczekała?

Zatrzymuję się. Coś się zmienia w moim wnętrzu, nie wiem dokładnie co, ale sprawia to, że nagle moje życie zmienia bieg. Dotykam brzucha, jest tam nowe życie i będę musiała nauczyć się je rozumieć. I będę musiała zrobić to, czego mama nie zrobiła dla mnie. Ale może nie będę taka samotna, jeśli...

– Anno...

Stała przede mną. Nie przytulę jej, nie jestem w stanie. Ale właśnie do mnie dotarło, że w życiu nadchodzi taki moment, kiedy nic już więcej nam nie zostaje poza tym, co mamy przed nosem, i musimy wtedy dokonać wyboru. Szukamy Indii, a docieramy do Ameryki. Mama nie jest już mamą, jest starszą kobietą wyłaniającą się z mroków przeszłości. Otarła oczy i widzę, że na rękę ostała jej się tylko jedna zdradziecka łza, która za chwilę wylądzuje na szaliku i przestanie istnieć. I dzieje się to dokładnie w chwili, kiedy zdaję sobie sprawę, że w tej łzie kryła się moja dusza, której szukałam przez tyle lat.

Jakbyśmy były koleżankami z pracy i widywały się codziennie, mówię jej obojętnym tonem, zanim zniknę w środku:

– Poczekaj na mnie chwilę... Zaraz przyjdę.

WIEŚNIACZKA I PASTERZ

– Mario, dzień dobry, moja śliczna... Słyszysz mnie pani? Dzień dobry...

Dzień dobry, panie Karlu. *I gut'n tag, Herr Beethoven*. Są tu panowie obaj, ach, jak dobrze, panie Karlu, proszę na mnie tak nie patrzeć, bo się rumienię. Jakie piękne kolorowe obłoczki, ech, pojawiają się i znikają, są jak z waty. Kolorowe waciki, jakich używała jedna z dwóch pań, u których służyłam w Barcelonie, zanim przyszedłam do pana. A ja nigdy wcześniej nic takiego nie widziałam, nie były to jeszcze czasy kolorowej waty i byłam wręcz oszołomiona, gdy sprzątając łazienkę, znalazłam te mięciutkie kuleczki, zupełnie inne niż te, które znałam. Były takie ładne... U pana nigdy nic takiego nie było. Kiedy kupowałam panu watę, zawsze prosiłam o normalną, białą, ponieważ myślałam, że jeśli kupię kolorową, zażąda pan wyjaśnień i nie zrozumie, że to też wata. Sam pan przyzna, że znał się na muzyce i na tym koniec. No dobrze, jeszcze na czymś, to prawda, i była to wielka niespodzianka, ponieważ, panie Karlu, schwycił mnie za serce pana list i, wie pan, nie wiedziałam, jak zareagować, aż mi powiedziano, że pan nie żyje. Wtedy rzecz jasna nie było już potrzeby, żebym dłużej nad tym myślała, nie potrzebowałam już tych piętnastu dni, które dał mi pan na podjęcie decyzji, którą i tak już podjęłam, bowiem pewnych decyzji, panie Karlu, nie trzeba podejmować, są one wyryte w sercu i możesz usiłować je zmienić, ale w żaden sposób ci się to nie uda.

A potem wylałam tyle łez. Nie mogłam grać na skrzypcach przez bardzo długi czas, wie pan, chyba z rok. Na początku próbowałam, kiedy jeszcze miałam stainera, kiedy jeszcze mieszkałam u pana w domu, ale tak rzewnie przy tym płakałam, że momentalnie odkładałam skrzypce. Potem u mnie w domu podjęłam kolejną próbę, ścierałam kurze, po czym usiłowałam zagrać tamtą piosenkę, ale krótko to trwało, szybko porzuciłam zamiar przezwyciężenia czegoś, czego nie dało się przezwyciężyć. I położyłam instrument obok Beethovena, dotrzymywali sobie towarzystwa i razem pokrywali się kurzem. Ja codziennie zaglądałam do tego nieposprzątanego pokoju i mówiłam sobie, dzisiaj dam radę, i walczyłam ze sobą, zgrywałałam silną, i nic z tego, znów zamykałam drzwi. A kiedy wróciłam tam po roku, Beethoven, który pierwotnie był szary, przybrał brązową barwę, a ciemnobrązowy futerał od skrzypiec pobieleł.

– Mario, jak się pani czuje? Proszę się niczym nie przejmować, spokojnie, wszystko gotowe, proszę się nie martwić. Wszystko w porządku... w porządku.

Skoro mówi to pielęgniarka, znaczy, że wszystko naprawdę jest gotowe i już się nie martwię. Nigdy przez myśl by mi nie przeszło, że zrobię to, co zrobiłam. Nie mogłam jednak postąpić inaczej. Proszę już więcej nie przychodzić, zakomunikował mi pan Mark, ponieważ moja żona woli, żeby przychodziła yy, yy. Pan Mark nie mógł dokończyć zdania, ponieważ właśnie wymyślał jakąś wymówkę, aby usprawiedliwić fakt, że pani Anna nie chciała oglądać mnie nawet na obrazku. Niech się pan nie martwi, już nie przyjdę, powiedziałam, przerywając zdanie, które zacięło mu się na tym głupim yy, yy. Przygryzł wargę i po chwili dodał, przykro mi. Proszę zostawić sobie klucze, oświadczył, jakby dawał mi nie wiadomo co, po czym dorzucił, kto wie. Żal mi go było, nie wiedział, jak wybrnąć z tej sytuacji, nie wiedział, co zrobić, żeby nie zostawiać mnie w taki sposób, jak jakąś brudną szmatę, bez możliwości powrotu do tego domu, do mieszkania, jak sam je nazywał, ale skoro to było mieszkanie, mój dom stawał się króliczą norą, w ogóle nie było porównania. Mieszkanie pana Marka przypominało pałac i chociaż zakosztował on skromnego życia, jak widać do luksusu człowiek od razu się przyzwyczaja.

Jednak ta rozmowa z panem Markiem miała miejsce dużo później, od lat już ścierałam kurze z Beethovena w malutkim pokoiku w moim malutkim mieszkanku i grałam wieśniaczkę i pasterza. Co za pomieszanie dat, sama nie wiem, co kiedy było, i, panie Karlu, mieszałam mi się też te wszystkie kobiety, które zaciągnął pan na sofę. To były inne czasy, kiedy jakaś kobieta

przechodziła w stan aktywności, nie zwracał pan na mnie uwagi i nie dawał mi lekcji. Potem wszystko się zmieniło, ale najpierw właśnie tak było, pamięta pan, prawda? Proszę nie odwracać mojej uwagi ani nie zmieniać tematu, to nie żadne wyrzuty, nie chcę nic mówić, ale tak było, panie Karlu, musi pan to przyznać. Że co? Nie dostrzegał mnie pan? Wiem, że mnie pan nie dostrzegał, ale proszę się nie martwić, byłam do tego przyzwyczajona, cały ten czas, a w ostatnim okresie nie wiem, czy mnie pan dostrzegał, czy nie, ale wydawał się pan zły na mnie i nic pan nie mówił i odchodził pan, ach, przecież wytłumaczył mi pan to w liście, tak, wiem, przecież ja, panie Karlu, kiedy tylko przeczytałam ten list, zaczęłam drzeć na całym ciele. Cała drżałam, tak. I płakałam też, panie Karlu, jasne, że nie z żalu, nie jak wtedy, gdy pan umarł. Wtedy nie było tych kolorowych obłoczków. Ani drzewa zakończonego w szpic. Musiałam tam pójść, musiałam. Drzewo było żółte, oświetlał mi je księżyc, więc to zauważyłam. Położyłam futerał i zaczęłam grać i nikt nie przyszedł, panie Karlu, ale było bardzo ciemno. I bardzo bolał mnie brzuch, tak bardzo, że aż cała zmieniłam się w ognistą kulę.

– Mario, jak się pani czuje?

Powiedziałabym, że dobrze, ale nie mogę odpowiedzieć. Nie mogę mówić, wydaję z siebie tylko dziwny dźwięk, wydobywający się z miejsca, w którym wcześniej był ogień. Teraz to już obojętne, nie ma ognia, nie ma nic w środku, tylko spokój, niesamowity spokój, który unosi mnie do rajów wacianych obłoków i Beethovenów, którzy spoglądają na mnie z tą swoją chmurną miną i uniesioną brwią. A u ich boku pan, tak, wiem, panie Karlu, nie musi pan mi tego więcej powtarzać, już wiem, już widzę.

Przyszła ta, która mówi po katalońsku i hiszpańsku, ponieważ wszystkie pozostałe, które do mnie zaglądają, porozumiewają się niezrozumiałym językiem tego kraju i kiedy gdzieś wchodzi, mówią *gut'n tag*. Kiedy pierwszy raz to usłyszałam, tytanicznym wysiłkiem otworzyłam oczy, żeby sprawdzić, czy w tym pokoju, w którym mnie trzymają, jest Beethoven. Ale nie, nie ma go, jest tu tylko telewizor i krzesło, i szafka, wszystko w burym kolorze. I zachodziłam w głowę, gdzie jestem, starałam się sobie przypomnieć, ale w pierwszej chwili nic nie pamiętałam. Potem już tak. A na koniec udało mi się nawet porozmawiać z tą pielęgniarką, która mówi po katalońsku i hiszpańsku, i powiedziała mi, że znaleźli mnie nieprzytomną na ziemi na samym środku placu, u mego boku leżały skrzypce, i że spałam trzy dni, ale żeby niczym się nie przejmowała, bo skrzypce są w szafce. Ale ja otworzyłam oczy i powiedziałam jej, że jednak się przejmuję.

Teraz już wszystko załatwione, panie Karlu. Kiedy pani Teresa opowiedziała mi, jak znalazła skrzypce, wszystko już się samo potoczyło, ponieważ nie minęło nawet pół roku, kiedy pański syn zadzwonił do mnie, żeby poprosić mnie o przysługę. A ja odparłam, czego tylko pan sobie życzy, panie Marku, ach, przepraszam, Marku, no więc poprosił mnie, żebym rzuciła okiem na mieszkanie, ponieważ zabierał panią Annę do uzdrowiska na dziesięć dni i niepokoiłby się o kosztowności i stainera przez tak długi czas w pustym mieszkaniu. Najwyraźniej lekarz nakazał zostawić instrument w domu, ponieważ pani Anna musiała na dziesięć dni zapomnieć, że jest muzykiem. Mam wrażenie, że pan Mark nie ufał służącej, którą zatrudniła pani Anna, ponieważ powiedział mi, proszę przychodzić przez kilka dni, nikogo nie będzie, tylko pani, i proszę niczego nie ruszać, dobrze, niech sobie nie myślą, że. Urwał, pan Mark, kiedy ze mną rozmawiał, ucinał zdania w połowie, nie wiedział, jak je skończyć, i żal mi się go robiło, ponieważ był zbyt szczerzy, zupełnie jak pan, powinien nauczyć się zachowywać bardziej dyplomatycznie. Niech się pan nie martwi, powiedziałam, aby go uspokoić. Dziękuję, Mario, odparł natychmiast, jest pani więcej warta niż te wszystkie kosztowności i stainer razem wzięte. I ucieszyłam się, ponieważ miałam wrażenie, że uśmiecha się po drugiej stronie słuchawki.

Prawdę mówiąc, zapaliła mi się wtedy w głowie lampka – taka sama jak ta, która zapaliła

mi się wczoraj albo dzisiaj, albo dziesięć dni temu, sama nie wiem, ponieważ straciłam poczucie czasu – dzięki której udało mi się jakoś wysławić, i kiedy jeszcze mogłam mówić, zwróciłam się do hiszpańsko-katalońskiej pielęgniarki, proszę wziąć kartkę i długopis i napisać tak, pani Tereso, jak sama pani zobaczy w liście pana Karla, który dołączam, skrzypce są moje i to ja wyrzuciłam je do śmieci, a teraz ofiarowuję je pani. I podpisałam się, jak mogłam, i powiedziałam pielęgniarce, kiedy umrę, proszę wysłać tę karteczkę, którą teraz napisałyśmy, i list z szuflady, i stainera, wszystko razem na ten adres na nazwisko pani Teresy. Stainera, powtórzyła pielęgniarka z miną, jakby nic nie rozumiała. Skrzypce, które schowała pani w szafce. Ach, tak, powiedziała trochę nieprzytomnie. One mają imię, te skrzypce, wyjaśniłam. Wydaje mi się, panie Karlu, że były to ostatnie słowa, które wymówiłam po przebudzeniu, nie wiem, czy to było teraz czy wcześniej, och, jak płynie czas, jak szybko, i jakie to wszystko dziwne. Kto wie, ile mnie kosztowało przekazanie wszystkiego naraz katalońsko-hiszpańskiej pielęgniarce. No ale udało mi się i potem już byłam spokojna.

Zanim u boku Beethovena znów zaczęłam grać wieśniaczkę i pasterza, rok po wprowadzeniu się do małego mieszkanca, najpierw rozprawiłam się z kurzem pokrywającym gipsowego muzyka i futerał skrzypiec. A potem trzeba było nastroić instrument. Pękła jedna struna, e, więc pobiegłam po nową. Znałam się na tym, pamięta pan, prawda, panie Karlu, jak wysyłał mnie pan po nowe struny i jak nauczył mnie pan je zakładać. I zwykle było to e, ponieważ e wiecznie się zrywało. Więc niech się pan dowie, że ani tamtego dnia, ani żadnego innego nie miałam problemów z wymianianiem strun. Od tej pory zawsze kiedy grałam tę i inne piosenki, już nie płakałam, tylko czułam, że ulatuję i opuszczam ten świat wraz z duszą, którą pana zdaniem mam, i zamykałam oczy, a w mojej głowie pojawiał się pan, i kiedy na powrót je otwierałam, miałam nadzieję, że zobaczę pana przede mną, ale nie, stał tam tylko niewzruszony Beethoven. I nie wiedziałam, czy zagrałam jak trzeba, ponieważ dla Beethovena zawsze było w porządku.

Wszystko było bardzo małe w tamtym mieszkanku. A w mieszkaniu pana Marka wszystko ogromne. Ponieważ przez kilka lat je sprzątałam, dobrze znałam wszystkie zakamarki i kiedy tam poszłam, niewiele wysiłku kosztowało mnie zlokalizowanie stainera. Udałam się tam natychmiast, miałam konkretny plan, wpadł mi do głowy pewien pomysł, do tej pory nie jestem pewna, czy dobry, czy zły, ale jakikolwiek by był, już po sprawie, zrobiłam, co do mnie należało. Działalam skrupulatnie i metodycznie, panie Karlu. Pognałam do miejsca, w którym kupowałam struny, i zapytałam, czy znają kogoś, kto robi skrzypce. Powiedzieli, że tak, i dali mi wizytówkę. Poszłam tam i trafiłam na mężczyznę, który zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, kiedy mu oświadczyłam, że potrzebne mi szczególne skrzypce i będzie miał na ich zrobienie tylko tydzień. Mężczyzna popatrzył na mnie i lekko ironicznym tonem zapytał, czy wydaje mi się, że skrzypce to zabawka, czy co. Powiedziałam mu, że nie, nic z tych rzeczy, ale że zapłacę mu dużo pieniędzy za dokładną kopię pewnych skrzypiec wykonaną w tydzień. I rzuciłam wtedy kwotę, która stanowiła mniej więcej jedną czwartą wszystkich pieniędzy, które zapisał mi pan w testamencie. Wygląda na to, że zaproponowałam mu kosmiczną sumę, ponieważ zrobił wielkie oczy i po chwili oszołomienia z wolna wymamrotał, tyle a tyle zaliczki, a tyle przy odbiorze. Zgodziłam się i następnego dnia zaniósłam mu stainera, a odebrałam go po tygodniu. Wytwórca skrzypiec, który pierwszego dnia patrzył na mnie na wpół podejrzliwie i na wpół drwiąco, czekał już na mnie z herbatką i ciasteczkami i prosił, żebym usiadła, i że, proszę pani, już przynoszę pani instrument, jest gotowy, i nie wiem, co jeszcze. Okazałam się jednak pamiętliwa i odparłam, nie, dziękuję, proszę o stainera i kopię, gdyż chciałabym dobrze się jej przyjrzeć, i jeżeli jest wykonana tak jak trzeba, zapłacę, ile się należy, i już mnie nie ma, rach-ciach. Zgiął się do ziemi, no dobra, nie do ziemi, ale prawie, i poszedł po skrzypce. Kiedy je przyniósł, w pierwszym

rzędzie upewniłam się, że stainer nie ucierpiał, sprawdziłam podpis i w ogóle wszystko, zaglądając przez wydłużony otwór, a potem rzuciłam okiem na drugi instrument i, Panie Boże, był identyczny, z trudem można było je odróżnić, chyba że po podpisie, no i nie brzmiał tak samo, jasna sprawa. Wiem o tym, ponieważ grałam przez chwilę na oczach tego wytwórcy skrzypiec, który stał z otwartymi ustami. A zanim zdążył je zamknąć, zapłaciłam mu, ile się należało, i powiedziałam, dziękuję, miłego dnia. Odniosłam stainera do domu pana Marka na dzień przed ich powrotem z uzdrowiska, pani była w lepszej formie, zadzwonił do mnie i zapytał, no i jak, wszystko w porządku. Wszystko w porządku, panie... to znaczy Marku. Jak się pani odwdzięczę, Mario, zakrzyknął. Nie trzeba, odparłam dobrotliwie, ale w głębi duszy myślałam, już mi się pan odwdzięczył, nawet pan sobie nie zdaje sprawy.

Te drugie skrzypce też mają duszę, widziałam ją. Panie Karlu, nie do końca rozumiem, dlaczego można zobaczyć duszę skrzypiec, a duszy człowieka już nie. Ale jeśli nasza też ma taką formę, łatwo jej ulecieć, jasne, a kiedy moja już uleci, wystrzeli jak z procy, żeby pana odnaleźć. I kiedy już się odnajdziemy, będziemy pić w kuchni czekoladę ze śmietaną, w domu wśród kolorowych obłoków. A jeśli pan ma ochotę, może pan mieć kobiety w trybie aktywnym, proszę pana, nie przeszkadza mi to, niech pan sobie nie myśli. Do wszystkiego można się przyzwyczać. A to w końcu tyle lat.

Nie miałam pojęcia, kiedy będę miała okazję podmienić skrzypce, i upłynęło sporo czasu, a ja w końcu zaczęłam myśleć, że może nigdy mi się to nie uda, ponieważ lata mijały i się starzałam. No ale przynajmniej udało mi się osiągnąć iluzję, że gram na stainerze, były do siebie ludzako podobne. Ćwiczyłam już na nowych skrzypcach i chociaż nie były to tamte, dobrze brzmiały, bardzo dobrze. I kiedy już myślałam, że nigdy nie odzyskam moich skrzypiec, ponieważ są moje, dał mi je pan, więc kiedy już myślałam, że nigdy nie będę mogła ich odzyskać, zadzwonił do mnie pan Mark i opowiedział o koncercie w Berlinie. Namawiał, żebym pojechała, że sprawię mu tym wielką przyjemność. Na co odpowiedziałam, ale co z panią Anną. I miałam wrażenie, że już tak za nią nie jest jak kiedyś, e tam, nią proszę się nie przejmować, oświadczył, ja chcę, żeby pani tam była. A ja, że nie, a on, że tak, i nie, i tak, aż w końcu w głowie zaświtała mi pewna myśl i powiedziałam, dobrze, pojedę.

Byłam bardzo zmęczona i zaczynały się u mnie lekkie bóle brzucha. Na razie lekkie, więc nie przywiązywałam do nich zbyt wielkiej wagi. Poza tym chciałam wykonać zadanie i zrobić to tak jak trzeba. Pamiętam, że kiedy zastanawiałam się, jak wprowadzić mój plan w życie, śpiewałam „Muszę posprzątać w całym, całym domu”, ponieważ pan Mark powiedział mi, że zagrają w Berlinie muzykę z niedzielnych poranków, że właśnie o to chodziło, a akurat miała ona tekst, sama go przecież ułożyłam, tylko że nie miałam w tle muzyki jako akompaniamentu. I wie pan, co zrobiłam, panie Karlu, pewnego dnia poszłam do sklepu z płytami i zapytałam, czy mają tę muzykę i zanuciłam kawalek, a sprzedawca zrobił się czerwony i zawołał innego, aż w końcu przyszedł ten, który zajmuje się muzyką klasyczną, i powiedział, ach, chodzi pani o koncert na dwoje skrzypiec Bacha. A ja aż podskoczyłam, dokładnie, ponieważ dwoje skrzypiec doskonale pasowało do mojego wyobrażenia o tym utworze, no jasne, grał pan z dwiema skrzypczkami, więc to musiało być to. I kupiłam płytę, taką małą, sidi, jak na to mówią, bo właśnie takie pasują do mojego radioodtwarzacza. Poszłam do domu i od tej chwili już miałam akompaniament. Ale proszę pana, za każdym razem, kiedy włączałam tę płytę Bacha, chciało mi się płakać, ponieważ stawał mi pan przed oczami, taki wyprostowany, wysoki i potężny, śmiał się pan i pił czekoladę, nie wiem, czemu widziałam pana roześmianego i pijącego czekoladę. Jak teraz, widzę, że też pan ją pije, nic innego pan nie robi, co, nie przestał pan po tylu latach, ale tym razem to nie ja ją przyrządziłam, ponieważ nie mogę się ruszać i mam wrażenie, że mam coś na twarzy, w ustach i w przełyku, w tym momencie nie byłabym w stanie nic przełknąć. Najświętsza Panienko

z Macareny, mogliby mi to na chwilę wyjąć i poszłabym z panem, bo mam już tego dość. Gdybym mogła się ruszać, sama bym to wyjęła i nadszedłby kres całej tej historii, ale nie mogę się ruszać, nie udaje mi się wykrzesać z siebie dość energii, żeby wyrwać tę rurkę raz a dobrze.

Kupiłam bilet na wcześniejszy lot i oświadczyłam panu Markowi, ach, mam tam siostrę i powiedziała, żebym przyleciała dzień wcześniej, to spędzimy ze sobą trochę czasu. Oczywiście nie było żadnej siostry ani nic z tych rzeczy, ponieważ nie mam rodzeństwa, a cała moja rodzina została w Andaluzji, kiedy ja stamtąd wyjechałam, ale pan Mark wszystko łyknął. Zapytał, czy mam bilet, i odparłam, że tak. Stwierdził, że dla mnie też kupił, ale żebym się nie przejmowała, bo można go zwrócić. Ależ, Mario, toż to przedziwne, niemal mnie obsztorcował, a ja myślałam, że nie będzie pani umiała kupić sobie biletu. Powiedział mi to przez telefon i trochę mnie to ubawiło, pomyślałam sobie, a myślisz, że kto kupował bilety twojemu ojcu, ale nic się nie odezwałam, nie. Poszłam do biura podróży, tego co zawsze, trochę mnie kosztowało dowleczenie się tam, było to jakiś miesiąc temu, no dobra, miesiąc, zanim tu przyjechałam, bo nie mam pojęcia, od jak dawna tu jestem, długo czy krótko, godzinę albo dwadzieścia dni, albo trzy miesiące, ach, proszę pana, jaki mętlik w głowie, miałam biuro podróży koło domu, ale wolałam moje i właśnie tam poszłam. Gdy weszłam, rozejrzałam się, czy kogoś znam, i okazało się, że tak, pracował tam jeszcze starszy pan, którego kojarzyłam, och, nie był taki stary jak pan czy ja, panie Karlu, ale był to człowiek, który zastąpił tę kobietę, która zawsze mi pomagała, gdy ona poszła już na emeryturę. Właśnie on we wszystkim mi pomógł, kupił mi bilet, również powrotny, poza grupą, ponieważ tutaj do Berlina przyleciało nas nie wiem ile osób, uf, jak wtedy, gdy pan jeździł z całą orkiestrą, ale wówczas to nie ja kupowałam bilety, było to zbyt skomplikowane. Pan z biura podróży kazał mi usiąść i bardzo dobrze mnie traktował, znalazł mi także hotel na tę jedną noc, zanim przyjedzie reszta.

I tak się to odbyło, panie Karlu. Jest pan zdziwiony? Widzę, że nie. W dniu przyjazdu do Berlina zaniiosłam kopię stainera do teatru. Zawiozłam ją taksówką i za drobną opłatą zostawiłam w szatni. Najpierw przez chwilę musiałam ponegocjować za pomocą gestów z szatniarką. Tak naprawdę nie wiedziałam, kiedy dokonać podmiany, ale wbiłam sobie do głowy, że zrobię to tutaj, w Berlinie, ze względu na pana i na to wszystko, i ze względu na panią Teresę, ponieważ biedaczka dość się już w tym życiu nacierpiała. To prawda, że pani Anna też cierpiała i może nawet wycierpiała najwięcej z nas wszystkich, ale zgodzi się pan ze mną, że zasłużyła sobie na porządnego kopniaka, żeby upaść i nauczyć się wstawać w inny sposób. Niech pan tak na mnie nie patrzy, przeszywa mnie pan tym spojrzeniem na wylot, panie Karlu, ale w głębi duszy wie pan, że mam rację.

Przyjechali następnego dnia i spotkaliśmy się wszyscy w hotelu, a pani Anna była przyjemna jak papier ścierny, nawet sobie pan nie wyobraża, sprawiała wrażenie, jakbym wywoływała u niej pokrzywkę, chociaż nie ruszałam się z krzesła, bo to całe latanie wte i wewte okropnie mnie wykończyło. Omawiano szczegóły, jak i kiedy odbędzie się próba, jak dojadą do teatru i te sprawy. I wtedy tak się złożyło, że pierwszego wieczoru przy kolacji ktoś rzucił mimochodem, że pani Anna ma w zwyczaju dużo ćwiczyć przed występem w garderobie, ale potem w ostatniej chwili zostawia skrzypce przy scenie i wychodzi na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza. Nawet się zarumieniła, kiedy ktoś skomentował to ze śmiechem, ponieważ członkowie orkiestry, to akurat dobrze widziałam, cały czas się z niej śmiali, i to prosto w nos. Nie wiem, czy zdawała sobie z tego sprawę, ale coraz wyżej go zadzierała i kierowała ku górze, a ponieważ jest malutki i wąski, przypominał igłę, nie wiem, panie Karlu, jak mógł pan trzymać ją w aktywności, skoro ta kobieta jest sztywna jak kij od szczotki. Nie będę teraz jednak robić panu o to wyrzutów, niech się pan nie martwi.

Reszta była już raczej prosta. Nie wzięłam tylko pod uwagę, że mogę źle się poczuć, to

fakt, a tak akurat się stało, zaczęłam czuć się bardzo źle, panie Karlu, ale naprawdę bardzo źle, ponieważ w żołądku mi się gotowało i było to straszne, coraz straszniejsze, a momentami brakowało mi tchu, ale musiałam wytrzymać, żeby dokonać tej podmiany i zrobić to tutaj, w Berlinie, i wykonałam wszystko zgodnie z planem, potem sobie poszłam, ponieważ nie mogłam już dłużej siedzieć prosto i nie chciałam słyszeć, co się stanie z panią Anną, kiedy zacznie grać Bacha, miałam już dość rozrywki, a tego byłoby już za wiele, znaleźliby mnie tam martwą na miejscu, w fotelu, a nie może tak być, brzydko by to wyglądało, umrzeć na widowni, a byłam bardzo, bardzo wystrojona, w długiej sukni, która teraz, jak mi się zdaje, też jest w szafce, obok skrzypiec. Poszłam więc sobie, zahaczyłam o szatnię, odzyskałam stainera, którego wcześniej pośpiesznie tam zostawiłam i planowałam odebrać dopiero następnego dnia, ale koniec końców zabrałam go wcześniej. A zabrałam go wcześniej, ponieważ nie mogłam już wytrzymać, panie Karlu, po wykonaniu zadania, poczułam, że umieram. I dotknęłam listu, pana listu, który nosiłam, odkąd pan mi go wręczył, a teraz leży sobie w szufladzie stolika nocnego, przygotowany do wysłania pani Teresie, i nie powiem, gdzie wcześniej go nosiłam, ponieważ się wstydzę, ale może pan sobie wyobrazić. Powiedziałam sobie wtedy, że muszę zrobić coś jeszcze, zanim na zawsze odejdę z tego świata. Zatrzymałam taksówkę i jak umiałam, zwróciłam się do kierowcy, żeby zabrał mnie na Kollwitzplatz. I może się to wydawać niesamowite, ale mnie zrozumiał.

Rosło tam drzewo zakończone w szpic, panie Karlu, a pod nim stała ławka. Piękne drzewo, choć mroczne i niezbyt przyjazne. Można się było do niego dostać korytarzem pełnym liści, które unosiły się, w miarę jak szłam, ponieważ nie byłam nawet w stanie odrywać stóp od ziemi. Skrzypce bardzo mi ciążyły, nie wiedziałam, jak to wszystko się skończy, ale za to dobrze wiedziałam, co mam zrobić.

Tam, pod spiczastym żółtym drzewem, zaczęłam grać wieśniaczkę i pasterza. Nie mogłam oddychać, nie mogłam ruszyć się z bólu, który przeszywał całe moje ciało, ale położyłam sobie skrzypce na ramieniu, doskonale nastrojone przez panią Annę. Wszystko było wilgotne, ale nie padało i zza chmur wychynął księżyc, okrągły jak pomarańcza, księżyc, który głaskał mnie po twarzy, jakby to była pańska ręka, jakby pan to robił. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, by zabrzmiał stainer. Skrzypce zaczęły czarować i nagle nie byłam już w tym parku, tylko w sali przy fortepianie, razem z panem. I wyobraziłam sobie, że jestem ubrana jak wieśniaczka, a pan jak pasterz. Gorące łyzy ogrzewały moje lodowate policzki, ponieważ to pańskie miasto, panie Karlu, niech pan wie, że to miasto chłodu. I nie mogłam przestać płakać. A piosenka pobiegła własnym torem aż do końca. I na koniec wstał pan, podszedł do mnie i powiedział, proszę pozbyć się tego fartuszka.

I nic już więcej nie wiem, nie pamiętam, co się stało. Teraz, widzi pan, udało mi się otworzyć oczy. Nikogo nie ma, a ponieważ odzyskałam trochę świadomości, zdaję sobie sprawę, że jeśli się postaram, jedną ręką będę mogła wyciągnąć sobie z ust tę niewygodną rurkę. Spróbuję. Jeśli mi się uda, panie Karlu, będę już na zawsze z panem wśród kolorowych obłoków, a tutaj nie pozostanie ze mnie nawet dusza.

Mario,

nie nadaję się do pisania długich listów. Piszę wyłącznie muzykę i mam wrażenie, że nie jestem już w stanie sklecić nawet jednego zdania. Chciałbym Pani jednak coś wyznać. Nie miałem odwagi zrobić tego twarzą w twarz przez cały ten czas, więc ostatecznie wybrałem papier, a ponieważ straszny ze mnie tchórz, daję go Pani w chwili, kiedy akurat wyjeżdżam na kilka dni.

Skrzypce, które czterdzieści lat temu wyrzuciła Pani do śmieci, należą teraz do Pani. Odzyskałem je dla Pani. Proszę je zachować i jak tylko Pani będzie mogła, grać niemieckie piosenki, zwłaszcza tę o wieśniaczce i pasterzu. Gra Pani z delikatnością, jakiej nigdy u nikogo nie słyszałem. I brakowało Pani tylko takich skrzypiec jak stainer. Kiedy dostałem go od ojca, który z kolei przywiózł go z Salzburga, przez myśl mi nie przeszło, że trafi w ręce kogoś, kto potrafi wydobywać z niego tak cudowne dźwięki. Tak, zdaję sobie sprawę, że nie ma Pani ani sprawności, ani technicznej perfekcji innych skrzypaczek, ponieważ nigdy nie dostała Pani szansy, która przypadła w udziale innym muzykom. Ma Pani jednak coś, za co wielu muzyków daloby się zabić – zdolność zapierania słuchaczowi tchu w piersiach, na przykład mnie. Przywiodła mnie Pani do łez, Mario, a nie ma Pani pojęcia, jak ciężko wzruszyć muzyka...

Nie to jednak chciałem powiedzieć. Chciałem Pani powiedzieć, Mario, że skradła mi Pani duszę. Być może właśnie dlatego tak dobrze Pani gra, skoro ma teraz dwie – moją i swoją. Pani, która przez czterdzieści lat bezszelestnie poruszała się u mego boku, dzięki której tak dobrze czułem się w tym domu, której udało się sprawić, że niczego mi nigdy nie brakowało, która przyrządzała mi wyśmienitą czekoladę. Piję ją zwłaszcza dla przyjemności rozmowy z Panią... z Panią, która śmiała się i płakała ze mną... Pani naprawdę znalazła drogę do mojego serca. Zdałem sobie z tego sprawę, gdy pierwszy raz tak dobrze zagrała Pani naszą piosenkę... W dniu, w którym kazałem Pani zrzucić strój służącej. Musiałem wyjść, żeby nie zrobić tego osobiście, dużo mnie kosztowało powstrzymanie się. Proszę sobie wyobrazić, gdybym to zrobił, co by sobie Pani o mnie pomyślała, gdybym zdjął tam z Pani fartuszek, skoro nie wiem nawet, co Pani sądzi o moim stylu życia. Mario, usiłowałem wybić sobie Panią z głowy, ale bez powodzenia. I proszę sobie wyobrazić, że po raz pierwszy w życiu przytrafia mi się coś takiego – moją żonę poznałem, kiedy byłem bardzo młody, i to w dość szczególnych okolicznościach. Zakochałem się, to prawda, ale nie wiem, czy nie popychał mnie ku temu nastrój chwili i wszystko to, co w tamtych czasach działo się wokół nas. Wszystkie inne kobiety, z którymi się zbliżyłem, nie były niczym innym poza chwilami muzycznej intensywności... Tak jakby zmianą tonacji w tej samej kompozycji... nie wiem, czy pojmuje Pani, co chcę przez to powiedzieć, i nie wiem, czy kiedyś mnie Pani w pełni zrozumiała, ale nie umiem wyrazić tego w inny sposób. Za to jeśli chodzi o Panią, ostatnimi czasy codziennie musiałem się powstrzymywać, by nie całować Pani rąk i twarzy, i wszystkiego, powstrzymywać się przed wyznaniem, co czuję. Wyznaniem, że Panią kocham. Przepraszam za tę szczerość, ale to właśnie czuję i nie mogę teraz tego nie powiedzieć, mimo że nie odważyłem się wypowiedzieć tych słów osobiście.

Wyjeżdżam, lecz mam nadzieję wrócić. Czuję się teraz bardzo dobrze. Oświadczono mi, że podróż może całkiem zrujnować moje kruche zdrowie, ale sama Pani wie, jacy są lekarze, zawsze przesadzają... a ja czuję, że mam teraz serce do wszystkiego, mógłbym góry przenosić. Ma Pani więc piętnaście dni, żeby to wszystko przemyśleć... A kiedy wrócę... czy zechce Pani dać mi odpowiedź? Obydwoje jesteśmy dorośli i tak dobrze się znamy...! Przeszła mi ochota na inne kobiety, jeśli to Panią niepokoi – chociaż myślę sobie, że nie, że nigdy się tym Pani jakoś zbytnio nie przejmowała. Jeżeli odpowiedź będzie brzmiała tak, chciałbym zabrać Panią na mój Kollwitzplatz... Pojedziemy do Berlina i weźmiemy ze sobą stainera, i będzie Pani mogła zagrać piosenkę o wieśniaczce i pasterzu w tym samym miejscu, gdzie grałem ja... I będę wtedy pękał z dumy, że nauczyłem Panią kilku nut na krzyż, ponieważ może Pani wlać w nie duszę, tę, którą nosi Pani w sobie, odkąd rodzice nauczyli Panią śpiewać to coś, czego Pani zabraniałem. I wezmę Panią wtedy w ramiona i będziemy szczęśliwi, Mario.

Ale... proszę się niczym nie martwić, jeżeli odpowiedź brzmi nie i nie chce mieć Pani ze mną nic wspólnego... to znaczy nic ponad to, co miało miejsce do tej pory... więc jeśli nie będzie Pani chciała mieć ze mną nic do czynienia, obiecuję trzymać się na rozsądny dystans, na który Pani zasługuje ze względu na swoją decyzję, dystans, który zachowaliśmy przez te cudowne czterdzieści lat.

Na zawsze Pani

Karl

PS Ach, bylbym zapomniał – obiecałem Annie, że się z nią ożenię w zamian za skrzypce. Proszę nie zawracać sobie tym głowy, ożenię się z nią, ale szybko się jej pozbędziemy. Kiedy zobaczy, że kompletnie nie zwracam na nią uwagi, sama odejdzie.

Cantonigròs, styczeń 2012

